



SOPHIE JORDAN

Niewidzialna

BUKOWY LAS

JORDAN SOPHIE

OGNISTA 02

NIEWIDZIALNA

By uratować życie ukochanego, dragonka Jacinda złamała tabu: zdradziła najpilniej strzeżoną tajemnicę swojego gatunku. Teraz musi powrócić pod ochronę stada, wiedząc, że może już nigdy nie zobaczy Willa. Mało tego, działanie mgły zacierającej wspomnienia mogło sprawić, że Will zapomniał o znamiennej nocy i przyczynie ucieczki Jacindy. Po powrocie do domu Jacinda wszędzie napotyka wrogość i na każdym kroku musi dowodzić swojej lojalności – dla dobra własnego i swojej rodziny. Wśród tych niewielu, którzy z nią rozmawiają, jest następca alfy stada Cassian oraz siostra Tamra, odmieniona przez nagle zrządzenie losu. Jacinda wie, że powinna zapomnieć o Willu i ułożyć sobie życie bez niego. Zdaje sobie sprawę z tego, że nawet jeśli zdołał ją zapamiętać i dotrzyma obietnicy odnalezienia jej, narazi ich oboje na ogromne niebezpieczeństwo. Jednak czy gdy pojawi się szansa, by podążyć za głosem serca, Jacinda zaryzykuje wszystko dla miłości?

ROZDZIAŁ 1

Czasami śni mi się, że spadam.

Oczywiście te sny zaczynają się od tego, że lecę. Bo to jest to, czym żyję. Czym jestem. Co kocham.

Kilka tygodni temu powiedziałabym, że latanie jest tym, co kocham najbardziej na świecie, ale od tamtego czasu wiele się zmieniło. Właściwie wszystko.

W tych snach mknę w przestworzach, wolna jak ptak. A potem coś się wydarza, bo nagle nurkuję korkociągiem. Kurczowo chwytam się powietrza, a mój krzyk ginie w rozniewanym wietrze. Gwałtownie spadam. Jak człowiek bez skrzydeł.

Zwyczajna dziewczyna, już nie dragonka. Bezsilna. Przegrana.

Tak właśnie czuję się teraz: spadam i nic nie mogę zrobić.

Niczego nie mogę powstrzymać. Jestem uwięziona w koszmarze.

Zawsze budzę się, zanim uderzę w ziemię. To mnie ratuje. Dziś jednak nie śnię. Tego wieczoru uderzam w ziemię. I boli to dokładnie tak, jak się spodziewałam.

Opieram policzek o zimną szybę okna i patrzę w umykającą za nim noc. Cassian prowadzi samochód, tymcza-

sem ja wyteżam wzrok i wpatruję się w nieruchomą ciemność, zwirowe podwórza i ściany domów w poszukiwaniu odpowiedzi, powodu, dla którego to wszystko się stało.

Świat zdaje się wstrzymywać oddech, gdy zwalniamy przy znaku stopu. Podnoszę oczy ku mrocznemu niebu. Ku głębokiemu morzu bez gwiazd, które wzywa mnie, obiecując azyl.

Z tylnego siedzenia dobiega głos mamy. Mówi do Tamry cicho i łagodnie, usiłując wydobyć z niej jakąś odpowiedź. Odrywam policzek od szyby i zerkam przez ramię. Moja siostra dygocze w ramionach mamy. Błada jak trup patrzy przed siebie obojętnym wzrokiem.

- Czy nic jej nie jest? - pytam ponownie, bo muszę to wiedzieć. Czy ja jej to zrobiłam? Czy to też moja wina? - Co się z nią dzieje?

Mama marszczy brwi i kręci głową, jakby dawała mi znak, że nie powinnam się odzywać. Zawiodłam je obie. Złamałam żelazną zasadę. Ujawniłam mą prawdziwą tożsamość przed ludźmi, a co gorsza - przed myśliwymi. I za ten błąd zapłacimy. Ta świadomość mnie przytłacza, druzgocze i głęboko wciska w fotel. Znow patrzę przed siebie, nie mogąc opanować dreszczy. Krzyżuję ramiona i wbijam ręce w żebra, jakby to mogło pomóc się wyciszyć.

Cassian ostrzegął mnie, że za ten wieczór trzeba będzie zapłacić, i zastanawiam się, czy to rozliczanie już się nie zaczęło. Straciłam Willa. Tamra jest chora albo w szoku, albo jeszcze gorzej. Mama prawie na mnie nie patrzy. Każdy oddech jest dla mnie torturą, a obraz dzisiejszych wydarzeń pali mnie pod powiekami. To, jak rzucam ludzką skórę i przemieniam się w obecności rodziny Willa, a potem mój desperacki lot za nim w skwiercząco suchym powietrzu. Gdybym jednak się nie przemieniła i nie poleciała go ratować, on już by nie żył, a ja nie

mogłabym znieść tej myśli. Nie zobaczę go więcej, niezależnie od jego obietnicy odnalezienia mnie, ale przynajmniej wiem, że żyje.

Siedzący obok mnie Cassian milczy. Wszystko, co konieczne, powiedział, przekonując moją mamę, by wsiadła z nami do samochodu, i uświadamiając jej, że powrót z nim do domu, z którego uciekłyśmy, jest jedynym sensownym rozwiązaniem. Zaciska ręce na kierownicy tak mocno, że aż pobieleły mu palce. Rozluźni je chyba dopiero wtedy, gdy będziemy wolni i wyjedziemy daleko poza Chaparral. Prawdopodobnie gdy bezpiecznie dotrzemy do stada. Bezpiecznie. Zduszam w sobie śmiech, a może to szloch. Czy ja kiedykolwiek będę znów bezpieczna?

Za szybami przemykają osiedla, coraz rzadziej widać domy wraz ze zbliżającą się granicą miasta. Jeszcze chwila i będziemy wolni. Wyrwiemy się tej pustyni, myśliwym. I Willowi. Ta ostatnia myśl na nowo rozdziera i tak już krwawiącą ranę w moim sercu, ale na to nie ma lekarstwa. Czy istniałaby dla nas jakaś przyszłość? Dragonka i łowca dragonów? Łowca, w którego żyłach płynie krew moich pobratymców?

Z tego wszystkiego właśnie to nie może pomieścić mi się w głowie. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, widzę błysk jego purpurowej krwi w mroku nocy. Krwi takiej jak moja. Głowa mi pęka na samą myśl o zaakceptowaniu tej straszliwej prawdy. Ani zasadność wyjaśnień Willa, ani to, że go kocham, nie zmienia faktu, że w jego żyłach pulsuje krew zrabowana mojemu gatunkowi.

Mijamy granice miasta i Cassian powoli wypuszcza powietrze z płuc.

- No to po wszystkim - mruczy pod nosem mama, gdy rośnie odległość pomiędzy nami a Chaparral.

Odwracam się i widzę, jak spogląda przez tylną szybę. W Chaparral pozostawiła swoje nadzieje na lepszą przyszłość. To tam zaczynałyśmy wszystko od nowa. Z dala od stada. A teraz wiozą nas z powrotem do jego gniazda.

- Przepraszam, mamó - mówię nie dlatego, że powinnam, lecz dlatego, że naprawdę mi przykro.

Mama kręci głową, otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Mamy kłopoty - oznajmia Cassian. Drogę przed nami blokuje kilka samochodów, zmuszając nas do zwolnienia.

- To oni - udaje mi się wymówić odrętwiałymi ustami, gdy podjeżdżamy bliżej.

- Oni? - dopytuje się mama. - Myśliwi?

Z trudem kiwam głową. Tak, myśliwi. Krewni Willa.

Oślepiające reflektory rozdzierają mrok i oświetlają twarz

Cassiana. Rzuca krótkie spojrzenia w lusterko wsteczne i domyślam się, że rozważa, czy nie zawrócić i nie czmychnąć w drugą stronę. Ale na to jest już za późno - jeden z samochodów blokuje nam drogę ucieczki, a kilkanaście postaci stoi naprzeciwko naszego wozu. Cassian gwałtownie hamuje, przesuwa dłońmi po kierownicy. Widzę, że walczy z impulsem opuszczenia ich. Usiłuję dojrzeć Willa. Wyczuwam jego obecność, wiem, że gdzieś tam wśród nich jest.

Ostre, donośne głosy nawołują, byśmy wysiedli z samochodu.

Siedzę nieruchomo, rozpalonymi palcami dotykam swych nagich nóg, wbijając opuszki w skórę tak głęboko, jakbym chciała dotknąć ukrytej pod spodem dragonki.

W maskę naszego samochodu uderza czyjaś pięść i wtedy w mroku dostrzegam zarys strzelby.

Spojrzenie Cassiana spotyka się z moim, przekazując to, co i tak już wiem. Musimy przeżyć. Nawet jeśli ozna-

cza to zrobienie tylko tego, co jest w mocy naszego gatunku. Tej jedynej rzeczy, której już dokonałam i która dziś wpakowała nas w kłopoty. Czemu nie? Przecież i tak nie możemy już bardziej odsłonić naszej tajemnicy.

Kiwając głową, wysiadam z samochodu, by stawić czoła naszym wrogom.

Kuzyn Willa, Xander, wysuwa się przed innych i z zadowoloną miną odzywa się do mnie:

- Czy naprawdę myślałaś, że uda wam się uciec?

W piersi czuję miazdzący ból, złość na to, ile te potwory mnie dziś kosztowały. W mojej krtani gromadzi się popiół, a ja pozwalałam, by ten piekący żar we mnie wzbierał, gotowa na wszystko, cokolwiek nastąpi.

Jeden z myśliwych uderza pięścią w tylną szybę i krzyczy do mamy i Tamry:

- Wysiadać!

Mama wychodzi z samochodu, okazując tyle godności, ile potrafi z siebie wykrzesać, i pociąga za sobą Tamrę. Od chwili gdy opuściliśmy Big Rock, moja siostra pobladła jeszcze bardziej; jej rzeźący oddech rozdziera powietrze. Otepiała patrzy przed siebie, a jej bursztynowe oczy, takie same jak moje, wyglądają na zamglone, niemal tak, jakby pokrywało je bielmo. Rozchyła wargi, ale spomiędzy nich nie wydobywają się żadne słowa. Podchodzę bliżej i pomagam mamie ją podeprzeć. Tamra wydaje się w dotyku lodowata, a jej skóra nie przypomina skóry tylko zimny marmur.

Cassian stoi twarzą w twarz z Xandrem, dostojnie niczym księżę, którym naprawdę jest. Jego włosy połyskują purpurą i czernią. Zwilżam usta, zastanawiając się, jak mogłabym przekonać Xandra, że nie widział mojej przemiany.

- Czego chcecie?

Kuzyn Willa dźga mnie palcem.

- Zaczniemy od ciebie, czymkolwiek, do cholery, jesteś.

- Odsuń się od niej - rzuca Cassian. Uwaga Xandra przenosi się na niego.

- A potem zajmiemy się tobą, dryblasie... i tym, jak to się stało, że spadłeś ze skały razem z Willem i nawet się nie zadrasnąłeś.

- Gdzie jest Will? - krzyczę. Muszę to wiedzieć.

- Zasłabł w samochodzie.

Mrużę w ciemności oczy i dostrzegam skuloną postać na tylnym siedzeniu. Will. Tak blisko, a jednak równie dobrze mógłby dzielić nas ocean. Gdy ostatnio go widziałam, obiecywał, że mnie odnajdzie. Był ranny, ale przytomny. Przechodzi mnie dreszcz na myśl, że jego własna rodzina mogła się przyczynić do zmiany tego stanu rzeczy. - On potrzebuje lekarza - mówię.

- Później. Najpierw policzę się z wami.

- Słuchaj - zagaja Cassian, zasłaniając mnie. - Nie wiem, co ty sobie myślisz...

- Myślę, że powinieneś się zamknąć. To ja prowadzę tę rozmowę!

- Xander łapie go za ramię. Duży błąd.

Cassian wydaje z siebie pomruk, jego skóra mieni się antracytowymi iskrami. Szybki ruch i Xander ląduje na plecach z wyrazem oszołomienia na twarzy, podobnym jak u kilku innych otaczających nas łowców.

- Brać go! - woła Xander.

Inni zbliżają się do Cassiana. Krzyczę na widok atakujących go myśliwych. Wzdrygam się, słysząc uderzenia pięści, i ruszam w ich stronę, zdecydowana mu pomóc, ale czyjeś ręce mnie powstrzymują.

Powietrze rozdziera zwierzęcy ryk. To Cassian. Przytrzymuje go kilku łowców. Angus wyszczerza zęby w uśmiechu, stawiając but na jego plecach. Z policzkiem przyciśniętym

do asfaltu Cassian wymienia ze mną spojrzenie. Jego oczy migoczą, źrenice przekształcają się w pionowe szpary.

Do ust ciśnie mi się para, ale ją połykam i kręcę głową, dając mu do zrozumienia, by wytrzymać, poczekać. Nadal wierzę, mam nadzieję, że zdołamy wybrnąć z tej zasadzki za pomocą słów. Ze nie ma potrzeby, by również on ujawniał swą dragońską tożsamość. Może dam radę go osłonić. Może zdoła stąd ujść cało wraz z mamą i Tamrą.

Naraz między żebrami czuję chłodny pocałunek strzelby i nieruchomieję. Mama krzyczy, a ja unoszę dłoń, powstrzymując ją przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

- Zostań z Tamrą, mamó. Ona cię potrzebuje! Mroczne spojrzenie Xandra prześlizguje się po mnie z pogardą:

- Wiem, co widziałem. Cholernego dziwoląga ze skrzydłami. Z trudem panuję nad strachem, by nie przyoblekł mnie w ognistą skórę, nad szokiem, który każe mi natychmiast przybrać dragońską postać.

- Jacinda! - woła Cassian, który ponownie zaczyna się szarpać.

- Nie martw się - mówi Xander. - Nie zabiję cię. To tylko strzelba z nabojami do usypiania. Utrzymamy cię przy życiu i dowiemy się, czym do diabła jesteś.

Biją Cassiana, który walczy, by się wyrwać.

- Przestańcie! - przepycham się przed Xandra, ale Angus powstrzymuje mnie. Z bólem przyglądam się, jak nieustannie kopią leżącego. - Przestańcie! Proszę, przestańcie! - Serce mi się ściska. Albo my, albo oni.

W mych rozpalonych płucach bucha ogień i pełźnie ku krtani. Nie mogę pozwolić, by nas zabrali.

Zanim mam okazję wypuścić płomienny oddech, omiata mnie niespodziewany powiew zimna. Nienaturalnego chłodu. Pod wpływem tej nagłej zmiany temperatury przechodzi mnie dreszcz.

Odwracam się i gardło ściska mi się na widok Tamry. Stoi samotnie. Mama przygląda się jej szeroko otwartymi oczami z odległości kilku metrów.

Moja siostra jest trupio blada, jej oczy się zmieniły. W niczym już nie przypominają moich. Lodowata szarość zmraza mi serce.

Tamra emanuje parą. Zimną mgłą. Lodowata chmura rozrasta się, nabrzmiewa, pochłaniając wszystko wokół nas.

Tamra wygina ciało w sinusoidalny łuk, rwie bluzkę, rozszarpując ją gwałtownym ruchem rąk. Rąk, które nagle mieniają się i lśnią perłowym blaskiem.

Taki kolor widziałam tylko u jednej istoty. U Nidii - kamuflonki naszego stada. Widzę, jak włosy mojej siostry od nasady po końce stopniowo przybierają srebrzy-stosiwą barwę.

Opary zagęszczają się, przypominają mi dom i tamtejszą mgłę, która okrywa osadę chłodną kołderką. Mgłę chroniącą nas przed intruzami, przed tymi, którzy mogliby na nas polować i zniszczyć. Mgłę, która zamracza umysły wszystkich, którzy zbłądzą do naszej oazy.

-Tamra! - wyciągam ku niej rękę, ale Cassian jest szybszy. Uwolnił się od napastników. Jego silne ramię powstrzymuje mnie.

- Nie przeszkadzaj jej - prosi.

Spoglądam na niego i w jego oczach dostrzegam głęboki pierwotny błysk spełnienia. Jest... szczęśliwy. Zadowolony z tego, co się dzieje. A jesteśmy świadkami czegoś nieprawdopodobnego. Tamra nigdy dotąd się nie przemieniała. Jak to możliwe, że robi to teraz?

W czasie gdy rozmawiałam z Gassianem, dokonała się jej pełna przemiana. Moja siostra wzbiła się kilka metrów nad ziemię. Trzepocze ażurowymi skrzydłami, których poszarpane krawędzie wystają zza jej srebrzystych ramion.

- Tamra - szepczę, nie odrywając od niej oczu, usiłując oswoić się z nową sytuacją. Moja siostra jest prawdziwą dragonką. Po tak długim czasie. Po tym, jak uznałyśmy, że ta cecha nigdy nie będzie nas łączyć. Mało tego: ona jest kamuflonką!

Jej upiornie spokojny wzrok przesuwają się po nas wszystkich stojących na jezdni. Jakby dokładnie wiedziała, co robić. I chyba wie. To instynkt.

Nieruchomieję na jej widok. W swej lśniącej skórze i pozbawionych pigmentu włosach jest zarazem piękna i przerażająca. Unosi szczupłe ramiona. Mgła kotłuje się nad nami niczym dym z rozszalałej pożogi, tak gęsta, że ledwie mogę dojrzeć własną rękę. Myśliwych w ogóle nie widać, ale słyszę ich wrzaski i nawoływania, wpadają na siebie, kaszlą, przewracają się na jezdnię jak kostki domina. Jeden, drugi, następny...

Grobowa cisza.

Wyteżam słuch, tymczasem mgła Tamry robi to, co powinna - spowija, kamufluje, zamracza... wszystko, co stanie na jej drodze. Każdego człowieka.

Will.

Wyrywam się z uścisku Cassiana i rozpaczliwie przedzieram się przez zimne opary, które zaciemniają zarówno powietrze, jak i umysł. U moich stóp czołgają się myśliwi powaleni dziełem Tamry. Wszechobecna mgła przesłania mi wszystko; w jej chłodnym uścisku szukam na oślep samochodu, w którym leży Will.

Wreszcie dostrzegam go skulonego na tylnym siedzeniu. Drzwi kierowcy stoją otworem, wpuszczając do

środką mgłę. Opary niemalże czule otulają śpiącego. Na chwilę nieruchomieję. Potrafię tylko patrzeć, sama z trudem oddychając. Nawet posiniaczony i zmaltretowany -jest piękny.

Potem wstępuje we mnie siła. Otwieram tylne drzwi i go dotykam. Drżącymi palcami głaszczę Willa po twarzy i odgarniam miodowe kosmyki z jego czoła. Mam wrażenie, że to jedwab.

Wzdrygam się, słysząc nawoływanie Cassiana:

- Jacinda! Musimy uciekać! Chodź!

Dopada mnie i ciągnie do naszego samochodu. Drugą ręką chwyta Tamrę. Popychają w stronę mamy. Iskrzące nowe ciało mojej siostry rozświetla pustynną noc i toruje nam drogę przez kłęby gęstych oparów.

Wkrótce mgła rozplynie się w powietrzu. Gdy zniknie stąd Tamra. Gdy uciekniemy. Mgła się ulotni. A wraz z nią wspomnienia myśliwych.

Kiedyś zasugerowałam Tamrze, że jej talent po prostu jeszcze się nie ujawnił. Ze jest późnowidką. Mówiłam tak, mimo że w to nie wierzyłam. Aby dodać jej otuchy. Chociaż podobnie jak reszta stada myślałam, że jest martwą dragonką. Tymczasem moja siostra jest jedną z najrzadszych i najcenniejszych przedstawicielek naszego gatunku! Tak jak ja.

Usiadłszy za kierownicą, Cassian uruchamia stacyjkę i już po chwili mkniemy autostradą. Przez tylną szybę spoglądam na ogromny biały obłok. Tam jest Will. Wbijam palce w poduszkę fotela, aż czuję, jak przetarty materiał pod paznokciami poddaje się i rozrywa. Nie, nie mogę teraz myśleć o Willu, to zbyt bolesne.

Przesuwam spojrzenie na bladą Tamrę i muszę odwrócić wzrok. Tak bardzo porusza mnie widok mojej bliźnia-

czej siostry, która teraz stała się dla mnie równie obca jak ta pustynia.

Drzę i głęboko oddycham. Jedziemy do domu, w góry, we mgłę, gdzie wszystko jest takie swojskie. W jedyne miejsce, w którym bezpiecznie mogę być sobą. Wracam do stada.

ROZDZIAŁ 2

Tajna siedziba naszego stada niemal magicznie wyłania się z wieczornej mgły. Wśród wysokich, spowitych oparami drzew wąska błotnista droga rozszerza się i ukazuje osadę. Cassian oddycha z ulgą. Rozluźnia się ucisk, który czułam w piersiach. Dom.

Początkowo wygląda to jak imponująca plątanina winorośli i jeżyn, ale patrząc dokładniej, można dostrzec, że to mur. Za nim znajduje się bezpieczna kryjówka mojego świata. Jedyne miejsce, w którym wyobrażałam sobie życie. W każdym razie dopóki nie spotkałam Willa.

Przy bramie stoi strażnik. Wokół niego unoszą się gęste opary mgieł Nidii. Od razu rozpoznaję Ludona. To jeden z lokajów Severina, onyks, który lubi szpanować swoją muskulaturą. Na nasz widok robi wielkie oczy. Bez słowa rusza w głąb osady. Wartownik to rzadkość. Domek Nidii stoi tuż przy bramie po to, by mogła zapamiętywać wszystkich przychodzących i wychodzących. Mamy ją i wieże strażnicze. Umieszczenie strażnika jest dodatkowym środkiem ostrożności. Zastanawiam się nad powodem. Czy to przez nas? Czyżby nasz nieusankcjonowany wyjazd

przyczynił się do zaostżenia czujności i ochrony bezpieczeństwa?

Cassian parkuje naprzeciwko domku Nidii, która stoi już na progu, jakby wyczuła nasze przybycie. I myślę, że chyba rzeczywiście tak było. Ostatecznie na tym polega jej praca. Wygląda tak pogodnie. Stoi z rękami splecionymi na brzuchu. Na jednym z ramion spoczywa gruby warkocz srebrzystych włosów, niemalże identycznych z kędziorami Tamry. Moje spojrzenie mimowolnie wędruje do tyłu, ku mojej siostrze, która teraz też jest kamuflonką. Mama dotyka kosmyka jej włosów, jakby sprawdzała, czy są prawdziwe. Widziałam, że robiła to już parokrotnie.

- Wróciłyście do domu - szepcze Nidia, gdy wysiadam z samochodu. Uśmiech na jej ustach nie ma odzwierciedlenia w oczach, a ja przypominam sobie noc, gdy wymknęłyśmy się z osady. Pamiętam jej cień w oknie i pewność, że pozwoliła nam uciec. - Wiedziałam, że wrócicie. Wiedziałam, że aby zostać, musicie odejść, by przekonać się o tym, iż wasze miejsce jest tutaj.

Delektuję się otoczeniem, moja skóra pławi się w wilgotnym powietrzu. Nidia ma chyba rację. Moje ciało wibruje, czując energię płynącą z ziemi pod stopami. Tu jest dom. Mimowolnie rozglądam się za Az, tak bardzo chciałabym zobaczyć moją najlepszą przyjaciółkę. Ale na ulicach nie ma nikogo.

Mama, wysiadając z samochodu, troskliwie otacza ramieniem Tamrę. Nidia podchodzi do nich, by pomóc. Moja siostra ledwie może iść. Gdy stąpa pomiędzy nimi, powłóczy stopami.

- Nareszcie zdecydowałaś się wychylić, co? - Nidia odgarnia pukiel srebrzystych włosów z bladego policzka Tamry. - Tak sobie myślałam, że to tylko kwestia czasu. Bliż-

niaczki są przecież u nas taką rzadkością. Wiedziałam, że to niemożliwe, by Jacinda posiadała jakiś talent, a ty nie.

Cassian posyła badawcze spojrzenie w stronę mojej siostry - dziewczyny, którą on i całe stado uważali za bezwartościową.

Mogę tylko zgadywać jego myśli. Teraz - jako posiadaczka jednego z najsilniejszych i najbardziej pożądaných uzdolnień naszego gatunku - reprezentuje bezpieczną przyszłość stada.

Jakby wyczuwając mój wzrok, Cassian zerka na mnie. Przenoszę uwagę na innych i wchodzę z nimi do środka.

W domku Nidii otaczają mnie znajome zapachy. Utrzymujący się w powietrzu aromat smażonej ryby miesza się z krzepiącą wonią ziół, które suszą się przy kuchennym oknie. Otula mnie przyjemne ciepło, lecz otrząsam się z tego wrażenia, przypominając sobie, że to wymuszony powrót do domu. Wciąż jeszcze muszę stanać twarzą w twarz z Severi-nem i starszyzną stada. Gdy stąd wyjeżdżałam, nosili się z zamiarem podcięcia mi skrzydeł. Nie mogę o tym zapominać.

- Jak tam? Nie jest ci zimno? Pamiętam dni po mej pierwszej przemianie. Myślałam, że już nigdy nie będzie mi ciepło. - Nidia delikatnie dotyka żyłastą dłonią brwi Tamry. - Damy ci korzennej herbaty. Napary pomogą ci dojść do siebie i odpocząć. - Rusza do kuchni i napełnia kubek gorącym wywarem z czajnika.

- Będę taka jak kiedyś? - pyta ochryłym głosem Tamra siedząca na kanapie. To jej najdłuższa wypowiedź, odkąd opuściliśmy Chaparral. Oddycham z ulgą, słysząc, jak znów mówi. Może to głupie, ale moje serce raduje się, że przynajmniej ta jej część się nie zmieniła. Nidia zbliża parujący kubek do ust Tamry. - Czy tego chcesz?

Tamra spogląda na mnie, na Cassiana, a potem na mamę. W jej lodowatych oczach czai się ostrożność.

- Nie wiem - szepcze, później pociąga łyk z kubka i się krzywi.

- Za gorąca? - Nidia macha dłonią nad herbatą, owiewając ją chłodzącą mgłą.

Mama siada obok Tamry tak blisko, jakby chciała ją osłonić. Wymienia spojrzenia z Cassianem.

- I co teraz? - jej głos brzmi wyzywająco, jakby do naszego powrotu przyczynił się on, a nie my. - Lada chwila tu będą. Co się stanie? Będziesz się przyglądał, jak nas ukarzą?

Cassian jako syn alfy ma znaczne wpływy. Przygotowuje się do roli przywódcy stada.

Opadam na krzesło i przyglądam się jego twarzy. W wilgotnych ciemnych oczach coś migocze.

- Obiecałem Jacindzie, że będę ją chronił. Zrobię to samo dla Tamry. I dla ciebie.

Mama wybucha śmiechem, który brzmi głucho i cierpko.

- Dzięki za dorzucenie mnie do tego pakietu. Nie sądzę jednak, że naprawdę przejmujesz się mną.

- Mamo... - odzywam się, ale ona przerywa mi w pół słowa.

- Ale nie ma spraw}'. O ile dotrzymasz słowa, że zapewnisz bezpieczeństwo Jacindzie i Tamrze. One są całym moim światem.

- Daję słowo. Zrobię wszystko, by ochronić twoje córki. Mama kiwa głową.

- Mam nadzieję, że twoje słowo wystarczy.

Gdy znów spogląda na Tamrę, sprawia wrażenie rozgoryczonej, a ja wiem, że oplakuje utratę swej ludzkiej córki.

Przesuwam się na krześle, wkładam dłoń pod udo i blokuję ją pomiędzy nogą a siedziskiem. Nagle czuję się niekomfortowo, uświadomiwszy sobie, że oplakuje również mnie. Ze tak było od lat.

Cieężko jest słuchać, jak mama negocjuje i błaga o nasze - o moje bezpieczeństwo. Bo to ja schrzałam sprawę. Odżywa we mnie wspomnienie ostatniego wieczoru z Willem. Stado ma wszelkie powody, by się na mnie wściekać. O mało co nas nie zgubiłam, swoich krewnych, wszystkich członków stada - i to dla chłopca, którego znałam zaledwie od paru tygodni. Gdyby nie mgielny kamuflaż Tamry nasz sekret trafiłby w ręce wroga - i nasza najsilniejsza broń byłaby utracona.

Po moich plecach przebiega dreszcz, czuję go nawet na głowie, gdy nagle uświadamiam sobie, że Will nie będzie niczego pamiętał. Nawet jeśli leżał nieprzytomny w samochodzie, miał przecież styczność z mgłą. Zamroczyła go. Rozpaczliwie pragnę, by jakaś część naszego wspólnego wieczoru pozostała w jego wspomnieniach, przynajmniej tyle, by wiedział, że ja tak po prostu nie zniknęłam z jego życia. Musi pamiętać, dlaczego wyjechałam. Musi.

Nadal dygoczę, zwalczając w sobie wyobrażenie, że Will nie będzie wiedział, co się ze mną stało, gdy do chatki Nidii wchodzi bez pukania starszyzna. Zapełniają salon, rosłe postacie tłoczą się na małej przestrzeni.

- Powróciłyście - oznajmia Severin. Głęboki ton jego głosu wstrząsa mną, mimo że się go spodziewałam.

Od chwili ucieczki z Chaparral kołatał mi się po głowie, obwieszając wyrok podcięcia skrzydeł za przestępstwa, jakie popełniłam. Pogodzona z losem, patrzę alfie tępo w oczy.

Za jego plecami mającą sylwetki reszty starszyny, a wszystkich łączy ten sam wyraz surowości. Nie noszą żadnych specjalnych oznak swego statusu. Dziedziczą postawę, od małego uczą się niewzruszoności. I to ich identyfikuje. Nie przypominam sobie sytuacji, w której nie umiałabym odróżnić kogoś ze starszyny od reszty stada.

Severin przygląda się nam i zatrzymuje wzrok na Tamrze. W jego oku pojawia się błysk, to jedyny ruch, jedyna zewnętrzna oznaka zaskoczenia wioda zmianą w jej wyglądzie. Lustruje ją badawczo, nic nie uchodzi jego uwagi. Ani srebrzystoszare oczy. Ani gąszcz perłowych włosów. W taki sam sposób od dawna patrzył na mnie. Dopada mnie nagły impuls, by stanąć pomiędzy nimi, by osłonić ją przed jego świdrującym spojrzeniem.

- Tamra - wypowiada jej imię tak, jakby smakował je po raz pierwszy. Podchodzi bliżej, by położyć dłoń na jej ramieniu. Wpatruję się w jego rękę dotykającą mojej siostry i żołądek podchodzi mi do gardła. - Przemieniłaś się. To wspaniale.

- Teraz najwyraźniej stała się dla ciebie ważna.

Już za późno, by cofnąć te wyzywające słowa. Wyrwały się z moich ust z szybkością pocisku.

Severin piorunuje mnie wzrokiem. Jego oczy są zimne jak głębia nocnego mroku.

- Wszystko... wszyscy w tym stadzie są dla mnie ważni, Jacindo - gdy to mówi, jego zaborcza dłoń nadal spoczywa na Tamrze, a ja mam ochotę oderwać ją od niej.

Taaak. Tylko że niektórzy Z nas są trochę ważniejsi.

- To bardzo niesprawiedliwe, że sugerujesz coś innego - dodaje.

Opieram się pokusie podejścia do Cassiana, nie mogę znieść pogroźek, jakie pod moim adresem wysyłają oczy jego ojca.

Wytrzymuję spojrzenie Severina. Serce mi krwawi, pęka z bólu.

Zdradziłam moich pobratymców. Straciłam Willa. Niech robią, co chcą. Jestem przygotowana na najgorsze.

Kącik ust alfy powoli, groźnie unosi się ku górze.

- Dobrze, że wróciłaś, Jacindo.

ROZDZIAŁ 3

Prowadzą mnie do dawnego domu jak więźnia. Starszyzna idzie za mną i przede mną. Najwyraźniej nie ma znaczenia fakt, że wróciłam dobrowolnie. Cassian to podkreślał. Wielokrotnie. Liczy się tylko to, że odeszłam, że miałam odwagę się wymknąć - ja, cenny zasób, który ośmielił się uciec, podczas gdy stado ma wobec mnie konkretne plany.

Wchodząc do domu swego dzieciństwa, odnoszę dziwne wrażenie. Wydaje się mniejszy, bardziej ograniczający. Zaczynam być na siebie zła. Ten dom kiedyś mi wystarczał. Oddycham zatechłym powietrzem. Nikt tu prawdopodobnie nie zaglądał od chwili, gdy wymknęłyśmy się pod osłoną nocy. Patrzę na kanapę, na środkową poduszkę z permanentnym wgnieceniem. To miejsce Tamry, jej azyl. Odepchnięta przez stado jako martwa dragonka potrafiła godzinami siedzieć przed telewizorem. Bez niej to nie to samo miejsce, ale rozumiem konieczność obecnej zmiany. Severin zarządził, by moja siostra została u Nidii. Mama nie protestowała. Najwyraźniej uznała, że nasza kamu-flonka najlepiej będzie umiała zaopiekować się Tamrą podczas jej osvajania się z dragońskim talentem.

- Czy będziecie nas też karmić? - rzuca mama pod adresem starszych przebywających w naszym domu. Twarze, które kiedyś były dla mnie tak swojskie i niegroźne, patrzą na mnie z potępieniem.

Powoli odwracają się i wychodzą.

- Widziałas, czy Cassian poszedł z Severinem? - pyta mama, podchodząc szybko do okna. Gdy odsuwa zasłonę, kiwam głową.

- Miejmy nadzieję, że przekona go, by nie... ukarali nas zbyt surowo za wyjazd.

- Tak. - Wziąwszy pod uwagę zadowolenie alfy z przemiany Tamry, uważam, że istnieje prawdopodobieństwo, iż Severin będzie dla nas pobłażliwy.

Chrzękając, mama opuszcza zasłonę.

- Dwóch z nich wciąż tu jest.

Wyglądam przez okno i śledzę wzrokiem dwóch członków starszyny przy naszym ganku.

- Nie wygląda na to, by w najbliższym czasie zamierzali sobie pójść. Chyba chcą przypilnować, żebyśmy znowu nie uciekły.

- Tamra jest z Nidią - zauważa mama, jakby to był wystarczający powód, byśmy zostały. I ma rację. Nawet jeśli chciałabym opuścić stado, nigdy nie odeszłabym bez siostry. Zwłaszcza teraz. Serce mi się ściska na myśl, przez co ona przechodzi. Musi czuć się tak zdezorientowana, tak... zagubiona.

- Nigdy nie wyjechałabym stąd bez Tamry - oświadcza mama, powtarzając jak echo moje myśli. Patrzy na mnie rozgorączkowanymi oczami, jakbym sugerowała, że powinniśmy uciec we dwójkę.

Odwracam wzrok, zerkam na swe ręce, przez okno, wszędzie, byle nie na nią. Nie chcę, by zobaczyła, że słyszę podtekst jej słów. Ze rozumiem, co mówi mi jej gniewne spojrzenie. *Ale wyjechałabym bez ciebie.*

Może jestem niesprawiedliwa. Może to moja wina, a ona wcale tak nie myśli.

Mama wzdycha. Patrzę na nią, jak przeczesuje palcami włosy. Wśród gęstych loków widać kilka siwych nitek. Są świeże. Pierwsze.

- Nie mogę uwierzyć, że wróciłyśmy - mamrocze. - Jesteśmy w punkcie wyjścia. Nigdy nie było gorzej.

Wzdrygam się, odbieram to jak atak na mnie. Wszystko to moja wina. Wiem. I ona też to wie.

- Jestem zmęczona - mówię. I nie kłamię. Od wyjazdu z Chaparral nie zmrużyłam oka, tak bardzo absorbowwała mnie kotłowanina myśli o tym, co się wydarzyło. O wszystkich moich kolosalnych błędach. O Willu. Gdzie on teraz jest, co robi, co myśli, ile pamięta. Albo raczej, czego sobie nie przypomni.

Ruszam w stronę sypialni. Czuję się starzej niż kiedykolwiek dotąd.

- Jacindo...

Przystaję i na dźwięk swego imienia zerkam przez ramię. Wyraz twarzy mamy jest nieodgadniony, pogrążony w cieniu.

- Czy będziesz... - słyszę, jak zaczerpuje oddechu przed dokończeniem wypowiedzi. - Ten chłopak. Will...

- Co z nim? - Nawet jeżeli Will to ostatni temat, na który chciałabym teraz rozmawiać, jestem jej winna odpowiedź. Nawet jeśli oznacza to rozdrapywanie świeżej rany.

- Czy będziesz umiała o nim zapomnieć? - w jej głosie nie da się nie dosłyszeć nutki nadziei.

Powracam myślami do Big Rock. Do widoku Willa zsuwającego się ze skalnego urwiska, prosto w czeluść nocy. Nie miałam wyboru. Musiałam się przemienić. Musiałam go ratować. Nawet jeżeli myśliwi widzieli to, co zrobiłam.

Nie miałam wyboru wtedy, nie mam go i teraz.

- Muszę zapomnieć.

W bursztynowym spojrzeniu mamy widzę zrozumienie.

- Ale czy potrafisz?

Tym razem nie odpowiadam. Bo słowa tu nic nie znaczą. Będę musiała pokazać, udowodnić, że znów może mi zaufać. I nie tylko ona, inni też.

Odwracam się i idę do swojego pokoju, mijając zdjęcia rodziny, którą niegdyś byliśmy. Pełnej rodziny z przystojnym ojcem, uśmiechniętą matką i dwiema siostrami, które jeszcze nie wiedziały, jak bardzo będą się od siebie różnić. Jak mogliśmy przewidzieć rzeczywistość, która na nas czekała?

Zrzucając buty, przebieram się. Wkładam starą koszulkę i szorty wyjęte z szuflady komody. Spod zamykających się powiek ledwie zauważam błyszczące gwiazdy rozsypane po suficie.

Mam wrażenie, że niespełna kilka minut później ktoś mną potrząsa i wyrywa z przytulnej oazy snu. -Jacinda! Obudź się!

Odrywam twarz od poduszki i skołowana spoglądam na Az.

Chociaż na jej widok ogarnia mnie wzruszenie, wolałabym znów schować głowę pod poduszkę i zapaść w głęboki sen, w którym nie mogą mnie dosięgnąć poczucie winy i ból serca.

- Az - przecieram zaspane oczy. - Jak się tu dostałaś?

- Mój wujek Kel stoi na warcie przed waszym gankiem. To on mnie wpuścił.

Rzeczywiście. Wujek Az był jednym z tych członków starszyny, którzy patrzyli na mnie tak, jakbym była przestępczynią. I chyba nią jestem. W pełnym tego słowa znaczeniu. Bądź co bądź, znajduję się przecież w areszcie domowym.

- Dobrze cię widzieć - mamroczę zmęczona.
- Dobrze cię widzieć? - Az zdielą mnie poduszką. - To wszystko, co potrafisz powiedzieć, po tym, jak mnie uratowałaś i zostawiłaś, a sama uciekłaś nie wiedzieć dokąd?
- Mama się uparła. - Nie czas teraz na tłumaczenie, dlaczego wyjechałyśmy... co stado zamierzało mi zrobić. I może wciąż zamierza.

Ale zaraz przypominam sobie, że Az była ze mną tamtego ranka, gdy Will i jego krewni o mało co mnie nie schwytali. Obie złamałyśmy święty zakaz latania przy świetle dnia. Siadam na łóżku, spoglądam na nią badawczo, z troską.

- Nie miałaś kłopotów, prawda? Za to latanie ze mną? Az przewraca oczami.

- Prawie nie zwracali na mnie uwagi, gdy rano zorientowali się, że wyjechałyście. Nie licząc maglowania, oczywiście.

Oddycham z ulgą i z powrotem opadam na łóżko. Przynajmniej jej nie mam na sumieniu.

Az odgarnia na ramię długi kosmyk poprze tykanych niebieskimi pasmami czarnych włosów i pochyla się nade mną. Oczy błyszczą jej z przejęcia.

- Nie masz pojęcia, jak tu było, odkąd wyjechałaś. Ponieważ wyjechałaś!

Odwracam się w jej stronę i przytulam poduszkę.

- Przepraszam, Az.

Jednak i w tym wypadku nie ujdę z całkiem czystym sumieniem. Muszę przyznać, że odkąd wyjechałam, niewiele myślałam o mojej przyjaciółce. Miałam dość zmartwień, usiłując przebrnąć przez każdy dzień w Chaparral.

Wzdycham zmęczona. Ostatnio nic tylko przepraszam.

Az pociąga nosem.

- No cóż, teraz przynajmniej jesteś w domu. Może wszystko ułoży się po staremu?

Myślę o Willu i o tym, jak dla niego zdradziłam mój gatunek. O siostrze i o tym, jak zagubiona musi się czuć.

O starszyźnie, która pilnuje mego domu. Wątpię, czy cokolwiek będzie takie jak dawniej. A jednak mimo wszystko czuję ulgę, że jestem tu, gdzie moja dragonka może znów odżyć.

- Te zmiany są naprawdę do bani. Severin zarządził godzinę policyjną. I ograniczył nasz czas na rekreację! Wyobrażasz sobie? Wolno nam grać w piłkę powietrzną tylko raz w tygodniu. Raz! Poza tym nic tylko szkoła

I praca, praca i szkoła. To dyktator!

I to wszystko przeze mnie? Bo mama zabrała nas i uciekła? Obawiali się, że inni zrobią to samo?

- Ale nadal latamy - mamrocze. - Nie wiem, co bym bez tego zrobiła. Oczywiście zorganizowane loty grupowe. To się nie zmieniło. Ograniczył jednak nasz czas w powietrzu.

- Widziałaś Cassiana?- pytam. Az unosi brew.

- A od kiedy to masz go na oku?

- Odkąd nas odnalazł i przywiózł tutaj.

- Cassian was wytropił? To tym się zajmował? Mówiono, że wybrał się na swoją wyprawę - chichocze. - O rany, on wciąż jest w tobie zabujany po uszy!

- Wcale nie - sprostowuję czym prędzej. - Nie jest we mnie zakochany. Nawet jeżeli kiedykolwiek mu na mnie zależało...

-Jeżeli...?

Piorunuję ją wzrokiem i ciągnę dalej:

- Nawet jeżeli mu na mnie zależy, to tylko dlatego, że jestem ognioziejką. - Wartościowym zasobem, silną bronią stada.

Teraz jednak już tak nie jest. To się zmieniło. Teraz jest Tamra. Tamra, która zawsze wzdychała do Cassiana. Może on wreszcie odwzajemni te uczucia? Na myśl o tej możliwości serce mi rośnie. I budzi się jakaś inna emocja. Coś, czego nie potrafię zdefiniować. Coś, czego nigdy przedtem nie czułam.

- Niezależnie od powodu, każda dziewczyna w tym stadzie mogłaby zabić za choćby jedno takie spojrzenie, jakim obdarza cię Cassian. - Az robi grymas i kładzie się na plecach na moim łóżku. - Może nawet i ja.

- Ty? - mrugam z niedowierzaniem.

- Taaa. Nie przejmuj się. Nie zamierzałam wzbudzać w tobie wyrzutów sumienia. Zresztą i tak nigdy się nie łudziłam, że mam u niego jakieś szanse. Ani żadna inna dziewczyna - macha ręką w moją stronę. - Przy tobie każda blednie.

Wydaję z siebie jęk. Jej słowa za bardzo przypominają Tamrę. Dawną Tamrę. Tę, która tęskniła za uwagą Cassiana i akceptacją stada. Tę, która z boku przyglądała się, jak ja miałam jedno i drugie. Aż do czasu, gdy przeniosłyśmy się do Chaparral, gdzie znalazła nowe życie. Które jej odebrałam, skacząc ze skały za łowcą dragonów.

Az rozgląda się wkoło, jakby słyszała moje myśli.

- Gdzie jest Tamra?

- Nie mów, że te wieści do ciebie nie dotarły...

- Co takiego?

- Jest z Nidią. - Wykrzywiam usta w uśmiechu, chociaż w środku aż mnie skręca, że moja siostra zostanie następczynią kamufionki naszego stada. - Dochodzi do siebie.

- Po czym?

- Tamra się przemieniła. Jest kamufionką. Oczy Az się rozszerzają.

- Niemożliwe! - Gwiżdże przez zęby i przygryza wargę. -
Wygląda na to, że nie jesteś tu już jedyną chlubą stada.

- Chyba nie - mówię pod nosem i nagle nie jestem pewna, czy to dobrze, czy źle. Kiedyś chciałam być zwyczajną dragonką. Przeciętniczką, a nie wspaniałą ognioziewką, znajdującą się pod ciągłym nadzorem i presją stada. Teraz doceniam fakt, że moja wyjątkowość może stanowić jedyną gwarancję mego bezpieczeństwa. Ale jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że nowo odkryty talent Tamry oznacza dla nas jeszcze ciaśniejsze karby.

- Ciekawe, czy Cassian ją teraz zauważy - ciągnie Az. Trzeszczenie podłogi przypomina mi, że nie jesteśmy same. Podnoszę wzrok, twarz mi płonie w obawie, że mama mogła usłyszeć naszą rozmowę.

Ale to nie ona. Gorzej.

Teraz fala gorąca oblewa także moją szyję.

-Jak się tu dostałeś? - pytam, wiedząc, że mama nie pozwoliłaby mu tak po prostu wejść do mego pokoju. W każdym razie nie bez ostrzeżenia mnie.

Cassian rzuca mi głębokie spojrzenie, w jego oczach jest teraz więcej czerni niż purpury. Tę ostatnią widać tylko wtedy, gdy czuje emocje. A to chyba rzadkość.

-Jak się tu dostałeś? - powtarzam. I chwilę później zdaję sobie sprawę, że to nedorzeczne pytanie. Jest przecież jednym z nich. Jednym z moich ciemzców. Przyszłym wodzem stada. Książę może wchodzić i wychodzić, kiedy chce. - Gdzie jest moja mama? - pytam, próbując wypatrzeć ją za jego roslą sylwetką.

- Rozmawia z moim ojcem.

Przeszywa mnie dreszcz. Severin i moja matka nigdy nie stanowili udanego połączenia. Walczę z pokusą, by wybiec z pokoju, odnaleźć mamę i ją osłaniać. Śmiechu

warte. Przecież to mama jest zawsze tym wielkim obrońcą, który czuwa nade mną. Nawet wtedy, gdy tego nie chcę.

Pozostaję więc na miejscu i niecierpliwie czekam na wieści, jakie przyniósł Cassian. W każdym razie mam nadzieję, że mi powie, co się dzieje. I co mnie czeka. Wolę usłyszeć to od niego niż od Severina. Od tamtego wieczoru na Big Rock to nasza wspólna sprawa. Muszę w to uwierzyć.

Ostentacyjne spogląda na Az, jakby oczekiwał, że wyjdzie.

Żebyśmy zostali sam na sam? Nie ma mowy. Przysuwam się do niej na łóżku. Oczy Cassiana się zwięzają. Zrozumiał.

- No i co? Rozmawiałaś z ojcem. Jak brzmi werdykt? - Biorę głęboki wdech, gotowa na zakończenie tej męki i usłyszenie, czy czeka mnie podcięcie skrzydeł. Czy Severin wie, że ujawniłam się przed myśliwymi? Czy Cassian mu o tym powiedział? Już na samą myśl o tym czuję na skórze deszcz gorących iskier.

Niemożliwe, żeby mama dobrowolnie przekazała tę informację.

- Będzie dobrze, Jacindo. Przechylam głowę.

- Nie ukarzą mnie?

- Przekonałem ich, że chciałaś wrócić. Powiedziałem, że bardzo chcesz ponownie zaangażować się w życie stada. Ze będziesz się dobrze zachowywać i będziesz bardziej posłuszna. - Lekko wygina górną wargę, a ja przypominam sobie, co powiedział, odnalazłszy mnie w Chaparral. Ze mnie lubi, bo jestem inna niż wszyscy. Teraz chce, bym była taka sama.

Gwałtownie oddycham przez nos. Posłuszna. Uległa. Pokorna.

Bezwolna. Czy mnie w ogóle na to stać?

- Posłuszna? Jacinda? - chichocze Az, nieświadoma wiszącego w powietrzu napięcia. - I oni to kupili?

Cassian karci ją wzrokiem, a potem znów patrzy na mnie, wyczekując. Na co? Czy liczy na to, że usłyszy moją zgodę?

- Och. - Az poważnie na widok surowego wyrazu naszych twarzy. - No cóż, oczywiście. Jestem pewna, że Jacinda będzie bardziej... To znaczy, jestem przekonana, że ona zdaje sobie sprawę z tego, że tu jest jej miejsce. Twój ojciec na pewno to wie. Dlaczego miałaby chcieć zostawać w świecie, do którego nigdy nie zdoła się przystosować?

Milczę. Az posyła mi pytające spojrzenie. Jakże chciałabym jej wytłumaczyć, że być może znalazłby się powód, dla którego chciałabym żyć wśród ludzi. Ale wyjaśnianie Az, dlaczego zakochałam się w Willu, zajmie trochę czasu. A ponadto nie chcę mówić o tym przy Cassianie.

Nozdrza Cassiana rozszerzają się, iskrzą, podobnie jak jego myśli. Spod śniadej skóry jego twarzy przebija antracyt - niczym jakaś istota pływająca pod powierzchnią wody. Bestia, którą muszę udobruchać.

Przypominam sobie o jego zwierzęcej sile, o jego rosłej posturze ścierającej się z Willem na szczycie Big Rock. O niekontrolowanej przemocy, gdy obaj staczali się z urwiska spleceni w skotłowanym uścisku - drzę i przyciskam ręką żołądek, czując na to wspomnienie lekkie mdłości. Oni chcieli się nawzajem pozabijać. Mało brakowało.

- Zostaniesz tutaj z mamą - oznajmia Cassian, gdy staje się jasne, iż nie usłyszy ode mnie oczekiwanej obietnicy, że będę uległą i posłuszną małą dragonką. Nie chodzi o to, że nie chcę tego powiedzieć. Po prostu boję się przyrzekać coś, czego nie mogę dotrzymać. - Możesz wrócić do szkoły. I do pracy. Szkoła, praca, dom. Twoja siostra pozostanie u Nidii.

Ogarnia mnie przerażenie. Nie sądziłam, że rozdzielią nas na dłużej. Nie pamiętam, byśmy z Tamrą kiedy-

kolwiek spały dalej od siebie niż w sąsiednich pokojach. Chociaż nie czuję się z tym dobrze, przyznaję, że to ma sens. Nidia zaopiekuje się Tamrą. Zapewni jej oparcie i pomoc, których potrzebuje. Tego ani mama, ani ja nie możemy jej teraz dać. Wmawiam sobie, że na tym poprzestaną. Ze stado nie próbuje nas rozdzielić.

- Tamra kamuflonką - Az z niedowierzaniem potrząsa głową. - Nie mogę się doczekać, gdy opowiem o tym wszystkim. Ale odlot! - Moja przyjaciółka entuzjastycznie ściska mnie za rękę. - Muszę iść.

Zeskakuje z łóżka, najwyraźniej śpieszno jej, by rozgłosić wieść o bezpiecznej przyszłości naszego stada. O tym, że mamy nową kamuflonkę, która pewnego dnia zajmie miejsce Nidii.

Oczywiście, jeśli Tamra nie ma nic przeciwko temu, by przez resztę życia być związaną ze stadem. Ale czemu nie? Gdy oswoi się ze zmianą, jaka w niej zaszła, zrozumie, że już nie jest czarną owcą w stadzie - i że ma szanse u Cassiana.

W drzwiach Az rzuca przez ramię:

- Wpadnę później.

No i zostaję z Cassianem sam na sam. Dzięki, Az.

ROZDZIAŁ 4

Nie byliśmy sam na sam od tamtej chwili w Chaparral. Podczas podróży siedzieliśmy we czwórkę w ciasnym samochodzie, prawie nie rozmawiając, zatrzymując się wyłącznie po to, by zatankować, skorzystać z toalety i coś przekąsić. Teraz jednak jesteśmy tylko we dwoje.

Potrafię jedynie na niego patrzeć, sparaliżowana lękiem przed potokiem napomnień, którymi niewątpliwie mnie zasypie. Z oczywistych powodów: ujawnienie się na oczach naszych wrogów. Miłość do jednego z nich. I co gorsza, stałość uczuć do Willa mimo ujrzenia jego krwi. Jak wytłumaczyć Cassianowi, że Will nie jest złym facetem? Że nic nie może poradzić na to, kim i gdzie się urodził? Że transfuzje krwi przeprowadzono bez jego woli, gdy był chory? Ale czy moje wyjaśnienia mają jakikolwiek sens? I tak już go nigdy nie zobaczę.

W ciszy słyszę głosy naszych rodziców. Mówią podniesionym tonem.

- Co powiedziałaś ojcu? - Zsuwam się z pośłania, nagle uświadomiwszy sobie, że leżę na łóżku... a on jest tak blisko, stoi tuż nade mną. Nie rusza się i muszę go musnąć, by dotrzeć do fotela przy oknie.

- Chodzi ci o to, czy powiedziałem im, że zdemaskowałam się przed ludźmi? - Przeszywa mnie wzrokiem. - Przed myśliwymi? Udaje mi się zapanować nad odruchem wzdrygnięcia się. W jego ustach brzmi to jeszcze okropniej. Tak bardzo chciałabym temu zaprzeczyć.

- Tak. - Sadowiąc się na fotelu przy oknie, staram się udawać rozluźnioną, nieprzejmującą się ani tym napomnieniem, ani niczym innym. A zwłaszcza jego obecnością. Tutaj, w mojej sypialni, z tym zachłannym, palącym spojrzeniem, które sprawia, że w mych płucach bucha i kotłuje się żar. - Czy powiedziałaś ojcu o tym?

Ze zrobiłam tę jedną rzecz, która mogła nas wszystkich zgubić? Nie tylko stado, lecz cały nasz gatunek.

Omiata mnie wzrokiem, niczego nie pomijając. Ani potarganych włosów opadających na ramiona. Ani bosych stóp wystających spod podkurczonych nóg. Gdyby powiedział im, co się stało, gdyby powiedział wszystko, jakże mogliby mnie nie ukarać? Nawet część mnie samej wierzy, że na to zasłużyłam. Zdradziłam własny gatunek. Nie żebym chciała odwrócić wszystko, co zrobiłam. Nawet gdybym mogła. Aż nazbyt dobrze o tym wiem. Uświadomienie sobie tego to dziwne uczucie. Wyrzuty sumienia nie oznaczają, że czegokolwiek żałuję. Silniejszy niż wszelki żal jest ból w sercu, jaki czuję po stracie Willa. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak bardzo bym cierpiała, gdybym nie uratowała mu życia. Gdyby zginął tam na pustyni.

W końcu Cassian odpowiada:

-Jacindo, nie mogłem tego przed nimi zataić. To dotyczy nas wszystkich.

Trochę głębiej zapadam się w fotelu. Czuję nieomal rozczarowanie. Nie wiem dlaczego. Pomimo naszej dawnej przyjaźni nie oczekuję od niego lojalności. Dobro sta-

da jest na pierwszym miejscu, zwłaszcza dla Cassiana. Ale przecież Tamra zamroczyła myśliwych. Nie będą niczego pamiętać. Czy zatem nie mógł utrzymać tego w tajemnicy? Czy byłoby to aż tak złym posunięciem?

Ogarnia mnie chłód, który zmraza jak lodowaty strumień wody. Prawie uwierzyłam, że mu na mnie zależy, że będzie mnie bronił. Tak, jak przyrzekał. On tymczasem rzucił mnie wilkom na pożarcie.

- Musiałem im powiedzieć, że się ujawniłaś przed myśliwymi, ale nie powiedziałem im wszystkiego. Nie wspomniałem im o nim. Wbijam w niego zimne spojrzenie i wymawiam imię, które nie może mu przejść przez gardło:

- Masz na myśli Willa?

Jakiś cień przemyka po jego twarzy. Przez ułamek sekundy źrenice drgają, zwężają się i błyskają otwartymi szparkami. A potem już nic. Znowu jest jak zawsze opanowanym Cassianem.

- Tak. Nie powiedziałem im o krwi.

Dopada mnie nagle nieopanowane poczucie wstydu. Krew Willa. Krew, która ma tę samą barwę co moja. Kiwam głową.

- Gdyby wiedzieli, urządziliby na niego polowanie. Chyba mam u ciebie dług wdzięczności.

- Nie jesteś w nim zakochana - Cassian wypowiada te słowa tak nagle i z taką siłą, że aż podskakuję w fotelu. - Nawet go nie znasz. A on nie zna ciebie. Nie tak, jak ja. - Jego pierś unosi się i opada pod urywanym oddechem.

Nie odpowiadam. Zapada kłopotliwe milczenie. Pomiedzy nami narasta napięcie, gęste niczym mgła Nidii napierająca na okno. Spoglądam na swe ręce i zauważam małe półksiężycy bezwiednie odcisnięte przez moje paznokcie.

Cassian głośno wzdycha.

- Popatrz na mnie, Jacindo. Powiedz coś.

Zmuszam się, by podnieść na niego wzrok. Czy on oczekuje, że potwierdzę, iż nie kocham Willa? Zdecydowana nie omawiać z nim kwestii swoich uczuć, odpowiadam:

- Tamra ich zamroczyła. Dlaczego musiałeś im o tym mówić? Patrzą na mnie, jakbym była przestępczynią. - Zakreśliłam ręką łuk. - Mam w zasadzie areszt domowy! Oni nigdy mi nie wybaczą.

- Musiałem im powiedzieć. A co jeżeli któryś z tych myśliwych coś sobie przypomni? Tamra jeszcze nie wie, jak obchodzić się ze swoją bronią. Co jeśli efekt nie będzie trwały? Co jeśli nie zaćmiła ich pamięci wystarczająco?

Kiwam głową. Ten ruch boli prawie tak jak ból w sercu.

- Rozumiem. W porządku.

- Najwyraźniej nie w porządku. Jesteś zmartwiona. Przyciskam dłoń do klatki piersiowej.

- A ty byś nie był, Cassianie? Przez resztę życia będą traktować mnie jak zdrajczynię.

Powoli kręci głową, napinają mu się mięśnie szczęki.

- W końcu zapomną i wybaczą. Musi upłynąć trochę czasu.

- Nie możesz mieć takiej pewności.

Mówił, że spróbuje zrobić wszystko, by zapewnić mi bezpieczeństwo, ale nawet ja wiem, że nie ma w tym zakresie pełnych możliwości.

- Fakt, że Tamra jest kamuflonką, bardzo ich udobruchał.

Podobnie jak to, że obie wróciłyście.

Nawet po tym, jak opowiedział im, co zrobiłam? Patrzą na niego z powątpiewaniem. Boję się złożyć broń.

- A więc nie jestem w tarapatkach?

- Tego nie powiedziałem. - Gdy to mówi, ustępuje napięcie z jego twarzy. Po ustach błąka się cień uśmiechu.

- Przemieniłaś się w obecności człowieka, Jacindo. I jego rodziny. Na oczach łowców.

I za to muszę zapłacić. Kiwam głową, akceptując to.

- Masz sporo do nadrobienia - dodaje, znów całkowicie poważnym tonem.

- A jeśli nie dam rady? - Nie jestem pewna, czy jeszcze stać mnie na to, by komukolwiek cokolwiek udowodniać. Teraz myśl o tym, że nigdy nie zobaczę Willa, obezwładnia mnie i sprawia, że czuję się poraniona i zmęczona. Nawet jeżeli częściowo czuję ulgę z powodu powrotu do stada, nie jestem w najlepszym stanie, by móc się wiarygodnie komukolwiek podlizywać.

-To będzie ci ciężko. Ciężej niż zazwyczaj. A twoja matka... - jego głos cichnie, ale groźba wisi w powietrzu.

Zwężają się moje oczy, skóra się napina, przechodzą mnie ciarki.

- Co z moją matką?

Zerka przez ramię, jakby ją widział, niezależnie od tego, gdzie ona teraz jest.

- Nie ma u nich dobrych notowań. Obwiniają ją o zabranie ciebie i Tamry. Mówi się o banicji...

Zaczynam gwałtownie oddychać.

- To niesprawiedliwe. To ja...

-To ona ciebie stąd zabrała. Nie uciekłaś na własną rękę.

Zastanów się, Jacindo. Czy wydarzyłoby się to wszystko, gdyby twoja mama nie wywiozła cię na jakąś pustynię?

Z trudem przełykam ślinę i patrzę w okno. Boli mnie fakt, że w tej sprawie nie mogę się z nim nie zgodzić. Ze rozumiem jego logikę w całym jej okrucieństwie.

- Nikt z nas nie jest samotną wyspą. Pomyśl o tym. Czyny jednostki odbijają się na wszystkich.

I chyba właśnie pod tym względem się od nich różnię. Jestem jednostką, która naraziła na niebezpieczeństwo nas wszystkich.

Dotykam warg i mówię poprzez palce:

- Gzy nie masz tego dość? Czy nigdy nie chcesz tego, czego sam pragniesz? Nie sądzisz, że raz na jakiś czas na to zasługujesz?

Dlaczego musisz stawiać dobro stada ponad wszystko? Ponad życie jednostki? Czy ty kiedykolwiek określasz jakieś granice?

Potrafisz usprawiedliwić poświęcenie jednostki, ale co jeśli chodzi o dwoje, troje? Kiedy powiesz dość? - Kręcę głową.

Cassian patrzy na mnie.

- Tacy już jesteśmy. Dlatego udało nam się tak długo przetrwać.

To fakt, który ty kwestionujesz, mimo że cała reszta się z nim

zgadza... - Przechyliła głowę na bok. - Ale może właśnie dlatego jesteś taka wyjątkowa. Dlatego tu jestem i z tobą rozmawiam.

Dlatego się tym przejmuję.

Z trudem przelękam ślinę i wytrzymuję jego spojrzenie.

- A więc... - szukam odpowiedniego słowa, słowa, które bezlitośnie nie rozpali mi twarzy, i wybieram - ...lubisz mnie, bo jestem kimś, kto naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo?

Na jego ustach pojawia się rzadki uśmiech.

- No cóż, na pewno nie jesteś nudna.

- Cassian...

Czuję, jak moje nerwy się napinają, gdy nagle wchodzi sam Severin i staje obok syna. Ich dwóch... w moim pokoju. W życiu sobie czegoś takiego nie wyobrażałam. Cassian to jedno. Ale Severin to już całkiem co innego.

Za Severinem stoi mama, na jej twarzy malują się zaciętość i bunt. Cokolwiek było tematem ich rozmowy, nie spodobało jej się to.

- Skończyliśmy, Cassianie.

Spojrzenie Severina spoczywa na mnie. Czuję, jak w środku się kurczę. Ale tego nie okazuję. Zmuszam się do wytrzymania jego wzroku, udając, że nie przyprawia mnie o wewnętrzne uczucie słabości i roztrzęsienia. Ze nie zasługuję na potępienie.

Severin wskazuje synowi drzwi.

- Poczekaj na mnie na zewnątrz.

Cassian posyła mi przeciągłe spojrzenie, a potem nas opuszcza. Mama wchodzi głębiej do pokoju, krzyżuje szczupłe ramiona na piersi. Schudła. Zastanawiam się, jak mogłam tego nie zauważyć. Przedtem zawsze była zaokrąglona.

Severin patrzy na nią chłodno.

- Chciałbym porozmawiać z Jacindą. - Wargi alfy wykrzywia się, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. - Zaro, wystarczy, że wykazałaś się jako matka o wątpliwych zdolnościach do opieki rodzicielskiej. Nie musisz już zachowywać się tak, jakbyś teraz przejmowała się losami córki.

Po twarzy mamy przebiega cień bólu, zaraz potem jednak udaje się jej go zatuszować. Pozostaje tylko bladość, która sprawia, że jej oczy wyglądają jak ogromne rozmigotane jeziora.

Od śmierci ojca Tamra i ja jesteśmy dla niej wszystkim. Przy podejmowaniu każdej decyzji kieruje się naszym dobrem... tym, co według niej jest dla nas najlepsze. Może i popełniła parę błędów, ale nigdy nie wątpiłam, że mnie kocha.

Krew zaczyna wrzeć w moich żyłach.

- Nie mów w ten sposób do mojej matki! - ostrzegam. Severin przenosi na mnie wzrok, patrzy na mnie z góry, jakbym była błotem pod jego stopami.

- Uważaj, Jacindo. Wybaczone ci twoje przewinienia. Możesz za to podziękować Cassianowi. Ja czym prędzej

bym cię ukarał... - Spoziera na mamę. - A ciebie przepędził.

- Nie musisz robić mi łaski - prychem, niezdolna zdobyć się wobec niego nawet na odrobinę skruchy w głosie.

- Jacindo - mówi mama przyciszonym tonem, ściskając moje ramię zimnymi palcami.

Twarz Severina tężeje.

- Uważaj, Jacindo. Stąpasz po cienkim lodzie. Odtąd oczekuję od ciebie wzorowego zachowania... - jego głos zamiera w umyślnej, ukrytej pogroźce. Właściwie słyszę, jak mówi: *W przeciwnym razie podetniemy ci skrzydła.*

Nie okazuję, że mnie poruszył... że groźba działa, przeszywa mnie strachem, który sprawia, że moja skóra mrowi, a w ciele szaleje żar wijący się w poszukiwaniu ujścia.

- Nie będzie sprawiała kłopotów - odzywa się mama głosem, którego nigdy przedtem u niej nie słyszałam. Brzmi niemal kapitulacyjnie.

Usta Severina wykrzywają się w próżnym uśmiechu.

- Może tym razem lepiej ci wyjdzie trzymanie jej w ryzach.

Krótko skinąwszy głową, wychodzi. Jego kroki niosą się dudniącym echem wśród ścian naszego domu.

Domu, który nie jest już domem, lecz jedynie budynkiem, który już do nas nie należy, skoro Severin może wkroczyć do środka, wydawać rozkazy i miotać groźby, jakby miał do tego prawo.

Po raz pierwszy zadaję sobie pytanie, czy stado takim się stało... czy może zawsze tak w nim było...

ROZDZIAŁ 5

Przez chwilę stoimy w milczeniu, a potem mama ze znużenia opada na łóżko. Na ten widok serce mi się kraje. Minęło zbyt wiele czasu, od kiedy ostatni raz się przemieniła - całe lata.

Zaczyna odczuwać swój wiek.

Z płataniny pościeli i poduszek wyjmuje wyświechtanego misia, którego tato dał mi na siódme urodziny. Wyjeżdżałyśmy w takim pośpiechu, że o nim zapomniałam. Teraz cieszę się, że go tu zostawiłam. Cieszę się, że czekało tu na mnie coś ukochanego i swojskiego.

Mama skubie jedno ze sfatygowanych uszu niedźwiadka, wydając z siebie zduszone westchnienie. Słysząc w nim echo porażki, którą widać też w nagle opadłych ramionach. A więc to koniec? Poddała się?

W końcu mama odzywa się, a jej głos jest pusty i płaski, podobnie jak jej oczy.

- Chcę twojego bezpieczeństwa, Jacindo. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Kiwam głową.

- Wiem.

- Teraz jednak zaczynam myśleć, że to ja przysparzam ci najwięcej przykrości.

Gwałtownie potrząsam głową, nie lubię tej nowej, kapitulacyjnej wersji mamy. Jest kimś, kogo nie znam. I nie chcę znać. Gdy wszystko wokół się zmienia, potrzebuję jej w niezmiennej postaci.

- Nie. To nieprawda.

- Przypierałam cię do ściany na wszelkie możliwe sposoby, czy tego chciałaś czy nie. A wszystko po to, by cię chronić. - Kręci głową. - Chyba tylko pogorszyłam sprawę. Wróciłyśmy tutaj. - Apatycznie macha ręką. - A ty znów jesteś niewolnicą stada. Tyle że tym razem jest gorzej. Nie będą cię już traktować jak wielki dar losu, tylko jak rozkapryszoną buntowniczkę.

- Mamo? - głos mi trochę drży, przełykam ślinę. - Co ty mówisz? Odrywa wzrok od misia.

- Nie daj się im traktować przez resztę życia jak zbity pies. Przestrzegaj ich reguł. Nie wychylaj się. I wróć na szczyt. Rób to, co musisz.

- Naprawdę chcesz tu zostać? Chcesz, żeby Tamra tu została?

-Zabrałam was do Chaparral... w pogoni za marzeniem. Za czymś, co nigdy nie istniało. Ani dla ciebie, ani nawet dla Tamry. Drzemała w niej dragońska natura, a ja nawet o tym nie wiedziałam. - Walczy ze śmiechem, przyciska palce do ust, by go stłumić. - A ty... no cóż, przez cały czas próbowałaś mi powiedzieć, że nie potrafisz być nikiem innym poza dragonką. Ze musisz być tutaj. Natomiast ja zwyczajnie nie chciałam tego słuchać. Przepraszam, Jacindo.

Siadam na łóżku obok mamy. Może i w przeszłości zdarzało się, że mnie złościła, ale nie mogę znieść jej widoku w tym stanie. Chcę ją odzyskać. Tęsknię za jej żywiołowością. Za nią.

- Nie przepraszaj. Nigdy nie przepraszaj za bycie matką, która kocha swoje córki tak bardzo, że mogłaby poświęcić dla nich wszystko.

Trzymam jej dłoń, ściskam zimne palce i nagle przypominam sobie, że ona zawsze tu marzła. Zawsze dygotała pośród tych wiecznych mgieł i wichrów, które dla mnie są domem, balsamem i pokarmem. Ona ich nie lubiła. Nigdy. I to się nie zmieni.

- Znajdziemy sposób na życie tutaj. Na szczęśliwe życie. Ani ja, ani ty nie będziemy żyły z pochyloną głową.

Posyła mi drżący uśmiech i łagodnie mi przypomina:

- Twoja siostra może już tu chodzić z podniesioną głową. To prawda. Teraz Tamra jest na topie. A ja, o ironio, nie. Przynajmniej nie w tej chwili.

Mama głaszcze mój policzek wierzchem dłoni.

- Mieszkałam tutaj dla twojego ojca. Mogę więc to zrobić dla moich dziewczynek. To niska cena - wciąga powietrze. - Bardzo kochałam twojego tatę. Ale ta miłość była niczym w porównaniu z siłą związku, jaki nas połączył. Gdy przeżywasz gody w tytanowym kręgu, coś się dzieje, coś się zmienia. Zupełnie jakbyśmy byli fizycznie połączeni... - Jej twarz przybiera tęskny wyraz. - Czasami nie potrafiłam rozróżnić własnych uczuć od jego emocji. - Bursztynowe oczy ciemnieją. - Nawet tamtego ostatniego dnia... czułam... że coś jest nie tak, zanim jeszcze mi o tym powiedziano. I zostałam tutaj, wmawiając sobie, że ta nicość, którą czułam, nie oznacza jego śmierci. Ze nadal gdzieś tam żyje, że tylko straciłam z nim łączność i już nie potrafiłam go wyczuwać.

Przyglądam się jej w zadumie.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś? Przynajmniej o tym odczuciu, że tamtego dnia coś się tacie stało. Oczywiście wiedziałam, że wiele dragonów

wytwarza w parach pewną szczególną więź. Historyczne smoki łączyły się z partnerem na całe życie i idea dzisiejszych związków wywodzi się z tej pradawnej cechy. Dla niektórych dragońskich par ta więź sięga głębiej. Moi rodzice byli najwidoczniej jedną z nich. Wzrusza ramionami.

- Byłaś tylko małą dziewczynką, Jacindo. Nie chciałam, abyś wiedziała, że czułam jego... strach. Jego ból. To mnie o mało co nie zabiło. Bałam się, że gdybym ci powiedziała, pomyślałabyś, że czułam jego...

- Śmierć - kończę za nią. Boli mnie głowa, puls rozsadza mi skronie, gdy o tym myślę. W głębi duszy żywiłam nadzieję, że tato nie zginął. Ze trzymają go gdzieś w zamknięciu. Teraz już nie wiem, co myśleć.

Mama wzdryga się, ale kiwa głową.

- Dlaczego więc mówisz mi o tym teraz? - dopytuje się. Mama właściwie nawiązała kontakt z tatą w chwili jego śmierci... i zachowała to dla siebie?

- Musisz to wiedzieć. - Zatyka mi kosmyk włosów za ucho. - W razie, gdybyś kiedykolwiek związała się z kimś tutaj. - Moje oczy się rozszerzają. Już wyczuwam, do czego zmierza. I nie wierzę. Ona nie może sugerować, że związę się z Cassianem. - Będiesz czuła...

-Co?

Wbija we mnie wzrok.

- Będzie dobrze, Jacindo. *Dobrze?*

- Bo po latach nie będzie miało znaczenia to, że go nie kocham? Bo będę czuła coś sztucznego i będę mogła się okłamywać, że to miłość?

Energicznie potrząsa głową.

- Poczujesz tę więź. A czy wtedy będzie się liczyło, dlaczego albo jak do tego doszło?

Tak!

- Przedtem to się dla ciebie liczyło - mówię odrętwiała.

- Teraz wszystko się zmieniło. Tkwimy tutaj. Musisz spróbować jak najlepiej odnaleźć się w stadzie.

- Postaram się. Ale to nie oznacza, że muszę się wiązać. -

Zamykam oczy i pocieram powieki, usiłując ukoić pulsujący pod nimi ból. Czyja naprawdę prowadzę z matką rozmowę o korzyściach, jakie płyną z godów w celu uniknięcia potępienia stada?

- Możesz być tu szczęśliwa, prawda? Cassian... - urywa. Widzę, jak jej krtań się zaciska, nie wierząc w to, co wypowiada. -

Cassian nie jest taki zły. Nie jest całkiem taki... jak jego ojciec.

Nie całkiem taki. Kapituluję w przekonaniu, że moją prawdziwą mamę porwali kosmici.

- Mówisz poważnie?

- Stado zapomniałoby o wszystkim, gdybyś tylko ty i Cassian...

- Nie, mam! Nie! - Opieram się pokusie zakrycia dłońmi uszu. Nie słucham tego. Nie z jej ust.

- Nie twierdzę, że już teraz. Ale za jakiś czas...

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz!

Chwyta mnie za rękę, jej głos wpada w twardy ton.

- Nie jestem już w stanie cię chronić, Jacindo. Nie mam tu żadnej władzy.

- I władza Cassiana to wystarczający powód, żebym się zaprzedała?

- Nie sugeruję niczego, czego dotychczas nie brałaś pod uwagę. Widziałam cię z nim. Coś między wami jest.

Powoli kiwam głową.

- Może. Kiedyś. - Gdy nie było nikogo innego. Żadnej

alternatywnej pokusy. Zanim nie poznałam Willa. - Teraz już nie.

- To przez Willa. - W oczach mamy na chwilę pojawia się dawna żywotność. - Nie możesz być z nim. To niemożliwe, Jacindo. Nie macie szans. On nie jest jednym z nas.

On nie jest jednym z nas. Unikałam tej myśli, wzbraniałam się przed zaakceptowaniem tego faktu, teraz jednak słowa jak pociski dosięgają mnie, wbijają się głęboko, raniąc już i tak bolące serce.

Płytko oddycham.

- Niezależnie od nikłych szans, nie wyobrażam sobie życia z nikim innym. Wolę być sama.

-Och, nie bądź naiwna! On jest człowiekiem! Łowcą! Zapomnij! Znajdzie się ktoś inny.

Przez chwilę ta rozmowa dziwnie przypomina mi inną, gdy mama usiłowała namówić mnie do wyzbycia się i zduszenia mej dragońskiej natury. Teraz chce, bym tę naturę pielęgnowałam i zapomniała o Willu. Potrząsam głową.

Ale mama ma rację. I to jeszcze bardziej, niż sobie z tego zdaje sprawę. Kurczowe trzymanie się Willa jest głupotą. Błędem.

Wiem. To niezaprzeczalnie człowiek. Do tego myśliwy.

Najgorsze jest jednak to, że...

...w jego żyłach płynie dragońska krew. Jakiś dragon - przypuszczalnie kilku - musiało umrzeć, by utrzymać go przy życiu. Nawet jeśli to jego ojciec ponosi odpowiedzialność za ten straszliwy czyn, czy kiedykolwiek będę mogła znów spojrzeć Willowi w oczy? Dotykać go? Przytulać? Całować?

Myślę, że to chyba dobrze, że już nigdy go nie zobaczę. W najciemniejszych zakamarkach mego serca muszę przestać żywić nadzieję, że Will dotrzyma obietnicy i mnie odnajdzie.

- Zapomnę o nim - mamroczę, zniżając głos do szeptu.

Mama przygląda mi się. Nie sprawia wrażenie przekonanej. Ale ostatecznie muszę przecież przekonać zwłaszcza samą siebie, a nie ją.

Wieczorem w łóżku wpatruję się w błyszczące gwiazdy, którymi tato wiele lat temu pomógł mi udekorować sufit, i stopniowo zaczynam czuć się pewniej. Tak samo się czułam, będąc małą dziewczynką, gdy od śpiących rodziców dzielił mnie tylko przedpokój. Miałam poczucie, że jestem bezpieczna i że ktoś mnie chroni.

Uwalniam myśli i odnajduję Willa. Czeka na mnie w głębi serca, do której nikt nie ma dostępu.

Drzemiąc, na wpół przytomna, pogrążam się we wspomnieniach. Przypominam sobie jego... nas... w chwilach kiedy świat wokół się zawalił. Uśmiecham się do tych myśli, aż w końcu tęsknota za nim staje się zbyt mocna. Ból jest zbyt głęboki i tak słony jak gorące łzy płynące mi po policzkach.

To nie koniec, Jacindo. Jeszcze nie wszystko między nami skończone. .. Odnajdę cię. Na pewno. Znowu będziemy razem.

- Nie - szepczę w ciszy mego pokoju, chociaż serce mi krwawi. Zdradziecka część mnie chce uwierzyć w to na zawsze. - Nigdy. Potem jednak budzę się w poczuciu straszliwej prawdy, nagła świadomość przeszywa moje serce tak ostro, że aż syczę z bólu. On nie będzie miał tych wspomnień. On nie będzie pamiętał, że mi to przyrzekał.

Dotykam palcami drżących warg. *Nie będziesz pamiętał tamtej nocy i powodu, dla którego musiałam odejść. Będziesz myślał, że po prostu wyjechałam z Chaparral. Ze opuściłam cię.*

Odwracam głowę, gryzę poduszkę, tłumiąc szloch, który wyrywa mi się z piersi.

Czy on w ogóle jeszcze o mnie myśli? Zrozpaczona zastanawiam się, ile może pamiętać i jak daleko sięgającego

wspomnienia. Jaka część mnie uleciała? Tamra jest nowicjuską. Czy to możliwe, że całkowicie wymazała mnie z jego pamięci? Na tę myśl potrząsam głową. Przygryzam wargę, aż czuję smak własnej krwi. Rozluźniając zaciśnięte zęby, wmawiam sobie, że popadam w paranoję. Nigdy nie słyszałam o kamuflonie, który mógłby wymazać z czyjejs pamięci całe tygodnie. To niemożliwe. Nieprawdopodobne.

Już wiem. Muszę zapytać Tamrę. Muszę dowiedzieć się, czy wie, ile pamięci odebrała Willowi. Ile mnie wymazała z jego serca. Przewracam się na bok i czuję przyływ otuchy. Jutro. Jutro ją zapytam.

Ta decyzja sprawia, że jest mi trochę lepiej. Daje mi coś, na co się mogę cieszyć, nawet jeśli to, co powie Tamra, niczego nie zmieni.

Will jest daleko stąd, w Chaparral. A ja pozostanę tutaj.

Gdy następnego ranka wychodzę na ganek, oddycham z ulgą, widząc, że naszych cerberów odwołano z posterunku. Severin uznał chyba, że wczorajsza pogawędka wystarczy, by utrzymać mnie w ryzach.

Nadal jest bardzo wcześnie. Gęsta mgła ściele się nisko po ziemi, otulając moje łydki i unosząc się w rzadszych oparach.

Wyruszam do chatki Nidii, zdecydowana zapytać Tamrę, czy sądzi, że udało jej się zamrozić Willa i innych. Ostatecznie przecież robiła to pierwszy raz. Skąd mogła wiedzieć, co właściwie robi?

Szczeka pies Jabel. Wyobrażając sobie unoszone rolety, przyspieszam kroku. Nie chcę po drodze utknąć na pogawędce z ciotką Cassiana. Zerkam przez ramię i zastanawiam się, czy to ona jest powodem, dla którego Severin odwołał strażników. Przydaje się czujne oko siostry naprzeciwko naszego domu.

Tymczasem powinnam była patrzeć przed siebie. Z ust wyrywa mi się okrzyk, gdy niespodziewanie z kimś się zderzam.

Czyjeś ręce wyciągają się i mnie zatrzymują. Odgarniam z twarzy poplątane włosy i spoglądam w górę. To Corbin, syn Jabel.

- Jacinda - wita mnie. - Fajnie, że wróciłaś. Wykrzywia usta w uśmiechu, który wydaje się sztuczny. Ale cóż, nigdy nie było inaczej.

Corbin i ja jesteśmy w tym samym wieku. Od podstawówki chodziliśmy do tej samej klasy. Nigdy jednak nie byliśmy blisko. Zawsze był małoduszny, oszukiwał w szkole i podczas zabaw. Płatał słabszym okrutne Figle. Gdy okazało się, że jestem ognioziejką, nagle zmienił płytę i próbował mi się podlizywać, ale wtedy znałam już jego prawdziwą twarz.

Jest podobny do swojego wuja Severina. O wiele bardziej niż Cassian. To przez oczy. Corbin i Severin mają te same martwe oczy. Podczas mojej nieobecności chyba jeszcze bardziej urósł, o ile to w ogóle możliwe. Teraz jest prawie wzrostu Cassiana. Odsuwam się od jego splecionych dłoni i staram się nie okazywać onieśmienia.

- Dokąd szłaś? - pyta.

Zjeżam się na myśl o tym, że jego matka niechybnie szpieguje nas podczas tej rozmowy. I że on przypuszczalnie czyhał na mnie, aż wyjdę z domu.

- A dlaczego pytasz? Wyznaczono cię do pilnowania mnie? Obdarza mnie czymś w rodzaju flirciarskiego uśmiechu.

- Potrzebujesz ochroniarza?

Kręcę głową, żałując własnej defensywności. Tak mnie będą traktować, jeśli będę zachowywać się jak więźniarka.

- Idę odwiedzić siostrę. *- By uciszyć swą chorobliwą obawę, że Will nie pamięta naszego ostatniego wspólnego wieczoru. Bo jak dla niego, to zwyczajnie zniknęłam.*

- Aha. - Głęboko wciska ręce do kieszeni. - Pójdę z tobą.

Nie wiedząc, jak się sprzeciwić, lekko wzruszam ramionami i ruszam dalej w mgielny gąszcz. Mijamy domy z oknami wciąż pozasłanianymi przed światłem poranka. Nie przypominam sobie, żeby przedtem panował tu taki spokój, taka cisza. Upiorne wrażenie. Nawet o tak wczesnej porze zawsze już coś się działo. W tej chwili pokryty winoroślą mur otaczający osadę nie wydaje się osłoną, która nas chroni, lecz raczej barierą, która nas osacza.

- Ale cisza - mówię pod nosem.

- Tak. Nadal trwa godzina policyjna. Nie wolno wychodzić z domu przed siódmą.

- W takim razie co ty tu robisz...

- Wchodzę w skład porannego patrolu. - Pokazuje niebieską opaskę na ramieniu. Nie zauważyłam jej wcześniej.

- Patrol - powtarzam głucho, wpatrując się w błękitny materiał. - Nie wiedziałam. Czy w takim razie mam wrócić i poczekać, aż minie...

- Nie. Nie wspomnę o tobie w raporcie. *Co takiego? Raport?* Uśmiecha się tak, jakby to był prezent. Nie potrafię zdobyć się na odwzajemnienie tego grymasu. Nie chcę podarunków od Corbina. Jutro na pewno wyjdę z domu dopiero po siódmej. Odwracam się i idę dalej.

- Fajna sprawa z twoją siostrą - mówi, dotrzymując mi kroku.

- Taaa.

Zerka na mnie oczami czarnymi jak noc.

- Nie sprawiasz wrażenia zachwyconej.

- Szczerze mówiąc, nie miałam czasu, żeby to przetrwać.

Kiwa głową, jakby rozumiał.

- To będzie duża zmiana.

- Tak. Nidia pomoże Tamrze przejść przez to wszystko...

- Miałem na myśli ciebie - łagodnie przerywa mi ośli-złym głosem.

Mój puls gwałtownie rośnie.

- Mnie?

Corbin szura butami po żwirze. Ten odgłos działa mi na nerwy.

- Tak. Już nie wiesz prymu.

Przyśpieszam kroku, mijając szkołę i dom obrad. Chcę jak najszybciej dotrzeć do chatki Nidii.

- Nigdy tak nie było.

- Owszem, było. Ale teraz jesteście dwie. To oznacza jakiś rodzaj współzawodnictwa.

Przystaję i patrzę mu prosto w twarz, mimo że wolałabym iść szybciej i zostawić go daleko w tyle. Albo go uderzyć.

Unosi złocistą brew.

- Po prostu mówię, że Cassian nie może mieć was obu. Piorunuje go wzrokiem. Corbin ani drgnie. Nawet nie odwraca oczu.

Krzyżuję ręce na piersiach i postanawiam przejść do sedna sprawy.

- I że niby ty możesz mieć szansę u jednej z nas?

Znowu uśmiecha się tym swoim nieuśmiechem, a ja nagle go rozgryzam - tego pazernego chciwca, który postrzega mnie albo moją siostrę jako sposób na awans w hierarchii stada. Myśli, że może dostać tę z nas, której nie zechce

Cassian. Kuzyn po prostu dokona wyboru, a on zgarnie resztki. Jak sęp. Odczuwam pogardę. Mięśnie napinają mi się ze złości. Jestem wściekła jak diabli!

Prycham i odwracam się, ruszam dalej, zamasyście przyśpieszam kroku.

- Nigdy tak nie będzie - rzucam przez ramię.

- Nie uciekniesz przed tym, Jacindo.

- Przed czym? - Odwracam się gwałtownie, chcąc ostatecznie ukrócić wszelkie insynuacje.

-Jeśli nie zwiążesz się z Cassianem, mój wujek w drugiej kolejności weźmie pod uwagę mnie. Jacindo, mogłoby nam być razem dobrze.

- Chyba żartujesz.

Nadyma się w poczuciu własnej ważności.

- Mój ród przewodzi temu stadu od czterystu lat. Nawet twój ojciec nie mógł kwestionować władzy mojej rodziny.

- A cóż ty wiesz o moim ojcu? - rzucam.

- To, co mi opowiadano. Zanim zniknął, nieustannie podważał autorytet wujka. Ale bezskutecznie. Moja rodzina najlepiej nadaje się do tego, by rządzić stadem. Zawsze byliśmy najsilniejsi... a ta siła wzrośnie, gdy nasz ród poszerzy się o ognioziejkę i kamuflonkę.

Uczucie lepkiego chłodu na mej twarzy wzmaga się na myśl o Corbinie i o mnie. I muszę w duchu przyznać, że wyobrażenie życia z Cassianem nigdy nie napawało mnie taką odrazą.

- Odbiło ci. - Idę dalej, czując ulgę, że natręt już nie lezie za mną.

- Decyzja już nie należy do ciebie, Jacindo! - woła. - Straciłaś swą szansę. To będzie albo Cassian, albo ja.

Wiem, że to nie jest czcza pogróżka. Ostatecznie Corbin jest ulubionym siostrzeńcem Severina. Wie, co mówi.

Wie o rzeczach, o których ja nie wiem. I w przeciwieństwie do Cassiana nie próbuje po cichu mi pomagać.

Wmawiam sobie, że się cieszę, iż odkrył karty. Teraz mogę robić wszystko, by pokrzyżować jego plany. Nikt nie zmusi Tamry i mnie do godów z kimkolwiek. Chyba że tego zapagniemy.

Wzdycham na myśl, że moja siostra na pewno zechce związać się z Cassianem.

Przez mgłę niesie się za mną głos Corbina.

- Powiedz Tamrze, że zajrzę później. Przechodzi mnie dreszcz.

Chyba powinnam chcieć, by związał się Tamrą. Aby oszczędzić sobie okropnej perspektywy życia z nim. Ale Corbina nie życzyłabym najgorszemu wrogowi, a co dopiero własnej siostrze. Zdecydowanym krokiem podążam do chatki Nidii, próbując przekonać samą siebie, że stadem nie rządzi jakiś faszystowski reżim, który zniewala wszystkich mieszkańców. To jedyne miejsce, gdzie moja dragonka może cieszyć się wolnością.

Zbliżając się do domku kamuflonki, zauważam samotną postać wartownika przy bramie osady. Gdy podchodzę bliżej, rozpoznaję Gila, przyjaciela Cassiana.

Macham mu na powitanie.

- Idziesz odwiedzić siostrę? - woła.

Kiwam głową, a potem marszczę brwi na widok głupiego uśmiechu na jego twarzy.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Pozdrowię - powtarzam jak echo.

Gil nigdy nie zwracał uwagi na Tamrę. Był jednym z wielu, którzy traktowali ją jak powietrze. A teraz chce, żebym przekazała pozdrowienia?

Ogarnia mnie niesmak. Podobnie jak było w moim wypadku, nikomu tak naprawdę nie zależy na Tamrze. Nie chodzi im o dziewczynę, tylko o jej zdolności.

Pukam, a Nidia otwiera drzwi. Gestem zaprasza mnie do swej chatki, która zawsze pachnie ziołami i pieczonym chlebem. Tutaj tak wiele razy znajdowałam azyl. Zwłaszcza po śmierci taty.

Teraz jej dom jest azylem Tamry.

Wchodzę do przytulnego, ciepłego wnętrza. I zmrożona przystaję.

Nie jestem dziś jedynym gościem.

Siostra otulona kocem wygodnie siedzi na kanapie i trzyma w dłoni parujący kubek. Nie wygląda już na moją bliźniaczkę.

Włosy koloru lodu, bez śladu rudości, spływają na ramiona.

Nadal potrafi układać je perfekcyjnie, lepiej niż kiedykolwiek mnie się udawało. Ciekawe, czy Nidia ma prostownicę? Nowy

kolor włosów w zadziwiający sposób zmienia wszystko. Nawet twarz Tamry wygląda inaczej i nie przypomina mojej. Zwłaszcza z tymi szaro-mroźnymi oczami.

Przesuwam spojrzenie na gościa, który rozluźniony siedzi tak blisko na podnóżku obok kanapy. Cassian uśmiecha się do mojej siostry w otwarty, rozbajający sposób. Taki uśmiech często gościł na jego twarzy, gdy byliśmy beztroskimi dziećmi.

Lekki dreszcz przebiega mi po plecach i przez szyję wpełza pod moje włosy. Otulam się ramionami, jakbym próbowała się ogrzać. Ale do tego potrzeba mi znacznie więcej.

Gapię się na siostrę promiennie wpatrzoną w Cassiana, a w brzuchu ciąży mi zimny głaz. Nigdy w życiu nie czułam się bardziej osamotniona. Nawet tęskniąc za Willem.

Will rozumiał, co znaczy samotność. Co znaczy izolacja we własnym świecie. Obcość wśród swoich. Will to rozumiał.

Rozumiał mnie.

ROZDZIAŁ 6

Nidia głośno obwieszcza moje przybycie: -Jak to miło, że przyszedłeś z wizytą, Jacindo. Napijesz się gorącej czekolady? Kiwam głową i za chwilę już siedzę w fotelu z kubkiem w ręku. Na twarzy Tamry nadal widać uśmiech, ale wygląda on krucho, gdy siostra odwraca się do mnie i czeka, aż się odezwę. W jej tak obcych oczach czai się ta sama nieufność co w moich. Nie wiemy, co powiedzieć ani jak się zachować. My już się nie znamy. Mogłam tylko snuć domysły co do tego, jak się czuła po nagłej przemianie. Ale tak naprawdę nie wiem nic.

- Miło cię widzieć w lepszej formie - mówię w końcu, a potem kłamię: - Dobrze wyglądasz.

- Lepiej się czuję - odpowiada Tamra głosem, w którym słychać uprzejmość, ale zarazem rezerwę. Chcę pokonać tę przepaść.

Usiąść obok niej i przypomnieć, kim dla siebie jesteśmy. - Nidia świetnie o mnie dba.

-Wiedzieliśmy, że da ci najlepszą opiekę -wtrąca Cassian, a ja mam ochotę go uderzyć. My?

Powstrzymuję się, by nie odrzec, że równie dobrze mogliśmy się nią zająć mama i ja. Zawsze się sobą na-

wzajem opiekujemy... chyba że teraz stado nam na to nie pozwoli. Nie jestem pewna, która z nas ma według starszyny gorszy wpływ: mama czy ja. Wpatruję się w księżycową wersję siostry i zastanawiam się, czy ona w ogóle chce być z nami. Czy za nami tęskni? Czy chce tu zostać?

- Ty też dobrze wyglądasz, Jacindo - dodaje Tamra, a ja wiem, że kłamie. Nigdy nie przepadała za moim dżinsowym stylem. A co do reszty mnie... no cóż, przyjrzałam się sobie szybko podczas porannego mycia zębów. Miałam sińce pod oczami, a usta zadawały się blade, bezbarwne. Gorzej być nie mogło. To zabawne, że wyglądałam tak kiepsko tu w górach, pośród zimnych mgieł, które miały ożywić moją dragonkę.

- Dzięki - mówię.

-Jutro zaczynam ćwiczenia. - Tamra sadowi się nieco wyżej na poduszkach. - Z Nidią i Keane'em.

Kiwam głową. Keane jest naszym mistrzem latania. Żaden dragon nie wlatuje ku niebu, nie przeszedłszy najpierw szkolenia na linach pod opieką Keane'a.

- Z pewnością się cieszysz. - Uśmiecham się, naprawdę szczęśliwa, że Tamra odkryje, czym jest latanie. Zasmakuje wiatru, nieba i chmur. Wiem, jakie to cudowne, a teraz ona też to pozna. Przynajmniej tyle będzie nas łączyć. Moja siostra zrozumie, o czym przez ten cały czas mówiłam. Pojmie mą potrzebę utrzymania dragonki przy życiu. Trochę trudno mi to sobie wyobrazić, patrząc na obcą istotę, jaką stała się moja bliźniaczka. Tamra i latanie. Nareszcie pojmie, dlaczego nie potrafię z tego zrezygnować. Dlaczego nie mogę pozwolić, by moja dragonka uszła.

Wtedy odzywa się Nidia, a jej słowa są jak uderzenia zimnego wichru:

- Wiedziałam, że wam obu pisane są wielkie rzeczy. Byłyście wyjątkowymi dziećmi... a bliźnięta są tak rzadkie w naszym gatunku.

Podążam za nią wzrokiem, gdy zasiada przy oknie, podnosząc rzuconą tam robótkę. Druty klekoczą, a ona uśmiecha się i kręci głową, najwyraźniej zadowolona z siebie.

- Ognioziejka i kamuflonka.

Zza jej pleców wpada do środka przykurzone światło poranka. Siwe włosy Nidii połyskują, jakby w ich gęstwinie kryły się diamenty.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - dziwi się Tamra. Wygląda na oszołomioną i trochę skołowaną.

- Uwierz - odzywa się Cassian, ściskając ją za ramię.

Wbijam wzrok w jego ogromną dłoń o krzepkich palcach na jej delikatnym ramieniu i zaczynam się zastanawiać, czy on jej kiedykolwiek dotykał. Na pewno nie przez ostatnich pięć lat. Przedtem chyba tak. Gdy byliśmy dziećmi, lubiliśmy tych, których chcieliśmy, i razem się bawiliśmy.

Wtedy wszystko było proste. Aż do czasu, gdy ja się przemieniłam, a Tamra nie. Zanim stado nie uznało jej za martwą dragonkę.

Nabieram głęboko powietrza i wmawiam sobie, że to dobrze, iż on jej dotyka. Nie ma się czym przejmować. A nawet jeśli Tamra zwiąże się z Cassianem, czy to źle? Dostanie to, czego - kogo - zawsze chciała. Nie mogę żałować jej szczęścia. Dotychczas raczej jej nie sprzyjało.

Nie oznaczałoby to wcale, że muszę być z Corbinem. Niezależnie od tego, co powiedział. Nadal mogę być ognio-ziejką tego stada bez konieczności wiązania się z kimkolwiek. Corbin nie miał racji. Zwilżam wargi i mówię:

-Jestem ci winna ogromne podziękowanie, Tamro.

Mruga lodowatymi oczami.

- Za co?

- Za ocalenie nas w Chaparral.

Za ocalenie mnie tutaj, myślę, ale nie mówię tego na głos. Gdyby nie ona, prawdopodobnie cała złość stada skrupiłaby się na mnie.

- Dziękujesz mi? Nie spodziewałam się tego. Nie sądziłam, że spodoba ci się zaćmienie pamięci Willa.

Płytko oddycham.

- Wiem, że zrobiłaś to, co było konieczne.

- Owszem. Ja coś zrobiłam.

Krzywię się w przekonaniu, że sugeruje moją bierność. Nie zrobiłam tego, co powinnam. Przemieniłam się w obecności myśliwych, by ratować Willa. Tamra nigdy tego nie zaakceptuje. Rzucam niezręczne spojrzenie w stronę Nidii siedzącej przy oknie. Skupia się na robótce, ale nie jestem na tyle naiwna, by myśleć, że nie chłonie każdego słowa - wypowiedzianego czy też nie.

Jakby chcąc upewnić się, że zrozumiałam, o co jej chodzi, Tamra pyta:

- Ale ty nie zrobiłaś, prawda? Nie zrobiłaś tego, co powinnaś.

- Tamro - odzywa się ostrzegawczo Cassian. Zupełnie jakby próbował mnie chronić. Przed mą własną siostrą. Cóż za ironia, że całe lata upłynęły mi na osłanianiu Tamry przed nim! Nawet o tym nie wiedząc, nieustannie ranił ją zimną obojętnością.

- Nie mieszaj się w to - warczę.

- Chodź, Cassianie. - Nidia wstaje i kiwnięciem głowy wskazuje drzwi.

Syn alfy zgodnie wychodzi z nią na zewnątrz. Pozostajemy same. Powoli przysuwam się do kanapy.

- Nie chcę się kłócić.

Rysy twarzy Tamry łagodnieją. -Ja też nie.

- No więc - zaczynam, sadowiąc się naprzeciwko niej. - Jak się czujesz? Jak sobie radzisz z... tym wszystkim?

- Dość dobrze. - Patrzy w okno, w powietrze, które gęstnieje z każdą chwilą. Po chwili znów spogląda mroźnym wzrokiem na mnie. - Dołącz do nas dziś wieczorem. Nigdy nie latałyśmy razem. Chcę, żebyś tam była.

- Oczywiście - zgadzam się. Latanie zawsze mnie ożywia, daje siłę i podnosi na duchu. A to mi się teraz przyda. - Kiedy Nidia zacznie cię uczyć?

- Właściwie już zaczęłyśmy - rzuca Tamra ze śmiechem. - Polega to głównie na tym, że dużo gada i od czasu do czasu coś demonstruje. Twierdzi, że wkrótce będę mogła znów spróbować. Lepszego wprowadzenia nie mogłam sobie wymarzyć.

- A skoro o tym mowa, to jak myślisz, ile nabroiłaś tamtej nocy? Mruga krystalicznymi oczami. Teraz wygląda zupełnie nieziemsko. Podobnie jak te oczy, które patrzą na mnie przez jakiś woal, pod którym ukryta jest prawdziwa Tamra.

- Nabroiłam?

Krzywię się. Za późno uświadamiam sobie, że powinnam była dobrać lepsze słowo. Ładniejsze. Jej uzdolnienie to dar. Talent każdego dragona jest darem. Tak nas uczono od małego. Nawet talenty, które mogą nieść ze sobą krzywdę i spustoszenie. Tak jak na przykład zianie ogniem.

A ona jest kamuflonką. Dragonką, która nie musi nikogo krzywdzić, by chronić i ocalać życie. Powinnam się cieszyć.

Szybko próbuję naprawić swój błąd.

- Chodzi mi o to, czy znasz rozmiar tego - macham ręką - co zrobiłaś?

Siostra wpatruje się we mnie oczami ducha tak przenikliwie, że aż zaczynam się wiercić.

- Wymazałaś ich wspomnienia, ale czy wiesz, jak dalece? -

Skubię brzeg poduszki. - Czy masz jakieś wyobrażenie...?

- Chodzi o Willa, tak? - Przeczesałam srebrzyste włosy. - Chcesz wiedzieć, ile ciebie wymazałam z jego pamięci, prawda?

Jej głos nabiera w mych uszach metalicznego brzmienia i wprawia mnie w konsternację... jak napięta struna, która zaraz pęknie i smagnie mnie w twarz. Kręcę głową, instynktownie czując, że nie chcę usłyszeć tego, co ma do powiedzenia.

- N... nie...

- Ani trochę ci nie przeszło, prawda? - pyta spokojnie, ale każde słowo dudni mi w uszach jak krzyk. - Nadal się o niego martwisz.

- Nie - zaprzeczam, ale mój głos brzmi słabo i cicho. Nie potrafię przekonać nawet samej siebie. - To nieprawda. Wiem, że muszę o nim zapomnieć, ale to nie jest jak lampa, którą po prostu mogę wyłączyć. Chciałabym, żeby tak było.

Tamra wzdycha.

- Chyba potrafię to zrozumieć. Wystarczająco długo wypatrywałam sobie oczy za kimś, u kogo nie miałam szans. - Oczywiście chodzi jej o Cassiana. - Nigdy jednak nie wolno ci zapomnieć o tym, że on jest człowiekiem. Nie możesz kochać faceta, który na nas poluje.

Za moimi plecami rozlega się gwałtowne westchnienie. Zrywam się na równe nogi i odwracam. W otwartych drzwiach stoją Az i Miram, siostra Cassiana. Tuż za nimi Nidia, na której twarzy malują się szok i żal.

- Tamro, masz więcej... gości - mówi blado. Cassian też tam jest, góruje nad nimi wszystkimi.

Wyraz jego oczu sprawia, że czuję się głupio i żałośnie.

Zamykam na dłużej oczy, nagle żałując, że nie powiedziałam Az o Willu, by oszczędzić jej poznania prawdy w ten sposób. Gdy ponownie otwieram oczy i widzę jej twarz, czuję skurcz żołądka. Ruszam w jej stronę.

- Czy to prawda? - pyta stanowczo Az, patrząc tylko na mnie. - Zakochałaś się w myśliwym? Jednym z tych... psów, które ścigały nas przez las? Które próbowały nas zabić?

Widzę w jej oczach, że to wspomnienie wciąż ją prześladowuje, i z bólem w sercu uświadamiam sobie, że moja przyjaciółka nigdy nie uwierzy, iż Will na pewno nie jest zwierzęciem.

- Proszę, Az. Pozwól, że ci wyjaśnię. Will nie jest...

- Ale ubaw! - przerywa rozbawiona Miram.

- Miram - Cassian strofuje siostrę, która tylko wzrusza ramionami.

Moja przyjaciółka upuszcza koszyk, który przyniosła. Owoce i babeczki rozsypują się po podłodze, a ona sama odwraca się i ucieka.

- Az - szepczę. Wyraz jej twarzy, na której maluje się poczucie zdrady, na trwałe zapada mi w pamięć. Czuję się winna.

Pozostaje Miram. Jej złośliwy uśmiezek to największe ożywienie, jakie kiedykolwiek u niej widziałam. Znikające dragony nie okazują zbyt dużo emocji. W ogóle niewiele okazują. To część ich natury. Nijakie piaskowe włosy i podobne do nich oczy. Są bez wyrazu, przystosowane do tego, by zlewać się z kolorem ziemi.

- To dobre - zauważa. - Nie mogę się doczekać, aż opowiem wszystkim.

- Miram - mówi ostro Cassian, ale jej już nie ma. Jego siostra porusza się tak szybko, że nie jestem pewna, czy nie rozplynęła się w powietrzu.

Cassian staje obok i spogląda na mnie.

- Porozmawiam z nią.

Przez chwilę chłonę jego bliskość i otuchę, jaką daje to zapewnienie. Potem jednak biorę się w garść i lekko się otrząsam. Nawet jeżeli Cassian mówi poważnie, nie mogę oczekiwać, że będzie rządził młodszą siostrą. Mimo to, patrząc, jak długimi krokami opuszcza domek Nidii, nie potrafię uciszyć w sobie nadziei, że zdoła powstrzymać ją od rozpowszechniania wieści, które sam próbował zataić przed stadem. Dla mojego dobra. Wątpię jednak, czy to mu się uda.

Miram nigdy za mną nie przepadała. Fakt ten w połączeniu z jej zamiłowaniem do plotek może sprawić, że nowina obiegła już połowę osady. A że jest znikającą dra-gonką, potrafi się ukryć, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota. Chociaż nie cierpię uogólnień, jestem przekonana, że takie dragony z natury są zwodnicze. Cassian próbował uchronić mnie przed czymś, co jest nieuniknione. Wszyscy dowiedzą się, że ognioziejka tego stada oddała serce myśliwemu. Wprawdzie mnie ułaskawili i nie podcięli mi skrzydeł, ale tego nigdy mi nie wybaczą i nigdy już nie będą we mnie widzieć bratniej duszy.

Słuchając oddalających się kroków Cassiana, czuję, jak narasta we mnie panika. Podbiegam do drzwi i patrzę w ślad za nim, dopóki nie zniknie w porannej mgle.

Odwróciwszy się, natrafiam na litościwe spojrzenie Nidii. Od kiedy to stałam się godną pożałowania? To coś nowego.

Najwyraźniej nie ma już czego mi zazdrościć.

Tamra ze spuszczonego wzrokiem wpatruje się w swój kubek, niezdolna spojrzeć mi w oczy. Nerwowe ruchy jej dłoni mówią mi, że żałuje tego, co powiedziała, a do tego w obecności Az i Miram.

- Hej - zmuszam się, by mój głos brzmiał normalnie, wręcz pogodnie. - Nie smuć się tak.

Podnosi wzrok. Jej oczy skrzą się jak lód.

- Tak mi przykro, Jacindo. Przepraszam za to, co powiedziałam... i że one to podsłuchały...

Ruszam się z miejsca, siadam na tapczanie obok siostry i ją przytulam.

- To nie twoja wina. - Głaszczę ją po plecach uspokajającym ruchem dłoni. - W niczym nie zawiniłaś.

Obwiniać mogę tylko i wyłącznie siebie samą.

Szkoła w stadzie działa inaczej niż w ludzkim świecie. Chodzimy do niej przez cały rok, ale nigdy nie spędzamy tam całego dnia i jest to tylko parę dni w tygodniu w zależności od wybranego programu.

Aby stado mogło funkcjonować, każdy członek musi wypełniać określone obowiązki i zadania. Uprawiamy różne gatunki zbóż, w górskich potokach zastawiamy na ryby linki z haczykami, czasami polujemy na zwierzynę. Dbamy o infrastrukturę, na przykład o płoty i oczywiście zewnętrzny mur, by nie odróżniał się od dzikiego, naturalnego otoczenia.

Nawet jeżeli podczas sporadycznych wypraw do ludzkiego świata robimy jakieś zakupy, stado musi być samowystarczalne. To właśnie dlatego przed popołudniowymi lekcjami idę na dyżur do biblioteki.

Praca w bibliotece to jedno z najbardziej pożądanых zajęć. Bez porównania lepsze niż oranie pola czy konserwacja kanalizacji.

Biblioteka znajduje się za szkołą. Oba budynki są połączone wiatą. Gdy wraz z otwarciem drzwi rozlega się przyciszony pojedynczy dzwonek, nie mogę się doczekać spotkania z Taya, jedną z najstarszych geodragonek w stadzie. Jest małomówna, od towarzystwa żywej istoty woli stronice książek, ale przez te lata, kiedy byłam jej asystentką, połączył nas pewien rodzaj koleżeństwa.

Zawsze uważałam ją za skarbnicę wiedzy. Jest nie tylko bibliotekarką, lecz także kronikarką odpowiedzialną za zapis wszystkich istotnych wydarzeń w Wielkiej Księdze stada.

Gdy wchodzę, podnosi wzrok znad kroniki. Trzyma pióro nad tomiskiem oprawionym w mamucią skórę. Kartka przewraca się sama, opadając miękko i cicho jak muśnięcie skrzydła ćmy.

Taya nie musi dotykać stron, by je przewracać. Jako geodragonka ma wpływ na każdy materiał wywodzący się z ziemi. Ponieważ papier wytwarzany jest z drzew, nasza bibliotekarka właściwie nie musi bezpośrednio dotykać niczego w księgozbiorze.

Gdy podchodzę bliżej, marszczy oczy. Jest jedyną znaną mi dragonką potrzebującą okularów. Nasz gatunek ma świetny wzrok. W jej wypadku musi to więc być skutek wielu stuleci, jakie spędziła, ślęcząc nad tekstami przy słabym oświetleniu.

- Jacinda - mówi głucho, tonem, jakiego nigdy przedtem u niej nie słyszałam. Rysy twarzy ani drgną, są zastygłe niczym kamień.

Nawet nie podnosi się, by wyjść zza biurka. Mój widok kompletnie jej nie poruszył. I już wiem, że wie...

prawdopodobnie słyszała szepty krążące od wczoraj po mglistych ulicach osady.

Spędziłam większą część dnia w ukryciu, mając nadzieję, że Cassian zdoła poskromić siostrę. Mama jednak wyszła z domu, a gdy wróciła, jedno spojrzenie na jej ponurą twarz wystarczyło mi, by zrozumieć, że Miram dopięła swego.

- Witaj, Tayo. - Przystaję, by głęboko odetchnąć zatęchłym zapachem witających mnie książek. - Tęskniłam za tym miejscem. - W powietrzu utrzymuje się kłopotliwe milczenie. - A więc... - Zdobywam się na uśmiech. - Co masz dziś dla mnie do roboty?

Taya mruga oczami.

- Nikt ci nie powiedział?

- O czym?

Wykrzywia usta w grymasie niezadowolenia - nie tyle ze względu na treść wieści, ile na fakt, że to ona musi je przekazać.

- Twoje stanowisko zostało obsadzone.

- Obsadzone?

- Tak. - Energicznie kiwa głową.

I wtedy to słyszę. Serce mi zamiera, gdy w ciszy biblioteki rozlega się cichy szum. Bezbarwny, niepozorny odgłos. Od razu wiem, do kogo należy i kto wynurzy się zza rogu.

Pojawia się Miram ze stosem książek. Zatrzymuje się na mój widok. Jej twarz nie wyraża niczego.

- Co ty tu robisz? - Usta niemalże tego samego koloru co reszta dziwnie bezbarwnej cery ledwie się poruszają.

- Pracuję tutaj. Tak przynajmniej myślałam.

- To źle myślałaś. Od twojego wyjazdu dużo rzeczy się zmieniło.

Zaczynam rozumieć jak dużo.

Taya patrzy raz na Miram, raz na mnie. To przypuszczalnie więcej konwersacji niż słyszy przez cały tydzień. Wraca do pracy z bladym uśmiechem i przepaszającym wzruszeniem ramion, pozbawionym wszelkiego autentycznego żalu.

Miram macha w moją stronę ręką.

- Do widzenia.

Bez słowa odwracam się i ruszam do drzwi, mijam szkołę, ignoruję gapiów, niedyskretne spojrzenia i wytykanie palcami. Jestem już prawie przy domu obrad, gdy coś uderza mnie w głowę. Chwieję się, przykrywam dłońmi twarz, bardziej z oszołomienia niż z bólu. To piłka.

Wybuch śmiechu, głośnie szyderstwa, a zaraz potem tupot nóg dzieciaków uciekających w pośpiechu. Czuję, jak w głębi mnie rozlewa się żar. To nie był przypadek.

Zbiera mi się na łzy, co doprowadza mnie do furii. Brzydzę się tą słabością, tym, że tak dotyka mnie dziecięcy psikus. Opieram się o niski murek okalający dom obrad, starając się przez chwilę odzyskać spokój. Nie będę płakać.

Ale to nie takie proste. Policzki mi pulsują, zaczynają szczypać, a w moim wnętrzu zbiera się para.

Zamykam oczy, łykam powietrze, by schłodzić płuca. Ten gniew to niebezpieczne uczucie, to narastający żar, który szuka ujścia.

Kotłuje się we mnie nie tylko dlatego, że jakieś dzieciaki uderzyły mnie piłką. Za dużo tego wszystkiego naraz. Urażona Az. Odepchnięcie przez Tayę... Zawsze myślałam, że mnie lubi. Pociągam nosem i rozcieram go, by ukoić pieczenie.

Powinnam się tego spodziewać. Zasłużyłam na to. Te dzieci bawiące się na ulicy... naraziłam je na niebezpieczeństwo. Nigdy nie mogę o tym zapominać.

A mimo to w wyobraźni widzę twarz Willa. Gdy na mnie patrzy, jego oczy o zmiennych barwach są tak czyste, tak czułe. Obraz jest tak wyraźny, że aż ściska mi się serce. Straszny i gwałtowny ból. Tęsknota. Za jego głębokim głosem, który mnie przenika. Za tym, jak się czułam w jego obecności. Zupełnie inaczej niż teraz, będąc bezużyteczną istotą godną pogardy i kpin.

ROZDZIAŁ 7

-Zobaczmy, co tutaj mamy, dobrze? -Jabel stuka w klawiaturę i wpatruje się w monitor, a ja uznaję, że jej obecny chłód wobec mnie nie jest tylko dziełem mojej wyobraźni. Mogłam się tego spodziewać, chociaż, o ironio, jeszcze niespełna miesiąc temu zapraszała mnie na prawie wszystkie rodzinne spotkania, jakie organizowała, rozpieszczała poczęstunkami i usadzała pomiędzy Corbinem a Cassianem. Syn albo bratanek. Tak czy inaczej, miałyby ogniozijkę w rodzinie. Wiem, że zawsze do tego dążyła. Stoję naprzeciwko jej biurka i próbuję się nie wiercić. Jabel teraz na mnie nie patrzy, co mi bardzo odpowiada. Zawsze unikam jej spojrzeń. Nawet jeśli hipnodragony nie potrafią wykorzystywać swojego talentu w stosunku do innych dragonów, czuję się tak, jakby mimo to matka Corbina potrafiła wnikać do wnętrza mojej głowy i szeptać tam swe zaklęcia, usiłując wpłynąć na moje działania.

Biuro obok dudni echem głębokich głosów. Jestem pewna, że to Severin. Wraz z resztą starszyszy. Przynajmniej nie muszę go oglądać. Albo nawet gorzej - znosić przytyków na temat utraty obowiązkowego zajęcia, będącego zaszczytem, na który z pewnością nie zasługuję.

- O, jest coś.

Kiwam głową, śpieszno mi do wyjścia. Sięgnąwszy po kawałek papieru, Jabel zaczyna coś bazgrać i wyjaśnia:

- Zawsze są miejsca w zespole patroszącym zwierzynę. Zapisuję cię na poniedziałki, środy i piątki. To dni wielkich polowań i połowów. Przydadzą się wtedy dodatkowe ręce do pracy.

Czuję ucisk w żołądku. Zespół patroszycieli? Wydałam z siebie chyba jakiś głos, bo Jabel rzuca mi ostre spojrzenie.

- Co, uważasz, że jesteś za dobra, by oprawiać zwierzynę, którą się żywimy?

Kręcę głową, ale jestem pewna, że ruch ten jest powolny, nieprzekonujący.

- Nie, ale... czy nie ma nic więcej?

Przenosi wzrok z powrotem na kartkę i zamaszyście ją podpisuje. Wyrwują z bloku i mi podaje.

- Miej to przy sobie, gdy się tam zgłosisz. Zabieram świstek i wychodzę z biura, zastanawiając się, czy w ogóle powinnam była wspominać coś o potrzebie przydziału nowego obowiązku. Czy ktokolwiek zauważyłby, gdybym przez jakiś czas nie pracowała?

W przeciwieństwie do dzieciaków, które rzucają we mnie piłką, inni członkowie stada ignorują mnie i traktują jak powietrze.

Nawet moja najbliższa przyjaciółka mnie unika.

Schodząc po schodach, zupełnie jakbym przywołała ją myślami, dostrzegam Az. Wołam ją i przyśpieszam kroku, by ją dogonić.

Rzuca mi krótkie spojrzenie przez ramię i zaraz potem się odwraca.

Gdy wreszcie dobiegam do niej, jestem zdyszana.

-Az, proszę, zaczekaj.

- Po co? - Idzie dalej zamaszystym krokiem, wpatrzona przed siebie.

- Proszę, Az. Mogę znieść wiele, ale nie to, że jesteś na mnie zła.

- Czyżby? - Patrzy na mnie błękitno-czarnymi oczami. - Nie sądziłam, że to ma znaczenie.

- Pewnie, że ma. Jesteś dla mnie ważna.

- Naprawdę? - wydaje z siebie szpetny dźwięk. - Jestem? Nie wiedziałam, że ktokolwiek w tym stadzie mógłby być ważniejszy niż ten twój człowiek! - Zatrzymuje się, jej oczy w kształcie migdałów są pełne wściekłości. - Czy ujawniając się przed nim, pomyślałaś o mnie? O kimkolwiek z nas?

Błagalnie się w nią wpatruję. - Az to nie było tak. Will jest...

- Will - wypluwa to imię, a jej dłonie zaciskają się w pięści. -

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zaprzędasz nas dla jakiegoś faceta. Przez cały czas, gdy cię nie było, martwiłam się o ciebie. Nawet gdy Severin wprowadził swoje durne regulaminy i godziny policyjne, a wszyscy zaczęli narzekać, że to przez ciebie, ja mówiłam im, że się mylą. Że nigdy nie wyjechałabyś dobrowolnie. Byłam pewna, że to robota twojej mamy. Że was porwała czy coś w tym stylu. Ależ ze mnie matoł! - Potrząsa głową, włosy falują wokół niej jak woda. - A ty przez cały czas obściski-wałaś się z jakimś tam człowiekiem... z myśliwym!

- Az, proszę...

- Czy kiedykolwiek zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

- Tak, oczywiście.

Podnosi rękę, jakby chciała mnie odepchnąć.

- Przepraszam, Jacindo, ale nie mogę z tobą teraz rozmawiać. -

Mierzy mnie wzrokiem. - Już cię nie znam.

Odwraca się na pięcie. Jej przetykane błękitnymi pasemkami włosy są jak kolorowy kleks na tle kredowej

mgły. Bezradna dostrzegam na drodze przed nami Mi-ram. Macha do Az. Wstrzymuję oddech w nadziei, że moja przyjaciółka nie zaczęła przestawać akurat z nią. Az jednak dołącza do niej i razem się oddalają.

Przez chwilę stoję jak wryta, smutek ściska mi gardło. Potem zaś, uświadomiwszy sobie, jak samotnie tu sterczę i jak żałośnie muszę wyglądać, spoglądając za byłą przyjaciółką, ruszam przed siebie. Noga za nogą. Lewa, prawa, lewa, prawa.

Powinnam zgłosić się do nowej pracy. To byłaby odpowiedzialna postawa. Ale jest mi wszystko jedno. I tak już wszystkich zawiodłam. Już nie zdołam rozczarować ich bardziej niż dotychczas.

Bawię się kolacją, przesuвам jedzenie po talerzu, żeby wyglądało tak, jakbym jadła. Mama zrobiła chleb z werdaborówek, ale nawet on nie jest w stanie przywrócić mi apetytu.

Przez kuchenne okno wpatruję się w zapadający zmrok, wyobrażając sobie Tamrę i innych zbierających się do grupowego lotu. Zajrzała do nas przedtem, by dowiedzieć się, czy chcę się przyłączyć. Może jestem egoistką, ale nie mogłam się na to zdobyć. Nie jestem gotowa, by wraz z siostrą i innymi wzbić się w przestworza. W marzeniach, gdy wyobrażałam sobie, jak wszystko powinno wyglądać, zawsze byłyśmy dwie.

-Jak ci minął dzień? - pyta mama.

Akurat o tym chciałabym zapomnieć. Albo przynajmniej przeczekać do jutra, by móc powiedzieć, że oficjalnie mam to za sobą.

Przenoszę wzrok na puste miejsce Tamry i szybko odwracam spojrzenie... by zaraz zorientować się, że gapię się tam, gdzie przeważnie siadywał tato.

Nie ma bezpiecznego kierunku, w którym mogłabym patrzeć. Otacza mnie pustka. Po prawej krzesło taty. Naprzeciwko miejsce siostry. Tylko mama po lewej. I ja.

- Dobrze. - Kruszę kawałek chleba, rozgniatając werdaborówkę. Palce zalewa mi zielony sok.

-Jedz widelcem - strofuje mnie mama.

Biorę do ręki sztuciec i dźgam nim ciemny chleb. Nie będę na niej wyładowywać emocji akurat teraz, gdy wygląda tak wątle. Jeżeli mnie nie jest łatwo, to ona tym bardziej źle to znosi. Zwłaszcza odkąd stado oskarża ją o porwanie nas.

- A ty? - pytam. - Co robiłaś?

Wzrusza szczupłymi ramionami, jakby nie było niczego, o czym warto mówić. Przypominam sobie uderzenie piłką w głowę i zastanawiam się, czy coś takiego przytrafiło się także mamie. Na tę myśl zaciskam dłoń na widelcu tak, że bołą mnie kostki.

- Fajnie było zobaczyć Tamrę - odpowiada.

- Tak - przyznaję.

- Ona... dobrze wygląda. -Tak.

Błada jak sopel lodu.

- Spędza dużo czasu z Cassianem - zauważa mama, przyglądając mi się badawczo, by sprawdzić, czy mnie to porusza. - Chyba jest szczęśliwa.

Lekko kiwam głową. Nie sposób zaprzeczyć. Tamra rzeczywiście wyglądała na szczęśliwą. Ale teraz ma Cassiana.

Dlaczego nie miałyby się cieszyć?

Po chwili mama dodaje:

- Miałam spokojny dzień w przychodni.

- To dobrze - mamrocze z ulgą, że mama nie straciła posady. Jako herbodragonka, albo raczej niegdysiejsza herbodragonka, świetnie nadaje się do pracy przy chorych

czy rannych, przygotowując kompresy i lekarstwa, które przez pokolenia utrzymywały nasz gatunek w dobrej formie. Nie widzę powodu, żeby mieli ją zwolnić, kierując się wyłącznie złością. W ten sposób wyświadczyliby stadu niedźwiedzią przysługę.

- Porządkowałam leki - wyjaśnia monotonnym głosem. - Chyba nikt tego nie robił od mojego wyjazdu.

Powoli kiwam głową, zbieram się na odwagę, by się przyznać:

- Wyznaczyli mnie do innej pracy.

Mam nadzieję, że mój głos brzmi równie obojętnie jak jej. Muszę jej o tym powiedzieć. W końcu i tak by się dowiedziała. Jeżeli nie ode mnie, to od kogoś innego.

Czekam na uniesienie brwi, ostry ton w pytaniu, dlaczego to zrobili. W gruncie rzeczy wypatruję tej opiekuńczej, czujnej matki, jaką zawsze była.

Jej głos brzmi jednak głucho.

-Już nie pomagasz w bibliotece?

- Nie. - Wkładam do ust kęs i szybko go żuję w obawie przed wypowiedzeniem kolejnych słów. -Jestem w zespole patroszycieli.

Podnosi wzrok.

- Oprawiasz zwierzyne?

- Tak. - Rozdrabniam chleb z werdaborówkami, aż pozostają tylko okruchy. - Potrzebowali dodatkowych rąk do pracy.

- Kto cię tam przydzielił? - pyta cicho. Wzruszam ramionami w przekonaniu, że ta wiadomość wyprowadzi ją z równowagi.

—Jabel mnie tam skierowała. Cisza.

Mama przez chwilę milczy z oczami wpatrzonymi w talerz, a potem wstaje od stołu i zabiera swe nakrycie

do kuchni. Wzdrygam się, słysząc, jak z łoskotem wrzuca je do zlewu. I nadal czekam. Ze coś powie, coś zrobi. Ze przejdzie przez ulicę i zbeszta swą starą przyjaciółkę Jabel. Prawie

wyobrażam sobie ten krzyk, słyszę, jak mama dopytuje się, dlaczego jej córce przydzielono tak wspaniałe obowiązki zarezerwowane dla tych, którzy przygotowują się do pracy w grupie myśliwskiej.

To byłoby coś, co znam. Coś, co jest dla mamy charakterystyczne.

Cisza. Nadstawiam uszu. Słyszę odgłos odkorkowywanej butelki i cichy plusk wina w kieliszku.

Po chwili wraca do pokoju, zatrzymuje się przy stole z lampką w rękę. Ciemnozielony płyn niebezpiecznie blisko sięga krawędzi szkła. Mama patrzy na mnie z nad kieliszka, pociągając głęboki łyk ziołowego wina.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszam ją, bo nie wiem, co powiedzieć. Ona nie zachowuje się jak moja mama. -

Narozrabiałam i muszą mnie jakoś ukarać. Z czasem będzie po sprawie.

Powoli upija kolejny łyk wina i patrzy na mnie mętным wzrokiem.

- Tak. Chyba masz rację.

I znów znika w kuchni. Wraca z pełną butelką ziołowego wina wtuloną między rękę a tułów. Gdy korytarzem podąża do sypialni, nie odrywam od mamy oczu. Zamyka za sobą drzwi. Po chwili rozlega się stłumiony dźwięk telewizora.

Przez chwilę siedzę przy stole i się rozglądam. Trzy puste krzesła.

Szybko wstaję, bo nie potrafię pozostać tam ani chwili dłużej.

Zbieram nakrycia ze stołu i odnoszę je do zlewu. W kuchni panuje gęsta cisza, w oddali rozlega się przytłumiony odgłos audycji oglądanej przez mamę. Gdy zmywam

naczynia, zerkam w kuchenne okno i tłumię westchnienie. Miseczka wyślizguje mi się z dłoni, odbija się od zlewu i rozbija o posadzkę. Mimo to nie ruszam się, nie patrzę nawet w dół, by zidentyfikować przyczynę piekącego bólu z boku stopy. Nie mrugając, wlepiam wzrok w odległy kraniec zaniedbanego ogrodu. W mroku czai się tam jakaś postać. Obserwujące mnie oczy zdają się płonąć, przeszywać wieczorną mgłę, ściany domu. Mnie.

Opary kotłują się, owiewają go niczym dym z torfowego ogniska. Rzedną, by wreszcie ujawnić twarz - krzywy uśmiech Corbina. Stojąc tam tak bezczelnie, wygląda na zadowolonego z siebie. Moja skóra skwierczy, w nabrzmiewających płucach wzbiera pulsujący żar, a wyostrzony wzrok dokładnie odczytuje ten uśmieszek.

On myśli, że już mnie ma. Na wyciągnięcie ręki. Tam-ra i Cassian mają siebie, a ja, która popadłam w niełaskę stada - czyż nie powinnam rzucić się w ramiona jedyne go dragona, który mnie zauważa? Który mnie chce? Prawda? Nie!

W mojej piersi kotłuje się ogień. Corbin pewnie myśli, że padnę przed nim na kolana, wdzięczna za każdy ochłap, który rzuci mi pod nogi, za wybawienie z tej nowej, smutnej i pozbawionej życzliwości egzystencji w stadzie.

Gniewnie patrząc na tę owianą mgłą postać, pociągam za sznurek i głośno zaciągam rolety. Nadal jednak widzę go oczami wyobraźni, jak wlepia we mnie wzrok, obserwuje, pilnuje. To dziwne. Wróciłam do domu, za którym tak tęskniłam, do chłodnych mgieł okrywających wilgotnymi pocałunkami me spragnione ciało. Ale równie dobrze mogłaby mnie otaczać martwa pustynia. Znowu. A tym razem nie ma tu Willa, który przywróciłby mnie do życia. Jest tylko pustka.

Tej nocy sprawdzam, czy zamknęłam okno. Przedtem nigdy się tym nie przejmowałam, nawet w Chaparral. Dziś jednak z jakiegoś powodu czuję potrzebę zrobienia tego. W pamięci utkwily mi rozpalone oczy Corbina.

ROZDZIAŁ 8

Dni mijają spokojnie, jeden po drugim, niczym przewracające się stronicie książki. Moje życie zmienia się w rutynę, samotność mnie przytłacza. Gdy wracam z pracy do domu, zapada zmierzch. Mgła się zagęszcza, a gasnące promienie słońca z trudem przedzierają się przez mętne powietrze, w obronie przed nocą ciskając tu i ówdzie jasne snopy światła.

Słyszę ciche kroki, jeszcze zanim mogę go dojrzeć. We mgle przede mną materializuje się Cassian. Oboje zatrzymujemy się i stajemy twarzą w twarz. Mieszka na drugim końcu osady.

Domyślam się powodu, dla którego zapuścił się tak daleko na południe. Wiem, skąd wraca, gdzie był. Tam, gdzie spędza większość swego czasu.

- Cassian - witam go i przebieram palcami, pocierając ich opuszki, jakby wciąż była na nich krew wszystkich ryb, które dziś oczyściłam.

-Jacinda. Co słyhać? - pyta, jakby łączyła nas uprzejma znajomość. I chyba w pewnym sensie tak jest. Od chwili gdy postanowił skupić uwagę na mojej siostrze. Nagle brzydzi mnie jego widok. Czuję się wykorzystana, okłamana. On nigdy mnie nie chciał. Nigdy naprawdę nie lubił mnie samej.

Mgła muska mnie po twarzy, gdy gniewnie spoglądam na Cassiana. Coś we mnie rozsypuje się niczym sznurek rozpakowywanej paczki.

Cassian patrzy na mnie z góry, z rękami założonymi na plecach. Tak jak Severin albo inni członkowie starszyzny patrzący na mnie wilkiem. Chyba powoli staje się jednym z nich.

Przeszywa mnie dreszcz żalu. Nie cierpię tego, że Cassian przypomina mi ich - swojego ojca. To gorzka pigułka po tym, jak niemalże przekonał mnie, że jest inny. Chciałam mu wierzyć. W głowie wciąż kołaczą mi słowa, które wypowiedział w Chaparral, gdy próbował namówić mnie, bym wróciła z nim do domu.

Masz w sobie coś... Tylko w tobie widzę autentyczność, tylko ty mnie naprawdę fascynujesz-

Kłamał, by zdobyć moje zaufanie. Albo zmienił zdanie. Tak czy owak, już go nie interesuję. Na pewno nie w takim stopniu, jak Tamra.

W końcu, nie doczekawszy się odpowiedzi, mówi:

- Musisz przestać.
- Co przestać?

Nachyla głowę, spogląda na mnie pociemniałymi oczami.

- Przestać się zadreć. Tęsknić za jakimś...
- Nie chcę tego słuchać. - Kręcę głową. - Nie sądzę, że cię to naprawdę obchodzi, ale ja już wybiłam to sobie z głowy. - Łatwiej mi powiedzieć „to”, chociaż oboje wiemy, że mam na myśli Willa.

- Dlaczego więc nadal widzę go w twoich oczach? Wrywa mi się z ust syk bólu.

Uderzam pięścią w muskularną pierś Cassiana, zrzucając na niego całą frustrację, całą udrękę.

Ani drgnie. Znów go uderzam. Nadal nic. Przyjmuje ciosy.

Spogląda na mnie z góry nieprzeniknioną czernią

swoich oczu. Dusząc szloch, wymierzam mu raz za razem. Ciosy lądują wszędzie, gdzie się da. Zaczynam widzieć niewyraźnie i uświadamiam sobie, że płaczę.

To wprawia mnie w jeszcze większą wściekłość. Załamanie w obecności Cassiana, utrata panowania nad sobą, poddanie się słabości na jego oczach...

- Jacindo - odzywa się znowu. Tym razem głośniejszym głosem, bo nie mogę przestać, nie potrafię poskromić nawałnicy moich pięści na twardą skałę jego piersi. - Dość tego!

Powstrzymuje mnie. Od początku mógł to zrobić, ale teraz czyni to naprawdę. Przyciąga mnie do siebie, nie po to, by przytulić, lecz raczej po to, by obręczą ramion zablokować moje ruchy.

Ogarnia mnie niepokój. Nasze ciała są teraz tak blisko. Ciasno do siebie przylegają. Oddychamy w szybkim, zgodnym rytmie.

Odchylam głowę, spoglądam mu w twarz. Widzę go takim, jakim go nigdy jeszcze nie widziałam.

On już nie patrzy na mnie. Jest raczej tak, jakby badawczym wzrokiem zaglądał do mego wnętrza. Akceptując mnie taką, jaka jestem. Czuję bliskość, jakiej nie zaznałam od chwili powrotu do stada. Jest to obietnica końca mojej paralizującej samotności.

Jeżeli pozwolę, by to się stało. Jeżeli to zaakceptuję.

Znowu ogarnia mnie panika. Przecież chodzi o Cassiana.

Szloch ściska moje gardło i strzępami przedziera się przez usta.

Na dłuższą chwilę zamykam oczy i biorę się znów w garść.

Oswobodziwszy się z ciepłego uścisku, wymijam Cassiana.

Chwyta mnie za rękę i obraca mną, jakbyśmy wykonywali figurę taneczną.

Piorunuję wzrokiem jego dłoń na moim przedramieniu.

- Puść mnie.

Przez moment milczy, ciężko oddycha.

- O co tak naprawdę chodzi? Dlaczego przede mną uciekasz?

Najpierw nie mówię nic. Jedynym dźwiękiem, jaki wydaję, jest urywany oddech. A potem wybucham:

- Okłamywałeś mnie!

Przecina mętne powietrze ruchem wielkiej dłoni.

- Kiedy cię okłamałem?

Idę dalej, jakbym go nie słyszała. I nie słucham. Nie warto.

Nareszcie dotarło do mnie, jak szybko mnie porzucił po przemianie Tamry.

- Wcale nie byłam dla ciebie kimś wyjątkowym. Widziałeś we mnie tylko ognioziejkę. Nic poza tym. Nigdy nie zależało ci na mnie.

A teraz jest Tamra. Ale w rzeczywistości nie chodzi o nią. Moja siostra i dla niego, i dla reszty stada jest tylko jednym - cenną kamuflonką.

Teraz wiem. Teraz widzę, jaki naprawdę jest.

- Zawsze byłem z tobą szczery. - Jego nozdrza falują, grzbiet nosa są wyostroża, pulsuje wraz z przyływem emocji. Na ten widok powinnam się wycofać, ale wtedy nie byłabym sobą.

- Akurat - wyrzucam z siebie.

Teraz cały się trzęsie, czerń oczu zachodzi purpurą.

- Chcesz usłyszeć prawdę, Jacindo? Co na to powiesz? Nie mogę znieść twojego widoku. Nie teraz, gdy wałęsasz się tu jak ktoś, komu potrzebny jest nadzór, by nie popełnił samobójstwa... a wszystko przez faceta, który prawdopodobnie już o tobie zapomniał i wyruszył na następne polowanie.

Zaciskam dłonie, paznokcie wrzynają mi się w ciało. Tyle chciałabym teraz powiedzieć, przede wszystkim, że Will o mnie nie zapomniał. Ale w tej kwestii nie mogę

się spierać. Powinam mieć nadzieję, że to prawda. Przyrzekałam, że zapomnę o Willu, ale wciąż zżera mnie rozpaczliwa tęsknota za nim - niczym żmija, która wiję się w mym ciele i rozsiewa truciznę.

Nie mam Willa. Nie mam niczego. Niczego poza gorączkową potrzebą złapania się czegoś, czegokolwiek, co uchroni mnie przed otchłanią samotniczej egzystencji.

Zamiast tego jednak rzucam:

- A moja śmierć tylko by cię rozbawiła, co? Patrzy na mnie badawczo, niedowierzająco.

- Naprawdę myślisz, że pragnę twojej śmierci? - Jego oczy są szeroko otwarte i przenikliwe. Ich widok wprawa mnie w zwątpienie. Może mu jednak na mnie zależy? Zdezorientowana tymi myślami i emocjami, zaczynam dygotać. - Czego ty ode mnie chcesz, Jacindo?

Zerkam na jego dłoń nadal spoczywającą na mym przedramieniu. Moja skóra płonie, zwłaszcza tam, gdzie on jej dotyka.

- Puść mnie.

Stoi tak blisko. Góruje nade mną. Sprawia, że czuję się maleńka, chociaż tak nie jest.

-Muszę iść - mówię głośniejsz. I idę. Muszę. Natychmiast.

W odpowiedzi jego skóra zaczyna się rozmazywać, spod ludzkiej powłoki prześwituje ciemniejsza, dragoń-ska, przypominając mi o tym, kim on jest. I kim ja jestem. Powraca wspomnienie tego, co wszyscy zawsze myśleli: że idealnie do siebie pasujemy. Teraz myślą to samo o nim i Tamrze.

Jego wargi rozsuwają się i odsłaniają białe zęby kontrastujące z oliwkową cerą.

- Dlaczego? Żebyś mogła być sama? To ci bardziej odpowiada? Patroszenie ryb za dnia, a potem nocą płacz

w poduszkę? Tego chcesz? Czy nie przyszło ci do głowy, że ja nie odsunąłem się od ciebie tak bardzo, jak ty mnie odpychasz? Jesteś po prostu samolubną, wystraszoną dziewczynką, która woli lizać swoje rany niż żyć.

Jego słowa uderzają mocno, głęboko przeszywają moje serce. Zbyt bliskie są prawdy. *Jesteś po prostu samolubną, wystraszoną dziewczynką...*

Mój wzrok się wyostrza, staje się klarowny, a ja zdaję sobie sprawę, że patrzę na niego przez pionowe źrenice. Żar gryzie mnie w krtań, pali nozdrza i usta.

Chwiejnie cofam się o krok. Tym razem Cassian się nie rusza. Pozwala mi odejść.

Odwracam się i biegnę przez mgłę, aż w mych płucach rozpala się ogień gotów wydostać się z za ciasnej piersi. Napawam się nim - to przyjemność granicząca z bólem, która skutecznie odwraca mą uwagę. Nawet zwolniwszy kroku, postanawiam iść dalej, nie zatrzymywać się, dopóki nie odzyskam panowania nad sobą. Dopóki nie przestanę czuć uścisku ramion Cassiana.

Dopóki nie ucichną dudniące mi w uszach jego słowa.

Samolubna, wystraszona dziewczynka. Samolubna, wystraszona dziewczynka.

Przeklinam go za to, że zajrzał w głąb mojej duszy. Za to, że może ma rację. Czerwonożłota łuna odchodzącego dnia przenika mgłę. Płomienne światło muska moją skórę, połączając mnie tu i ówdzie, przypominając mi, jak wyglądam w pełni przemienionej postaci. I o tym, czym jestem. Czym zawsze byłam. Pustynia tego nie zabiła. Nic nie jest w stanie tego uśmiercić.

Teraz już wiem. Moja prawdziwa natura nigdy nie umrze. To chyba jedyna rzecz, którą wiem na pewno.

Przeżyłam starania mojej matki, chcącej zabić we mnie dragonkę. Przeżyłam pustynię, osaczających mnie

myśliwych o łakomych spojrzeniach, strach tak gęsty, że czułam jego smak. Po tym wszystkim wiem, że dragonka we mnie przetrwa. Nie muszę się już martwić utratą części siebie.

Powinnam być szczęśliwa. Czuć ulgę.

Ale tak nie jest. Pieką mnie oczy, pośpiesznie mrugam.

Poruszam się, ciężko oddychając. Płuca napełniają się aromatem słodkiej żyznej gleby. To ona utrzymuje mnie przy życiu. Nawet jeśli moja dusza pragnie czegoś więcej. Willa.

Wzbiera we mnie gniew. To szaleństwo, że tęsknię za chłopakiem, którego na zawsze straciłam. Dlaczego nie potrafię oderwać się od przeszłości i odnaleźć szczęścia w stadzie?

I wtedy w zamglonym zmierzchu dostrzegam kontur. W oparach mgły wznosi się niszczejaca baszta niczym starodawne powyginane drzewo porośnięte bujną winoroślą. Nie tak wysoka jak inne wieże strażnicze strategicznie rozmieszczone po całej osadzie, ale najstarsza, wybudowana jako pierwsza, kiedy nawet nie wyobrażano sobie stadnej egzystencji bez kamuflona i nie widziano potrzeby przygotowywania się na taką ewentualność. To podejście z czasem się zmieniło. Gdy Nidia się starzała i nie pojawiał się inny kamuflon, narastała obawa, że następne pokolenie dragonów będzie musiało obyć się bez mgielnej osłony. Budowano więc nowe wieże, solidniejsze i wyższe niż przedtem, przygotowując się na czasy, gdy chroniąc osadę, będziemy zdani wyłącznie na siebie.

Zatrzymuję się pod basztą i spoglądam w górę. Wieże strażnicze zawsze są zamaskowane pnączami winorośli i jeżyn, doskonale wtapiającymi się w leśne otoczenie. Ta jednak wygląda bardziej naturalnie niż inne. I to mnie ujmuje. Uwielbiam dzikość, z jaką rewanżuje się naturze.

Tej baszty nie używano od lat, dłużej niż jestem na świecie. Ów zapomniany zakątek często odwiedzałam w dzieciństwie i świetnie go pamiętam.

Kładę dłoń na zwietrzałym szczeblu i zaczynam się wspinać. Jakieś zwierzę spłoszone moim wtargnięciem ucieka w górę. Przedzieram się przez gęstwinę liści. Gdy wspinam się coraz wyżej, sprężyste gałęzie uderzają mnie, niczym ostre pazury szarpią mnie za włosy. Pod stopami trzeszczy próchniejące drewno. Docieram do wierzchołka i z westchnieniem ulgi kładę się na plecach na omszałym podeście.

Kładę dłoń na brzuchu, czuję, jak oddycham, jak płuca się rozszerzają. I wszystko powraca. Moja miłość do tego miejsca. Miejsca, w którym mogę bezpiecznie żyć. Gdzie mogę być sobą. Z dala od wścibskich oczu.

Spod zielonej osłony listowia widzę przesuwane się po niebie obłoki. Siadam, krzyżuję nogi i patrzę na ogromne morze zieleni falujące wokół. Tam jest stado. Przez mgłę Nidii prześwitują strzechy pokryte zieloną dachówką.

Pomiędzy budynkami kotłują się mgielne opary, otulają pola, wpełzają na mury osady i rozlewają się po okolicy niczym żywa istota, osadzają się gęstą, pianistą bielą w dolinach i na niższych pagórkach. Przez okrycie z mgły przebijają się tylko czubki najwyższych drzew.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę.

Kurczę się w sobie i podciągam kolana pod brodę, gdy zza krawędzi wyłania się ciemna głowa Cassiana, a za nią cała reszta. Siada koło mnie, drewno pod nami trzeszczy.

- Wiesz, to przypuszczalnie śmiertelna pułapka. Już dawno powinni byli ją wyburzyć.

- To byłaby profanacja. Zbyt wiele wspomnień się z nią łączy - protestuję. - Nikt nie mógłby tego zrobić.

Wyciąga rękę i gładzi omszałą balustradę.

- Tak, to prawda. Ciekawe, ile pierwszych pocałunków tu skradziono.

Na tę myśl czuję ucisk w sercu. Mój pierwszy pocałunek nie zdarzył się tutaj. To było z Willem. Tam daleko. Wybiegam wzrokiem ku horyzontowi świata rozciągającego się pode mną, jakże innego od pustyni, gdzie moje serce odnalazło Willa. Ten pierwszy pocałunek pewnie powinien się tu wydarzyć.

Prawdopodobnie tak by było, gdybym nie wyjechała.

Wciągam nozdrzami chłodne, wilgotne powietrze.

- Dlaczego za mną poszedłeś?

Głos Cassiana dudni w powietrzu tak gęstym jak noc, która zapada wokół i zamyka nas w mrocznej kapsule.

- Myślałaś, że tego nie zrobię?

Nie odpowiadam. Wpatruje się we mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Zaczyna padać deszcz, a jego bębnienie wzmacnia milczenie między nami. Woda przedostaje się przez dziury i szczeliny dachu, obsypując moje włosy zimnymi kroplami. Nie mam nic przeciwko temu. Zimno nigdy mi nie przeszkadzało. Cassian przechyla głowę, woda osadza się na gładkich, ciemnych kosmykach niczym kryształowe paciorki.

- Naprawdę myślisz, że nie przejąłbym się twoją śmiercią?

Odchylam się do tyłu, przypominając sobie, że oskarżyłam go o obojętność wobec moich losów.

- Unikałem cię, bo jestem cholernie wkurzony... - Potrząsa głową, rozrzucając krople wody. Pasma włosów rytmicznie przesuwają się po ramionach. - Nie chcę, żebyś znowu narażała się na ryzyko. Świat ludzi... Will. To zbyt niebezpieczne. - Cassian bierze mnie za rękę. Przez sam dotyk czuję bicie serca, puls jego życia zgrany z moim.

- Gdybyś nie żyła... załamałbym się. - Jego głos jest donośniej szy niż stukot deszczu. - Wszystko, cokolwiek ci mówiłem, było prawdą. Moje uczucia wobec ciebie nie zmieniły się, Jacindo. Nawet jeśli tutaj, w stadzie, doprowadzasz mnie do szału... nadal jesteś dla mnie jedynym promykiem światła.

Nie wiem, które z nas pierwsze się poruszyło.

Może oboje jednocześnie? Albo może nie chcę przyjąć do wiadomości faktu, że to mogłam być ja. Moja głowa wysuwająca się do przodu, moja mokra twarz unosząca się ku jego twarzy.

Moje serce bijące tak głośno, że zadudniło mi w piersi jak młot.

Pierwszy dotyk jego ust jest miękkiej. Któreś z nas drży. Ja albo on.

A może oboje? Nie wiem, nie przejmuję się tym.

To lekki pocałunek, muśnięcie warg, dotykanie, smakowanie, jakby w obawie przed wzajemnym spłoszeniem. I tak rzeczywiście jest.

Jednakże nawet radość, jaką w tej chwili czuję, nie przesłania mi całkowicie świadomości tego, co się dzieje

- osobliwości faktu, że całuję Cassiana. To przerażające, gdy robi się coś, co przez tak długi czas było nie do pomyślenia. Ale sądzę, że to napięcie między nami istniało chyba zawsze. Tego wieczoru daję się mu porwać. Dopóki nie spotkałam Willa, zastanawiałam się nad sobą i Cassianem, nad tym, jak byłoby nam razem. I myślałam: może. Chociaż nigdy tego otwarcie przed sobą nie przyznawałam. Nigdy nie potrafiłam - ze względu na Tamrę. Ponieważ po prostu wpajano mi, że kiedyś będziemy razem, a nie pytano o zdanie.

Teraz jednak, nawet wiedząc to wszystko, nie przestaję. Nie odsuwam się i nie uciekam.

Delikatna pieśczoć jego mokrych od deszczu warg jest słodka, ekscytująca. Nachyliłam się ku niemu, kosz-

tuję smaku jego ust. Moje serce się rozgrzewa, mięknie, znów czując tę intymność, więź z drugą istotą. Aż pocałunek się zmienia.

Napięcie powoli wzrasta. Intensywność nabiera takiej głębi, że czuję ją w kościach, w mrowieniu ciała, w gorącym pulsie krwi. Jego wargi łapczywie pochłaniają moje i stają się coraz bardziej zachłanne, twarde i zarazem miękkie.

Jęczę, a on szybko odchyła głowę i gładzi palcami mą twarz.
- W porządku...

Skinąwszy, z powrotem przyciągam go do siebie, tak bardzo potrzebując teraz tych ust. Nie czuję niczego poza ukojeniem bólu, który zżerał mnie od środka od wyjazdu z Chaparral.

Cassian poddaje się pragnieniu.

Wydaje z siebie dziwne zwierzęce pomruki. A może to ja?

W moich płucach wibruje żar, przedziera się przez krtań.

Wciskam ręce między nas i kładę dłonie na jego piersi, spragniona dotyku drugiego ciała. Rozprostowuję palce tak, by całymi dłońmi czuć jego wnętrze. Serce Cassiana bije głośno i mocno.

Przesuwa ręce po mych plecach, wplata je w moje mokre włosy, chwytając ich grube pasma, ale to mi nie przeszkadza. Pławię się w tym, w tej świadomości czyjegoś pożądania mnie - w pragnieniu Cassiana.

Ujmuje dłonią tył mojej głowy, kołysze nią.

Jego usta przesuwają się z mych warg ku mokrej szczęce. Pieści ją zębami, a ja nie potrafię się opanować. Wzdycham, czuję, jak napina się moje ciało, jak skwierczy skóra, i wiem, że tracę ludzką postać. Wskrzesił we mnie dragonkę. Zupełnie tak samo jak Will.

Ta myśl mną wstrząsa, zachłystuję się wodnistym oddechem.

Odrywam się od Cassiana, wciągając lodowate

powietrze w rozżarzone płuca, wbijam wzrok w jego oczy, w ten najciemniejszy odcień purpury, zwężone źrenice, ciemne pionowe szpary.

Przerażona dotykam dłonią rozpalonych warg, a potem przeciągam palcami po skórze, wyczuwając jej napiętą gładkość i przekonując się, że połowicznie się przemieniłam. Za jego sprawą.

Jego skóra też się mieni przeblaskami ciemnego antracytu.
-Jacindo...

Przenoszę wzrok na jego usta, których kosztowałam moimi. Mają ciemnoróżowy odcień, są nabrzmiące od pocałunków. Czuję narastające mdłości. Nie, nie, nie, nie...

Dziko potrząsam głową i mamroczę pod nosem. To błąd. Co ja robię? Jak ja mogłam zrobić to Tamrze?

Odpowiedź nasuwa się sama. Całowałam go, pochwyciłam go, bo miałam taką możliwość. Bo czuję się samotna. Bo on jest tutaj, pożąda mnie, akceptuje. On tu jest. A Willa nie ma.

Ot, co. To nie jego naprawdę pragnę. Nie jego.

-Jacindo... - szepcze.

- Muszę iść - oznajmiam szybko, odsuwając z twarzy mokre włosy. - Mama będzie się martwić, gdzie jestem.

- To nieprawda, ale mimo to tak mówię.

-Jacindo... - znów próbuje.

- Nie - rzucam ostro. - Nie, Cassianie, nie możemy. To nieuczciwe... — gryzę się w język.

- Wobec Tamry - dopowiada.

- I wobec ciebie - dodaję. - Zaslugujesz na kogoś, kto może dać ci wszystko. Tamra może.

- Ty też możesz - mówi z takim przekonaniem, że przeszywa mnie lekki dreszcz. - Chodź, marzniesz

- stwierdza, mylnie interpretując moje drzenie. Bierze

mnie za rękę, prowadzi do drabiny i przepuszcza, bym zeszła pierwsza.

Gdy stoimy już na ziemi, Cassian przymrużonymi oczami spogląda przez deszcz ku niebu.

- Nici z dzisiejszego latania. - No.

- Tamra cieszy się na loty z tobą. Jest rozczarowana, że jeszcze z nią nie latałaś.

- Wiem.

- Następnym razem polecisz?

- Tak - mówię. I naprawdę mam taki zamiar.

Nic się nie zmieniło. Muszę ponownie przystosować się do życia w stadzie. Muszę zapomnieć o Willu. I pocałunkach Cassiana.

Zapomnę i się przystosuję, i wszystko będzie dobrze.

W strugach deszczu idziemy do mojego domu. Cassian odprowadza mnie do drzwi.

- Do zobaczenia jutro. - Gdy na mnie patrzy, jego głos jest chrapliwy, a oczy inne, niemalże atłasowe. Odwraca się, a ja czuję skurcz w żołądku.

- Cassianie. - Zeskakuję po schodach, by znów znaleźć się w deszczu. Zależy mi na tym, by zrozumiał, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nie możemy być nikim więcej.

Oślaniając przed kroplami oczy, podnoszę ku niemu wzrok.

-Dzięki, cieszę się, że jesteśmy... przyjaciółmi. Umyślnie wybieram słowo przyjaciele i je akcentuję, by wyrazić swoje intencje.

Chłopak wykrzywia usta w powolnym uśmiechu.

- Nigdy nie chciałem być twoim przyjacielem, Jacindo. Moje serce zamiera. Stoję w strugach deszczu i patrzę, jak Cassian się oddala.

ROZDZIAŁ 9

Po trzech dniach ulewa nareszcie ustaje. Siedząc samotnie na ganku, jem lunch, gdy chlupotliwy szary welon nagle znika. Dookoła niemalże natychmiast rozściela się mgła Nidii, niczym żywy organizm pulsujący oddechem. Szybko okrywa osadę mleczną peleryną. Parasol, z którym wracałam do domu ze szkoły, turla się po deskach ganku od nagłego ruchu powietrza. Właśnie wróciłam z lekcji manewrów wymijających. Skubię kromkę werdaborówkowego chleba, a wzory lotów tańczą mi w głowie jak gwiazdozbiory. Niebawem będę musiała iść do szkoły na popołudniowe zajęcia, ale na razie delektuję się ciszą. Zsuwam z nóg buty i wystawiam nagie stopy na pieszczoty mgły. Mama jest w pracy. Przydzielają jej następujące po sobie zmiany. Oczywiście umyślnie. Prawie jej nie widuję. A Tamra, która mieszka z Nidią, widzi ją jeszcze rzadziej. I oto im właśnie chodzi.

Nagła cisza, która zapadła po chlupocie deszczu, wydaje się niesamowita. Zupełnie jakby świat wokół mnie wstrzymał oddech. Odstawiam talerz i ściągam narzutę z oparcia ławki. Gdy opatulam się ciepłym pledem, suchy skwar Chaparral jest odległym wspomnieniem.

Po drugiej stronie ulicy wynurza się z domu niewyraźna postać Corbina. Na widok niebieskiej opaski na jego ramieniu czuję ucisk w żołądku.

Corbin od razu mnie zauważa. Macha ręką, powoli przechodzi przez jezdnię i zatrzymuje się przed schodami naszego ganku. Wykonując ręką gest, jakby chwycił powietrze, uśmiecha się.

- Dziś wieczorem chyba polatamy.

Zmuszam się do uśmiechu. Corbin jest moim sąsiadem. Nigdzie nie wyjeżdża. Ani ja. Niezależnie od tego, jak się nim brzydzę, muszę go tolerować.

- Tak. Deszcz nareszcie ustał.

- Dołączysz do nas?

Kiwam głową. Obiecałam, że tak... i chcę tego. Muszę znowu polatać. Zwłaszcza z siostrą, której towarzystwa w przestworzach nigdy sobie nie wyobrażałam. Nareszcie będziemy dzielić tę przyjemność.

-Tak.

- To dobrze. - Gdy kiwa głową, jego oczy i włosy mienia się odcieniami purpurowej czerni. - Fajnie, że przyjdiesz, Jacindo. Zagalopował się.

- Nie idę tam ze względu na ciebie. Usta mu drżą.

-Ale tam będziesz.

Odwraca wzrok, patrzy gdzieś w mgłę, jakby widział, że coś zbliża się w naszą stronę.

- Dziś rano widziałem twoją siostrę.

Spoglądając ku niemu, nie zdradzam niczego, mimo że czuję nieufność. Wyraził swe zamiary. Chce jednej z nas - jest zdeterminowany.

- Szła z Cassianem i innymi do sadu. Wyglądała na... szczęśliwą.

- Bo tak jest - odpowiadam.

A dlaczego miałyby nie być szczęśliwa? Ma to, czego zawsze chciała. Przyjaźń, akceptację stada... Cassiana. Pod warunkiem że ja tego nie zniszczę. Bolesne poczucie winy, które trawi mnie od trzech dni, od chwili tamtego pocałunku z Cassianem, po raz kolejny kąsa me sumienie.

- Wrócę, gdy skończy się mój dyżur, i będziemy mogli razem pójść na pole lotów.

Zjeżam się. Oto Corbin, jakiego pamiętam. Arogancki chłopak, który nigdy nie prosi, tylko po prostu bierze. -Ja już mam plany. Zamierzam spotkać się z Tamrą. Wykrzywia usta.

- Nie możesz wiecznie zasłaniać się siostrą. - Odwraca się i rusza przed siebie. - Do zobaczenia wieczorem - rzuca przez ramię.

Przyglądam się, jak jego postać znika w falujących oparach mgły, i zastanawiam się, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim Corbin o mnie zapomni.

- Unikasz mnie.

Wychodząc ze szkoły, podnoszę wzrok. Przez tłum przeciska się Cassian i teraz idzie obok mnie. Oczywiście, ma rację. Unikam go. Ale tego nie przyznaję, tylko wyjaśniam:

- Cały czas padało.

- Lubię deszcz - mówi głębokim głosem, a ja wiem, że myśli o naszym deszczowym pocałunku. O czymś, co z trudem usiłuję wyrzucić z pamięci.

Posyłam mu spojrzenie, przyglądam się gęstwinie jego gładkich włosów. Oddycham szybciej. Przyciskam książki do piersi i idę dalej.

Cassian dotrzymuje mi kroku.

- Dlaczego mnie unikasz?

- Wcale nie - kłamię. - Po prostu nie stawałam na rzęsach, żeby cię szukać. Myślałeś, że będę... -*po tym pocałunku...* Poczucie winy rozpała moją twarz. Rzucam na niego okiem. - Nie jesteś za stary, żeby plątać się po szkole? Przecież w ubiegłym roku skończyłeś naukę.

- A niby gdzie mogę cię zastać?

- Hm, nie wiem. Może na przykład w domu?

Nie potrafię się oprzeć refleksji, że Cassian nie chce ryzykować, by Tamra usłyszała o jego wizytach u mnie w domu. Gdyby zobaczono nas dwoje w takiej sytuacji... niebawem wiedziałyby o tym cała osada. Wystarczy przypadek. Jeżeli rzeczywiście tak jest, oznacza to, że Tamra nie jest mu tak zupełnie obojętna. Lekko marszczę brwi, zastanawiając się, dlaczego na tę myśl nie czuję ulgi. Czyż nie tego chcę? Żeby on polubił moją siostrę tak bardzo, jak lubi mnie? Przyśpieszam kroku.

- Musimy pogadać. - Chwyta mnie za rękę i zmusza, bym spojrzała mu w oczy.

- O czym, Cassianie?

- Tamtego dnia... Panika ściska mi gardło.

- To była pomyłka - dopowiadam, pragnąc, by też to w ten sposób potraktował.

Po jego twarzy przemyka jakiś cień. Emocja, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam. A o ile mnie pamięć nie myli, emocje to w jego wypadku rzadkość.

- Cassian, poczekaj!

Oboje się odwracamy. To Miram, która śpieszy w naszą stronę. Przeklinam pod nosem. Wszyscy byle nie ona. Nadal patrzy na mnie tak, jakbym jej coś zrobiła.

Ruszam przed siebie, ale Cassian nadal trzyma mnie za rękę. Spoglądam na jego palce zaciśnięte na moim przedramieniu, a potem znów patrzę mu prosto w twarz.

- Ona nie wołała mnie. Bądź tak uprzejmy i pozwól mi odejść. Cassian pochmurnieje, świdruje mnie oczami.

- To nie koniec - rzuca pod nosem.

- Owszem. - Kiwam głową, czując przyływ chłodnej determinacji. - To koniec.

Wykręcam rękę, uwalniam się z uścisku i odchodzę, zanim Miram zdąży nas dogonić.

Zbieramy się na polu lotów na północnych obrzeżach miasta. Jest nas prawie trzydziścioro. Ubrani w zwyczajowe peleryny, które łatwo zrzucić i ponownie nałożyć.

Polanę otaczają wysokie sosny. Dalej w mroku nocy majaczą poszarpane wierzchołki gór.

Dołącza do nas nawet Severin, aczkolwiek nie w pelerynie, a więc prawdopodobnie nie leci z nami, tylko chce po prostu mieć nas na oku. Zauważa mnie i po jego twarzy przemyka wyraz aprobaty. Chociaż właściwie mi nie zależy, daje mi to promyczek nadziei na lepszą przyszłość. Ostatecznie przecież to wybrałam.

Postanowiłam zostawić wszystko za sobą. Odstawić na bok egoistyczne zachcianki, które tylko prowadzą do ranienia innych. Ułożyć sobie życie tutaj i zapomnieć o uczuciach do chłopaka, który nie jest mi przeznaczony.

Oznacza to dobre relacje ze wszystkimi. Nawet z Severinem. Nasz mistrz latania z notesem w dłoni ogarnia nas wzrokiem i przelicza.

Tradycyjnie przypisywani są nam partnerzy lotu. Latamy w parach, którym nigdy nie wolno się rozłączać. Na-

tychmiast zgłaszam swój akces i staję obok Tamry. Dziś polecimy razem.

Dostrzegam Az i czuję ukłucie w sercu, gdy widzę ją w parze z Miram. Ona też mnie zauważa i wytrzymuje moje spojrzenie. Przez chwilę mam wrażenie, że do mnie podejdzie, ale potem odwraca wzrok.

- Przyjdzie. Boi się - mówi Tamra.

- Boi się? Czego?

- Ze cię straciła.

- Ale to ona mnie unika!

- Tak, lecz nad tym zachowaniem przynajmniej panuje. Nie umie natomiast zapanować nad tobą ani nad niczym, co się dzieje. A jeśli tracisz kontrolę nad tym, co jest w twoim życiu ważne... no cóż, to ludzi przeraża.

Z uśmiechem kręcę głową.

- Od kiedy jesteś taka mądra? Puszczą do mnie oko.

- No cóż, w końcu muszę ci wyjawić, że z nas obu to ja zawsze byłam tą mądrzejszą.

Prycham i lekko uderzam ją w ramię, chociaż tak naprawdę robi mi się cieplej na sercu. Nadal mam Tamrę. Może nawet bardziej niż przedtem? Może między nami będzie znowu tak jak w dzieciństwie, przed moją pierwszą przemianą? Znowu coś nas łączy. Stojąc obok siostry, myślę o tacie. Jakież byłby szczęśliwy, widząc nas teraz!

Czuję przyływ wzruszenia i odwracam wzrok. Wtedy zauważam Cassiana. Na wargach czuję nagły dreszcz wspomnienia. Patrzy na mnie ciemnopurpurowymi oczami.

Dopadają mnie wyrzuty sumienia. Stoję obok siostry, ciesząc się nowo odnalezioną zażyłością, a w powietrzu pomiędzy nami unosi się sekret pocałunku z obiektem jej westchnień.

- Hej, jest Cassian! - Tamra macha do niego radośnie.

Gdy Cassian idzie w naszą stronę, dołącza do niego Corbin. Zbliżając się do nas, kuzyni wymieniają spojrzenia. Nie są uprzejme, nigdy jednak nie udawali nawet, że się lubią. Corbin nigdy nie ukrywał tego, że chce być kolejnym alfą stada, że uważa się za lepszego kandydata. Pod tym względem przypomina mi Xandra, kuzyna Willa.

- A więc dziś polecicie razem. — Cassian uśmiecha się, a ja wiem, jak wyjątkowy i niepowtarzalny jest ten wieczór dla Tamry i dla mnie.

Odpowiadam na jego pozdrowienie przyciszonym głosem, jakby to miało sprawić, że będę mniej rzucała się w oczy... że nasz pocałunek odejdzie w niepamięć, stanie się czymś, co nigdy się nie wydarzyło.

- Myślałem, że nigdy nie przestanie padać - odzywa się Corbin, niecierpliwie pocierając dłonie. - Potrzeba mi trochę jazdy na wietrze.

Tamra kiwa głową, wygląda jak rozentuzjasmowane dziecko.

- Mnie też - przytakuje, chociaż robi to dopiero od niedawna, a nie od lat. Staram się powstrzymać uśmiech.

-Już wiesz, z kim lecisz, Cassianie? - pyta Corbin.

Kuzyn ociąga się z odpowiedzią.

-Nie.

- Fajnie. To w takim razie będziemy razem. Marszczę brwi, zastanawiając się, kiedy ostatnio byli

w parze podczas grupowych lotów. Obaj są tak ambitni...

Nie rozmyślałam jednak nad tym zbyt długo, bo mistrz latania zwołuje nas na środek mrocznego pola. Światełka wyznaczają obszar lądowania i boisko do nocnej gry w piłkę powietrzną.

Moglibyśmy obejść się bez tego. Większość z nas świetnie widzi w ciemności. Rzucam okiem w stronę Tamry. Większość z nas.

Dla niej to wciąż coś nowego.

Ustawiamy się parami. Na sygnał każda dwójka zrzuci peleryny, przemieni się i jednocześnie wzbije w powietrze. Tamra i ja czekamy za Cassianem i Corbinem, ale ja nawet na nich nie patrzę.

Ramię w ramię z siostrą chłonę ważność tej chwili. Nasz pierwszy wspólny lot. Tato zawsze tak na to czekał. Serce mu pękało, że do tego nie doszło.

Leżąc w łózkach, z zachwytem słuchałyśmy jego opowieści o lataniu. Mama wyrozumiale się uśmiechała, nie pojmując, nie rozumiejąc jego miłości do przestworzy i wichru. Niezależnie od tego, jak bardzo ojciec ją kochał, zawsze pragnął, byśmy były takie jak on. Przynajmniej pod względem zamiłowania do lotów. I dziś wieczorem to się wreszcie ziści.

Jeszcze przed zdjęciem peleryn Tamra wyciąga rękę i ściska moją dłoń. Wygląda na tak szczęśliwą, promienieje takim spokojem, że wiem, iż tak powinno być. Ja, tutaj ze stadem - oto moje miejsce. Teraz mogę uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Zrzucamy okrycia i ludzką powłokę.

W klatce piersiowej czuję znajome parcie, człowiecza powierzchowność znika i ustępuje miejsca grubszej dra-gońskiej skórze.

Podnoszę głowę ku niebu, moje policzki się napinają, a kości rozrastają, wyostrzając rysy twarzy. Oddech się zmienia, pogłębia, tymczasem nos się unosi, chrząstki trzeszczą wraz z uwypuklającym się grzbietem. Kończyny rozluźniają się i wydłużają. To wspaniałe uczucie, niczym długie przeciąganie się po nieskończonych godzinach tkwienia w za ciasnym samochodzie. Wyrzynają mi się skrzydła. Wzdycham radośnie, delektując się ich uwalnianiem. Rozwijają się z cichym szelestem, są nieco dłuższe niż moje plecy. Macham nimi, ognistozłote membrany testują powietrze.

Widzę, jak hen wysoko suną po niebie chmury niczym dym w mroku nocy. Nie mogę się doczekać, aż je przesyję i poczuję na skórze parę. Spoglądam na swe ciało: skóra migocze jak bursztynowe światło. Przenoszę wzrok na siostrę i jej widok zapiera mi dech. Jest przepiękna w opalizującym srebrzystobiałym wcieleniu. Niczym księżyc w zestawieniu z moim słońcem.

- Gotowa? - pytam głębokim dragońskim głosem, jedynym narzeczem, jakim ze względu na przekształcenie naszych strun głosowych potrafię mówić, gdy jestem w pełni przemieniona. I oto pierwszy raz słyszę odpowiedź Tamry w pradawnej mowie naszych przodków, prawdziwych smoków.

Spogląda na mnie oczami o powiększonych tęczęwkach i ciemnych pionowych źrenicach.

- Tak - dudni. I wiem, jak bardzo na tę chwilę czekała. Miętko odrywa się od ziemi, ja też odbijam się na palcach stóp i puszczam Tamrę przodem, by mieć ją na oku. Nie posiadam się z zachwytu: dragońska skóra mojej siostry ma srebrnoperłowy połysk, a jej ażurowe skrzydła migoczą jak zmrożony lód.

W mroku nocy błyszczący jak biała gwiazda. Zerkając przez ramię, woła:

- No chodź! Myślałam, że jesteś szybsza. Pokaż mi, co potrafisz! Szeroko się uśmiecham i poprzez wiatr szybuję korkociągiem wyżej, by ją dogonić. Nawet bez smaku słońca na mej skórze to cudowne uczucie być znowu w powietrzu.

Tamra porusza się ostrożnie, wciąż nie ufa własnym siłom ani strumieniom powietrza szalejącym wokół nas. Pozostajemy w tyle.

Inni wyprzedzają nas, szum wichru połyka ich nawoływania, gdy śmigają obok niczym kolorowe pociski: opali-

zujący błękit Az mieniący się odcieniami różu, migotliwy brąz pokrewnych mi geodragonów. Dostrzegam Miram i przebłysk jej bladej opalenizny. Najtrudniej dostrzec wśród nas onyksy, ponieważ ich metaliczna czerń z tonami purpury zlewa się z nocnym mrokiem. To jeszcze jeden powód, dla którego z historycznego punktu widzenia są naszymi najlepszymi wojownikami. Nikt nie widzi, gdy się zbliżają.

Zwalniam, zauważywszy Corbina i Cassiana. Szybują przez noc z niesamowitą szybkością, wiatr piskliwie świszczę, gdy dzikim slalomem pędzą ku niewidzialnej i nieznannej mecie. Śmigają, prawie ocierając się o siebie, na granicy kolizji. Kręcę głową. Wciąż ta sama chłopcęca buńczuczność, byle tylko popisać się przed stadem... albo, jak teraz, przed Tamrą. *Albo przed tobą*, szepcze jakiś głos. Czym prędzej jednak ze złością go wyciszam. - Jacinda! Chodź! - woła znowu Tamra.

Stulam skrzydła i przyśpieszam, by za chwilę zwolnić na odgłos gorączkowego trzepotu skrzydeł siostry, która stara się za mną nadążyć.

Szybujemy razem ramię w ramię. I to mi wystarczy, myślę. To więcej, niż kiedykolwiek sobie wymarzyłam. Nie przejmujemy się, że wszyscy nas przegonili. Śmiejemy się i mkniemy na skrzydłach wiatru, przedzieramy się przez parną noc, poruszając się i manipulując powietrzem, jak dwójka małych penetrujących wody basenu.

To dziecięca radość, jakiej nigdy dotąd nie odczuwałyśmy. Aż do tej chwili.

ROZDZIAŁ 10

- Może pójdziesz ze mną do domu? Sprażymy trochę korzennych nasion, pooglądamy telewizję - rzucam, gdy wraz z Tamrą wracamy z pola lotów. Moje ciało nadal mrowi, po locie jest rozbudzone i pełne życia. Nie czułam się tak od... Pochmurnieję i odganiam to wspomnienie, by nie zburzyło mego niedawno odzyskanego poczucia spokoju.

- Pewnie - zgadza się Tamra.

Uśmiecham się na myśl o tych wszystkich wieczorach, gdy mama, Tamra i ja gnieździłyśmy się razem na kanapie i oglądałyśmy filmy. A potem przypominam sobie, jak rzadko widuję mamę ostatnio. Prawdopodobnie śpi, wykończona długim dyżurem w pracy. Gdy wychodziłam po kolacji, wspominała, że weźmie prysznic i pójdzie się położyć.

- Może mama do nas dołączy.

- Tak - mówię wymijająco. -Jeżeli jeszcze nie poszła spać.

Tamra posyła mi spojrzenie. Wiem, o czym myśli: mama zawsze czekała na nas, jeżeli wieczorem byliśmy poza domem. Ale tak było kiedyś. W przeszłości, gdy czuła, że jakoś panuje nad naszymi losami.

Otwieram usta, by wytłumaczyć obecną sytuację mamy, ale milknę... zamykam usta i nasłuchuję, wpatrując się w gęstsze niż zwykle kłęby mgły wokół nas.

- Jacinda?

- Coś jest nie tak - mówię cicho i unoszę rękę. Chociaż nie słysząc żadnego alarmu, coś się dzieje.

W osadzie panuje upiorna cisza. Do godziny policyjnej pozostały jeszcze dwa kwadransy, ale na ulicach nie widać nikogo poza tymi, którzy wracają z pola lotów. W ośrodku rekreacji miał się dziś odbywać turniej dzako, ale gdy mijamy centrum osady, w budynku jest ciemno. Nie słysząc brzęku szlachetnych kamieni używanych w grze. Ani zwyczajowych okrzyków porażki lub zwycięstwa, gdy czyjś klejnot wybije pionek przeciwnika z platformy.

Potem z mgły wyłania się jeden z członków starszyny. Jego dostojna postać wygląda w biegu niemal komicznie.

- Tamra. Jesteś potrzebna. Idź natychmiast do Nidii. Pośpiesz się. Nawet nie przechodzi mi przez myśl, by puścić ją samą. Pędzimy ulicami, pozostawiając dygnitarza w tyle. Nasze stopy tupoczą o ziemię. Przed domem Nidii zgromadził się mały tłumek. Severin i inny członek starszyny, dwóch strażników z niebieskimi opaskami na ramionach, Nidia i Jabel.

Widok tych dwóch ostatnich razem sprawia, że staję jak wryta. Ktoś wtargnął na teren stada.

Tamra podbiega jeszcze o kilka metrów, a potem przystaje, zauważywszy, że nie ma mnie obok. Ogląda się za mną, a potem patrzy na grupę. Jest najwyraźniej dezorientowana. Nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Nie potrafię nic powiedzieć. Zamarłe ciało odmawia mi posłuszeństwa.

Nidia i Jabel spotykają się tylko z jednego powodu - gdy na ziemi stada wdrze się jakiś intruz. Nidia jest

może bardziej ceniona ze względu na swą umiejętność
zaćmiewania umysłu, ale Jabel też jest przydatna. Jako
hipnodragonka rzuca uroki, zasiewając w ludzkiej pamięci
kłamstwa, które wypełniają luki pozostawione przez Nidię.
Serce zaczyna kołatać jak oszalałe. Rozpętuje się we mnie żar,
ogień pali krtań.

Usiłuję dojrzeć intruza. Większość jego postaci zasłaniają inni i
gęsta mgła. Widzę jego plecy, zarys szerokich ramion. Zduszam
ogień w przetyku i podchodzę krok bliżej, ręce mam zwinięte w
pięści tak mocno, że jeden paznokieć się łamie i kruszy w
zetknięciu z miękkim wnętrzem dłoni.

Z tyłu dudnią kroki. Zerkam przez ramię. Nie biegłyśmy tu same.
Jest Cassian, Corbin, Miram, Az...

-Tamra! - Severin zauważa moją siostrę. Woła do niej, jakby była
zwierzęciem, któremu wydaje się komendy, i zamasyście macha
ręką. - Chodź!

Tamra rusza do przodu i przesłania tę resztkę widoku, jaki
miałam. Marszcząc brwi, powoli podchodzę bliżej i zatrzymuję
się, gdy siostra odwraca się ku mnie. Nasze spojrzenia się
spotykają.

Krew w moich żyłach wrze.

Z wyrazu jej twarzy odczytuję wszystko.

Nie, nie, nie...

To nie może być on!

Zaczynam kręcić głową, pragnąc zaprzeczyć, ale przede
wszystkim chcąc, by Tamra szła dalej i zachowywała się
naturalnie, tak aby Severin i inni nie nabrali podejrzeń.

Wtedy tłum się rozrzedza i dostrzegam Willa. Pożeram go
wzrokiem, wyteżam oczy aż do bólu. Uparty kosmyk
kasztanowych włosów wciąż przesłania mu brew. Kanciasta
szczęka nadal wygląda nieustępliwie. To on. Dotrzymał

obietnicy, którą mi dał. Ale zaraz myślę, że nie. Przecież nie mógł zapamiętać tego przyrzeczenia. To niemożliwe. Tamra zaćmiła mu pamięć. Może trafił tu przez przypadek. Może zgubił swą grupę i zabłądził do nas...

Poruszam ustami, ale nic nie mówię. Nie śmiem się odezwać. Kręcąc głową, zastanawiam się, czy go sobie nie wyobraziłam, nie wyczarowałam tam, gdzie jego obecność jest niemożliwa. Na chwilę wzbiera we mnie radość, którą po chwili zastępuje przerażenie na widok Willa tu, w osadzie, zaledwie parę metrów od Severina.

Odwraca się, by odpowiedzieć na jakieś pytanie Nidii - prawdopodobnie dowiadującej się, jak dokładnie doszło do tego, że zabłądził, samotnie, tak wysoko w górach, z dala od autostrad. Wpatruję się w niego intensywnie, w wieczornym mroku i kłębach mgły dostrzegam rysy jego twarzy.

I wtedy mnie zauważa, a ja wiem, że to nie jest zwykłe spojrzenie. Orzechowe oczy błyszczą takim zadowoleniem, że wiem, iż on pamięta. Jakimś cudem. Jakimś sposobem. Pamięta wszystko. Nie zapomniał o złożonej mi obietnicy. I jej dotrzymał. Dotarł tu dla mnie.

Na szczęście siostra przestaje gapić się na mnie, zanim ktokolwiek mógł dostrzec i zdziwić się jej zachowaniem. Szybkim ruchem głowy ostrzegam Willa, by zachował ostrożność i nie okazywał, że mnie rozpoznaje. Unosi brodę w ledwie zauważalny sposób i potwierdza, że mnie zrozumiał. Każda cząstka mojego jestestwa płonie i rwie się do pokonania odległości, jaka nas dzieli. Otwieram i zaciskam dłonie spragnione jego dotyku, jego skóry pod palcami. Czucia, że to naprawdę on. Tutaj. Teraz. Tęsknię za

jego głosem, pragnąc, by przenikał mnie tak jak kiedyś. Ten aksamitny piorun sprawił, że ożyłam w Chaparral, pomógł mi przetrwać tutaj, wypełniając moje sny i pustkę wlokących się dni. Gdy na niego patrzę, wszystko inne usuwa się w cień. To, gdzie jesteśmy. Grożące wciąż niebezpieczeństwo...

W głębi serca wiem, że Tamra nie wyjawi tożsamości Willa. Nie tylko ze względu na lojalność wobec mnie. Moja siostra nie jest morderczynią i zdaje sobie sprawę z tego, że jedno jej słowo położyłoby kres jego życiu. Niezależnie od okoliczności Tamra tego nie zrobi. To nie leży w jej naturze.

Ale to wcale nie oznacza, że jest bezpieczny.

Wyczuwam zawirowanie mgły, gdy ktoś staje obok mnie.

Odwracam się i widzę Cassiana wpatzonego w Willa. Przez chwilę właściwie zapomniałam, że istnieje ktoś jeszcze, kto może rozpoznać intruza. Podążam za wzrokiem syna alfy. Powietrze staje się zbyt gęste, bym mogła oddychać, bym zdołała wciągnąć je w ściśnięte płuca, gdy uświadamiam sobie, że Cassian świdruje Willa wzrokiem - tutaj, na własnym terytorium. To chłopak, którego o mało co nie zabił, staczając się z nim w przepaść. Czuję ostry ból, który zwija się na dnie żołądka niczym zmija.

Nic nie powstrzyma Cassiana od zakończenia tego pojedynku.

Nie jest taki jak Tamra. Mordowanie stanowi część jego natury, ma je we krwi. Onyksy zabijają od tysięcy lat. To właśnie potrafią robić najlepiej. Oto przeżywam koszmar na jawie.

Znów patrzę na Willa. Dwóch uzbrojonych strażników, z którymi chodziłam do podstawówki, stoi po jego bokach i pilnuje jak więźnia. Przy odrobinie szczęścia nie zauważą, kim on dla mnie jest... ile dla mnie znaczy. Nidia po

prostu go zamroczy - najwyraźniej bezskutecznie - i pozwoli odejść. Jeżeli tylko zachowam spokój. Jeżeli Will się niczym nie zdradzi. Jeżeli Cassian niczego nie powie ani nie zrobi.

Przerażona rzucam ukradkowe spojrzenie w stronę Cassiana, w głębi serca pragnąc, by się nie odzywał - by zachował milczenie i ocalił życie Willa.

Gdy patrzy na mnie, widzę w jego twarzy napięcie, niemalże ból.

- Proszę - szepczę niemal bezgłośnie. Tyle mogę zaryzykować, zanim dołącza do nas Miram, wojowniczo splatając ramiona na piersi.

- Turysta? - pyta.

- Na to wygląda - odpowiada Cassian, który nie odrywa ode mnie wzroku.

- Wypróbują na nim Tamrę? - zastanawia się głośno Corbin.

- Prawdopodobnie - mówi Miram, stając na palcach i próbując przez tłum dojrzeć turystę.

Opieram się pokusie, by podejść bliżej. Nie chcę wyjść na ciekawską i narazić się na podejrzenia, że Will i ja nie jesteśmy sobie obcy.

- Młody - stwierdza zamyślona Miram. - I do tego niezłe ciacho. Az prycha.

- Chyba jak na człowieka.

- No tak, jak na człowieka - przytakuje Miram, posyłając mi szelmowskie spojrzenie. - A ty co sądzisz, Jacin-do? Jesteś ekspertką od przystojnych ludzi. Jak on się do nich ma?

Czuję na twarzy falę gorąca i staram się przybrać zblazowany wygląd, by pokazać, że jej kpiny są mi obojętne.

- Dość tego, Miram - warczy Cassian.

- Patrzcie - rzuca nagle Corbin - zabierają go do chatki. Kolesiowi urwie się film - śmieje się.

Will nie patrzy w moją stronę, gdy prowadzą go do budynku, ale wiem, że wyczuwa moją obecność tak samo, jak ja wyczuwam jego. Każda komórka mojego ciała wrze na jego widok. Co on sobie wyobrażał? Musiał wiedzieć, jak niebezpiecznie jest zbliżyć się do stada. Spojrzenie prawdzie w oczy boli. *Chociaż próbowałam o nim zapomnieć, on nigdy nie zapomniał o mnie.* Czy to uczyniło go ode mnie silniejszym? Czy może słabszym? Do środka wchodzi wszyscy oprócz dwóch strażników, którzy ustawiają się przy drzwiach. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, Nidia zrobi to, co potrafi najlepiej, a Jabel jej pomoże. Tamra chyba też. Po chwili dopada mnie paniczna myśl, że talent Jabel może na niego podziałać. Co jeśli skutecznie wedrze się do jego umysłu i Will wyjdzie stamtąd oszołomiony, z głową pełną bujdy, niezdolny odróżnić prawdy od fikcji?

Wykręcam palce aż do bólu. Nie pozostaje mi nic poza czekaniem. I nadzieją, że pamięć Willa powróci.

A co potem? Wie, gdzie mieszka stado... gdzie przebywam ja. Widział mnie. Powróci. Jeśli go znów pojma, zorientują się, że jest inny - że zaćmiewanie mgłą na niego nie działa.

- Chodź - Cassian bierze mnie za rękę. - Odprowadzę cię do domu.

Opieram się tylko przez chwilę. Oczywiście, ma rację. Ostatnią rzeczą, jaką powinnam zrobić, jest sterczenie tutaj i dopuszczenie do podejrzeń, że intruz coś dla mnie znaczy.

Odwracam się i pozwalam Cassianowi się odprowadzić. W głowie - w rytm walącego młotem serca - kołacze mi się jedna jedyna myśl: Will dotrzymał obietnicy. Przyszedł po mnie.

Nie panując nad sobą, zaczynam zerkać przez ramię, ale powstrzymuje mnie głos Cassiana:

- Nie oglądaj się, Jacindo.

Zmuszam się do patrzenia przed siebie. Ma rację. Fakt, że Will pamięta i przybył tu po mnie, niczego nie zmienia. Nie mogę odejść stąd z nim. Nie pozwolę sercu obalić logiki. Nic się nie zmieniło. Tworzymy niebezpieczne połączenie. Jak benzyna i ogień.

Cassian nie odzywa się przez całą drogę. Dopiero pod domem mówi:

- Gdzie jest twoja mama?

Gestem każę mu zaczekać i idę to sprawdzić. Śpi w swoim pokoju przy włączonym telewizorze. Ma odprężony wyraz twarzy, jakiego dawno u niej nie widziałam. Cicho mijam łóżko i wyłączam telewizor. Zamknąwszy za sobą drzwi, wracam do Cassiana spacerującego po salonie.

Jego szklistoczarne oczy przeszywają mnie na wylot.

-Jak on znalazł...

-Jestem pewna, że to zwykły przypadek. Za bardzo zbliżył się do osady i patrol go namierzył - odpowiadam szybko, nie chcąc, by się zorientował, że Will może być odporny na zaćmiewanie umysłu.

Rzuca mi rozdrażnione spojrzenie.

-Jacindo, on nie jest zwykłym turystą.

- Tak. Wiem. - Krzyżuję ręce na piersi. - To myśliwy.

- Gdy wbijam w niego wzrok, zapada gęste milczenie.

- Dlaczego więc nic nie powiedziałaś?

- Skąd wiesz, że tego nie zrobię?

- A zrobisz?

Na jego twarzy maluje się zaciętość, jakby chciał odpowiedzieć twierdząco, potem jednak wypuszcza z siebie powietrze i na

chwilę odwraca oczy. Trudno stwierdzić, czy jest bardziej zły na mnie, czy na siebie samego.

- Żebyś mnie znienawidziła? Żebyś mogła przyglądać się, jak go zabijają? Nie byłoby to dla mnie przyjemne.

Mogę jedynie się gapić, już tak bardzo się nie dziwiąc, że Cassianowi może naprawdę na mnie zależeć. Na mnie, a nie tylko na tym, czym jestem. Nie jest moim wrogiem. Wierzę, że chce mi pomóc. Bo czemu miałby się przejmować losami chłopaka, o którym powinnam zapomnieć?

- Musisz z nim skończyć, Jacindo.

Kiwam głową, ale ten gest boli, sprawia, że dudni mi w skroniach. - Wiem.

- Ale on musi się o tym dowiedzieć - dodaje wymownie. Nasze oczy się spotykają, powoli zaczynam rozumieć.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

- Gdy znajdzie się w bezpiecznej odległości od stada, musisz się z nim zobaczyć i wytłumaczyć, że to, co było między wami, już się skończyło. Wiem, że pewnie będzie skołowany po hipnozie, ale musisz do niego jakoś dotrzeć. Odwracam wzrok, by moje oczy nie zdradziły podejrzeń, że Willa nie można zamrozić. Czy Cassian byłby skłonny puścić go żywcem, gdyby to wiedział?

Cassian podchodzi bliżej i unosi moją brodę, bym na niego spojrzała. - Każ mu przekonać swoich krewniaków, że to terytorium jest czyste. Ze nie mieszkają tu już żadne dragony. Ze się przenieśliśmy. Oni go posłuchają. - W powietrzu zawisa niewypowiedziana sugestia. *Posłuchają go ze względu na krew.*

Bo łączą go z nami jej więzy. Cassian zniża twarz tak blisko, że na policzku czuję jego oddech i powraca wspomnienie naszego pocałunku. Jeśli nie to mną wstrząsa, czynią to następne słowa, które wypowiada: - Jeżeli znów go tutaj zobaczę, nie będę już ukrywał prawdy. Niezależ-

nie od tego, czy mnie za to znienawidzisz, czy nie. Nie będę go ponownie osłaniał. Rozumiesz? Kiwam głową. Z trudem przełykam ślinę.

- Chodź. - Otwiera drzwi prowadzące w mglistą noc.

- Dokąd idziemy? - pytam.

- Prawdopodobnie zostawią go tam gdzie innych. Chcę, żebyś czekała na niego, gdy go wypuszczą.

ROZDZIAŁ 11

Ukrywam się na drzewie, oddycham cicho, kora drapie mnie po nagich udach, zewsząd kłują mnie igły, gdy patrzę w dół, na miejsce, gdzie zawsze zostawia się zahipnotyzowanych intruzów. Niedaleko od publicznej szosy, która wrzyna się głęboko w góry, jedynej oficjalnej drogi na tej wysokości. W uszach wciąż dudni mi puls po szaleńczym locie, by dotrzeć tutaj przed innymi.

Patrol cicho przemyka przez las, ale i tak słyszę przytłumiony szelest, gdy się zbliżają. Ludo przedziera się pomiędzy drzewami z Willem przewieszonym przez ramię. Remy podąża tuż za nim. Z bólem przyglądam się, jak Ludo bezceremonialnie rzuca Willa na twardą ziemię. To na pewno zabolęło. Jeżeli Will, jak przypuszczam, tylko udaje nieprzytomnego, a naprawdę zachował świadomość, świetnie udało mu się zamaskować jakąkolwiek reakcję na to szorstkie traktowanie.

Oba dragony przez moment mu się przyglądają. Remy ostro trąca go butem.

- Chodź - mówi Ludo. - Głodny jestem.

Po ich odejściu odczekuję dłuższą chwilę, przeszywając wzrokiem drzewa, upewniając się, że nic wokół się nie ru-

sza i że strażnicy na dobre sobie poszli. Will leży na ziemi nieruchomo jak trup, a ja nie potrafię już dłużej czekać. Schodzę na dół i podbiegam do niego. Może się mylę? Może on nie udaje? Może jednak jest podatny na zamraczanie mgłą? Nachylam się nad nim, wyciągnąwszy przed siebie ręce, niepewna, gdzie go dotknąć.

- Will - jego imię wymyka mi się z ust szeptem. Jakbym bała się wymówić je na głos. Jakby dźwięk imienia mógł sprawić, że jego obecność stanie się fikcją, a on ulotni się wraz z obłoczkiem dymu i rozplynie się w otaczającej nas mgle. Tak jak zniknęłam ja, powróciwszy tutaj.

Nagle w mroku widzę, jak otwiera oczy. Zaskoczona, odskakuję do tyłu. Uśmiecha się do mnie swymi idealnymi ustami. Ustami, których kształt i dotyk na trwałe wryły mi się w pamięć.

Oddycham z ulgą i powtarzam jego imię, tym razem głośniej.

- Will.

Spokojnie wstaje, bez jakichkolwiek oznak zamroczenia, potwierdzając tym samym, że się nie myliłam. Dragońska krew uczyniła go odpornym na hipnozę.

Idzie w moją stronę, a ja ruszam ku niemu. Zaraz jednak się opamiętuję i uświadamiam sobie, po co tu przyszłam. Szybko się cofam, zanim jeszcze zdążymy się do siebie zbliżyć. Wyciągając przed siebie rękę, by go powstrzymać, szeptem pytam:

- Co ty tu robisz?

- Szukam ciebie.

Brzmienie jego głosu przyprawia mnie o drżenie. Aksamitny pomruk rozsiewa po moim ciele dreszcze i mówi mi to, co i tak już wiem. Nie zapomniał mnie. Nadal mnie pragnie. Z trudem przetykam ślinę.

Jest dokładnie tak samo. Tak, jak zawsze było w jego obecności. Myśl o zapomnieniu go i wyrzuceniu z mojego życia przychodzi mi łatwiej, gdy nie stoję z nim twarzą w twarz.

- Nie powinieneś tu przychodzić. Zbyt wiele ryzykujesz.

- Jacindo. - Patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły. - To ja.

Chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie.

A ja nie potrafię się oprzeć. Niezależnie od tego, czy dyktuje to egoizm, czy coś innego. Poddaję się. Wykradam tę chwilę z nim. Tylko tyle. Chcę nacieszyć się każdą sekundą. To mi wystarczy.

Bierze mnie w ramiona i przytula tak mocno, że nie wiem, jak wytrzymają to zebra. Podnoszę głowę ku jego ocienionej twarzy, pragnąc zobaczyć więcej, niż odsłania przygaszone światło księżyca.

Ale nie jestem w stanie dojrzeć nic więcej. Muszę zadowolić się tym.

Przyciskam dłoń do jego policzka, cieszę się szorstkością zarostu. Ta bliskość wypełnia mi serce, zwykły dotyk jego ciała pod palcami. Coś, czego już nie spodziewałam się poczuć.

- Zapamiętałeś mnie - szepczę, wpatrując się w błysk jego oczu w ciemnościach. - Pamiętałeś tamten wieczór...

- Gdy wszyscy ocknęli się oszołomieni, zrozumiałem, co się stało. Przypomniałem sobie, jak opowiadałaś mi o Ni-dii, i zorientowałem się, kim stała się Tamra. Udawałem więc, że jestem tak skołowany jak reszta. - Krótki śmiech niczym chropawe draśnięcie powietrza. - Moi kuzyni nadal nie mają pojęcia, co im się przytrafiło. Przypuszczają, że ktoś dosypał im jakichś środków usypiających.

- Tylko ty pamiętasz?

I sływa na mnie ulga, gdy Will kiwa głową.

- Tak. Tamtego wieczoru zupełnie urwał im się film. Im. Przyglądam się jego sylwetce w mroku, chłonę żar jego oczu i wtedy dociera do mnie, dlaczego tylko Will jest tak wyjątkowy. Krew.

- To dlatego, że jesteś taki jak my - mamrocze.

- Co? - Nagle czuję w jego ciele napięcie, a w głosie Willa wibruje coś, co mi mówi, że on rozumie moją myśl. Lepiej, niżby chciał.

Biorę głęboki wdech, rozpycham powietrzem ściśnięte gardło.

- Najwyraźniej masz w sobie dość dużo z nas. Talent kamuflona nie działa na dragony. Przetoczono ci zapewne wystarczającą ilość dragońskiej krwi, by wykształcić odporność na zamraczanie i hipnozę. To tłumaczyłoby twoją więź z nami... twój talent do tropienia nas. Jesteś taki jak my.

Milczymy przez dłuższą chwilę, a ja zastanawiam się, czy Will myśli o tym, kim jestem.

Jak bardzo się różni? Do jakiego stopnia różni się od ludzi? Jak dalece jest podobny do mnie? Do dragonów?

Kręcę głową. To zbyt wiele do przerobienia. Nie sposób to sprawdzić. Nie teraz. I nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek się o tym dowiemy. Ale to i tak bez znaczenia, prawda? Bo mamy tylko tę jedną chwilę. Nie będzie dla nas jutra. Nie będzie przyszłości.

- Czy to cię odpycha? - pyta. - Czy brzydzisz się mną?

Rozumiem, o co mu chodzi, ale odpowiedź nie jest taka prosta.

- Mam świadomość, że ty się do tego nie przyczyniłeś i że w ten sposób uratowano ci życie... ale w twoich żyłach płynie zrabowana krew. Dla ciebie... zaszlachtowano dragony.

-Wiem. - Jego rozpalone oczy błyszczą w ciemności, nawet nimi nie mruga. - Nie mogę zaprzeczyć niczemu, co mówisz. Nie

miałem pojęcia, co mój ojciec mi robi, aż do czasu kiedy było po wszystkim. Wiesz o tym, prawda? Musisz w to uwierzyć.

- Wierzę. Oddycha ciężko.

- Czasami, nocą, wyczuwam ich. W moich snach.

Na chwilę zaciskam powieki i muszę wyrzucić z siebie tę bolesną obawę.

- Czy mój ojciec jest jednym z...

- Nie! To niemożliwe. Nawet o tym nie myśl. Na tym terenie zaczęliśmy polować dopiero jakiś rok temu.

Ogarnia mnie ulga.

- Nigdy nie potrafiłabym się tobą brzydzić, Will. Za bardzo mi na tobie zależy.

Głodzi mnie po plecach, czuję dreszcz i znów przypominam sobie, po co tutaj przyszłam.

- W jaki sposób mnie znalazłeś? - pytam, chcąc zyskać na czasie i mówiąc sobie, że powinnam wyrwać się z cudownego uścisku jego ramion. Uwolnić się, zanim stanie się to zbyt trudne.

Zbyt trudne? Zbiera mi się na śmiech. Już i tak jest dość ciężko.

- To trzeci raz, jak wybrałem się tutaj, by ciebie szukać - przyznaje.

- W pojedynkę? - Spinam się i rozglądam się w ciemnościach, jakbym spodziewała się, że zza drzew wynurzą się myśliwi.

- Teraz jestem sam - zapewnia. - Przedtem byłem z rodziną i odłączyłem się, gdy oni...

- Polowali - kończę szorstko.

Drzę na myśl o łowcach w tych lasach. Tak blisko osady. Teraz mają twarze. Nie są już mglistymi postrachami z koszmarów. Potrafię ich sobie wyobrazić. Jego ojca. Wujów. Kuzynów, Xandra i Angusa. Byli tutaj. Niedawno.

Kręcę głową, budzi się we mnie gniew, że Will ośmielił się tu powrócić. Tak wiele ryzykował. Narażał nie tylko siebie. Stanowi zagrożenie dla całego mojego stada.

- Zbyt wiele ryzykujesz, przychodząc tutaj. Nie powinienes. Gdyby dziś wiedzieli, kim jesteś...

Nie, nie, nie. Stracić go dlatego, że zerwę z nim kontakty, to jedno, ale stracić go dlatego, że zabiją go moi pobratymcy... Z tym nie umiałabym sobie poradzić. To by mnie zniszczyło.

- Wyglądałem, jak turysta wspinający się na górę.

- Tamra i Cassian rozpoznali cię.

- I nic nie powiedzieli. Kiwam głową.

- Ze względu na mnie. Milczeli, by mnie ochronić. Obiecałam, że namówię cię, byś przekonał swoją rodzinę do zaprzestania polowań na tym terytorium. - Nabieram głęboko powietrza. - I przyrzekłam, że dopilnuję, abyś tu już nigdy nie wrócił...

- Przyrzekłaś im coś takiego? - Jego głos jest jak smagnięcie biczem. - Komu? Cassianowi? Nie dziwi mnie, że on chce dopilnować, żebym nigdy się do ciebie nie zbliżał.

Pragnę temu zaprzeczyć. Chcę powiedzieć, że nastawienie Cassiana jest właściwe. Bo chodzi o bezpieczeństwo. A nie o zazdrość czy poczucie własności.

Na bolesny ułamek sekundy zamykam oczy i nic nie mówię.

Niedawno Cassian trzymał mnie w ramionach tak jak teraz Will. Pozwoliłam mu się przytulać. Całować.

Ze zdławionym westchnieniem odrywam się od Willa, czuję się jak zdrajczyni. Nawet jeżeli w objęcia Cassiana pchnęła mnie samotność, moja własna słabość... to jednak podobało mi się to.

Will z powrotem przyciąga mnie do siebie.

- A czego ty chcesz? Czy chcesz, żebym odszedł i nigdy nie wracał?

Nie umiem oprzeć się jego ramionom. Jestem zbyt słaba. Za bardzo za nim tęskniłam. Myślałam, że potrafię zostawić tę znajomość za sobą, odnaleźć przyszłość w stadzie. Wprawdzie ta perspektywa zabijała część mnie, ale to, co się dzieje teraz, może być jeszcze gorsze. Przytulam go, czuję jego znajomy zapach, cieszę się tą chwilą z nim, by zaraz znów się pożegnać. To skok prosto w otchłań piekieł.

Przenikam wzrokiem mrok, chłonę to, co mogę dojrzeć w jego twarzy. Bolesne piękno. Głęboko osadzone oczy pod ciemną linią brwi. Niesforne jak zwykle włosy, które opadają mu na czoło i wręcz proszą, bym je własnoręcznie odgarnęła. Usta, wargi... Zapamiętuję to wszystko, postanawiając zachować jego wizerunek na te ciche chwile, które spędzę w samotności, wspominając.

Zaciska palce na mych ramionach.

- A więc rezygnujesz z nas, Jacindo? Odszukuję jego oczy w mroku.

- To niebezpieczne. Nie tylko dla nas. Ale również dla innych. Chodzi o mnóstwo dragońskich istnień.

Ręce Willa wędrują ku mej twarzy i teraz jest już tego za wiele. Te silne dłonie, ten czuły dotyk jego palców. Czuję pieczenie pod powiekami. Mrugam nimi szybko, usiłując osuszyć oczy.

- Gdzie podziła się twoja wiara? -Jego kciuki łagodnie uciskają me policzki. - Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Kręcę głową.

- Nie wiesz, co tu się dzieje.

- Zrobili ci krzywdę? - Jego głos się załamuje, a ręce powoli naprężają. - Czy oni po twoim powrocie...?

- Nie - rzucam szybko. - Nic mi nie jest. Mimo że zasługuję na karę. Will, ja ujawniłam się w obecności myśliwych.

- W takim razie ograniczmy to tylko do nas. Ja i ty. Z dala od stada. Z dala od łowców. Nie musimy narażać nikogo więcej.

- Co ty mówisz?

- Ucieknij ze mną.

ROZDZIAŁ 12

Przez chwilę chłonę to, co słyszę, pozwalam nadziei wdrzeć się do mojego rozszalałego serca. Ja. Will. Tylko my. -Jak? Dokąd pójdziemy?

- Gdziekolwiek.

Uchodzi ze mnie powietrze. Myślałam, że ma konkretny plan. Ze istnieje jakaś szansa.

- To tylko marzenie, Will. - Głaszczę go po policzku. - Piękny sen.

Wzdryga się od mojego dotyku, jakby nie chciał przyjąć tej pieśczoły, skoro łączy się ona z odmową.

- Niekoniecznie. Możemy go zisćić, Jacindo. Chodź ze mną.

Sprawmy, by stał się rzeczywistością.

Ta nierealna nadzieja budzi we mnie frustrację. - W jaki sposób? - dopytuję się. - Dokąd pójdziemy? Jak będziemy żyć?

- Moja babcia nam pomoże. Pozwoli nam się u siebie zatrzymać na jakiś czas.

Mrugam szybko oczami.

- Twoja babcia?

Po raz pierwszy o niej słyszę, ale cóż, istnieje wiele rzeczy, których Will i ja nadal o sobie nie wiemy. Znamy

zasadnicze fakty. Sekrety. Drobiazgi w pewnym sensie umknęły, a moje serce usycha z tęsknoty, by odkryć tę całą resztę, jeżeli tylko moglibyśmy być razem. Gdybyśmy tylko mieli na to szansę, czas... gdybyśmy wiedli normalne, nieskomplikowane życie.

- Nie zostaniemy u niej na zawsze. Mój ojciec wkrótce domyśliłby się, dokąd uciekliśmy, i ruszyłby moim śladem. Ale ona dałaby nam trochę pieniędzy, byśmy mogli zacząć życie na własną rękę...

Potrząsam głową. I jednocześnie nadal usiłuję kurczowo złapać się tego, co mówi Will.

- Dlaczego twoja babcia miałaby nam pomagać i nie powiedzieć o tym twojemu tacie?

- To matka mojej mamy i raczej nie przepada za moim ojcem. Po śmierci mamy tato nigdy nie pozwalał mi się z nią widywać.

Mawiał, że jest zbyt wścibska. A gdy chorowałem... - rysy twarzy Willa napinają się. - Nie zgadzał się, by mnie odwiedzała.

Między wierszami słyszę to, czego nie mówi. Jego ojciec nie chciał, by teściowa kręciła się w pobliżu, gdy przetaczał synowi dragońską krew.

Czuję ucisk w sercu na myśl, jak bardzo Will musiał potrzebować jej, gdy dorastał. Jak brakowało mu tego ognia łączącego go z matką, którą utracił. Podczas choroby wszystkim, co miał, był ojciec, który raczej nie jest ciepłym i serdecznym człowiekiem. Wyobrażam sobie twarz Willa jako małego chłopca i coś we mnie pęka.

Ta jego samotność przemawia do mnie i natrafia na mój czuły punkt, który odzwierciedla jego rany.

- Mieszka niedaleko, w Big Sur.

- Nie mogę - mówię, ale słowa grzęzną mi w krtani, mają okropnie gorzki smak.

- Chcesz powiedzieć, że po prostu tego nie zrobisz - stwierdza oskarżycielskim tonem. - Chodzi o Cassiana? Czy wy oboje...?

- Nie - rzucam ostro. - To nie tak, Will. Jest dla mnie dobrym przyjacielem, a tych mam teraz bardzo mało.

- Przyjacielem. Akurat! To z pewnością wszystko, czego od ciebie chce.

- No cóż, to wszystko, czego ja chcę. - Twarz pali mnie na wspomnienie pocałunku. Pocałunku, który dla mnie był chwilą zapomnienia, a w rzeczywistości zdradą wobec innych. Wobec Willa. Tamry. Cassiana. I nawet siebie samej.

Pochyliła głowę tak, że nasze czoła się stykają.

- A zatem nie chcesz Cassiana... ale nadal pragniesz, żebym zniknął z twojego życia? - szepcze.

Tym razem jestem w stanie jedynie pokiwać głową.

Wypowiedzenie kłamstwa za bardzo boli. Od chwili powrotu do stada nigdy nie czułam w sobie więcej życia niż tutaj, teraz, w obecności Willa. Byłam głupia, myśląc, że zdołam o nim zapomnieć.

Jakby wyczuwając moją słabość, przesuwa dłonie po moich policzkach, zagłębia palce w gąszczu moich włosów, delikatnie bawi się ich puklami.

-Jesteś gotowa z nas zrezygnować? Naprawdę chcesz, bym zszedł w dolinę i nigdy nie powrócił? Żebym o tobie zapomniał? Surowa twardość jego głosu, scenariusz nakreślony przez jego słowa przyprawiają mnie o drzenie. *Nie, nie chcę tego. Ale tak musi być...*

-Powiedz to, Jacindo. Powiedz, a odejdę. Czy właśnie tego chcesz? Nigdy mnie nie zobaczyć?

Z gardła wydobywa mi się szloch, który zdradza moje myśli.

- Nie. Nie.

I wtedy mnie całuje. Głęboko i łapczywie. Zagłębia dłonie w moich włosach.

Chłód jego warg stanowi szok w zestawieniu z ustawicznym gorącem moich ust. W swym wnętrzu czuję, jak budzi się żar, a ja zupełnie nieruchomieję. Czuję, jak rozpalają się zmysły. Will budzi we mnie wszystko, co tak bardzo chciałam w sobie zdusić, a ja odpowiadam, całując go tak zachłannie jak złaknione zwierzę. Zwierzę złaknione jego.

Nagle uświadamiam sobie coś, czego oczywistość niemal mnie przeraża.

Nie mogę z niego zrezygnować.

Jest moją drugą połówką. Rozumie, co oznacza odseparowanie od wszystkich i od wszystkiego, wie, czym jest odrzucenie drogi wytyczanej nam przez innych. Jesteśmy tacy sami. Stanowimy dwie strony tej samej monety.

Bierze oddech przez moment, który wystarczy, by wyszeptać mi do ucha:

- Znajdziemy jakieś rozwiązanie...

Przebiega mnie dreszcz. Will całuje mnie w szyję, a ja przywieram do niego, w moich płucach bucha ogień i więźnie mi w krtani. Jedno z jego ramion oplata mnie i chroni przed osunięciem się na ziemię.

Porywa mnie fala bliskości z nim, ciemność mieni się kolorami - zatracam się w magii jego ust i dłoni na mej skórze.

- Tamra - dyszę na myśl o siostrze, o naszej odnowionej zażyłości. - Nie wiem, czy mogę ją zostawić.

Potem jednak coś we mnie się zmienia, otwiera jak zamek kłódki.

Tamra mnie nie potrzebuje. Ma swoje miejsce w stadzie. Ma Cassiana. A być może wraz z moim odejściem Cassian zrozumiałby, co ona potrafi mu dać. Może powinnam wyjechać, żeby dać im szansę?

Tymczasem mama jest w innej sytuacji. Na pewno cieszyłaby się, że uciekłam od stada. Może nawet chciałaby odejść razem ze mną. Ale czy mogłabym to zrobić? Zmusić ją do wyboru między mną a Tamrą? Czy może po prostu obawiam się, że nie wybierze mnie?

- Jacindo - Will szepcze mi ciepło w policzek, jakby czytał w moich myślach. - Zastanów się nad tym. To wszystko, o co proszę...

Na razie. Nie wypowiedział tego, ale ja to słyszę. Nie zrezygnuje ze mnie. Chce, żebyśmy byli razem. Niezależnie od tego, jak będę próbowała go odpychać.

Przenika mnie radość. Pławię się w niej i powoli kiwam głową.

- Potrzebuję trochę czasu.

- A więc spotkajmy się znowu. Za dwa tygodnie.

Oddech więźnie mi w gardle. Dwa tygodnie. Tak długo. Zaraz jednak uświadamiam sobie, że przybycie tutaj to dla niego wiele zachodu i manewrów. Zapewne niełatwo mu się wyrwać, nie informując rodziny o tym, co robi.

Mimo to wizja ponownego rozstania z Willem przytłacza mnie.

Dwa tygodnie wydają się wiecznością. Przetykam z trudem ślinę, lgnę bliżej do jego koszuli, by poczuć ciepło jego piersi.

Rozgląda się wokół po mrocznej polance, na której stoimy.

- W tym samym miejscu, okej?

To już jakiś plan. Tymczasowe rozwiązanie. Jeszcze nie trzeba podejmować decyzji, ale jest pewność, że go znów zobaczę.

Znowu poczuję na twarzy jego dłonie, posmakuję jego ust.

Wystarczy przetrwać następne dwa tygodnie.

- Dobrze - przytakuję drżącym głosem, nie chcąc wyjawiać, jak bardzo pragnęłabym go tu zatrzymać. Zo-

rientowałby się, że jestem słaba, i próbowałby mnie namawiać, bym poszła z nim już teraz. A ja nie mogę tego zrobić, niezależnie od tego, jak silna jest ta pokusa.

- Wtedy wszystko się ułoży - zapewnia. Myśli, że ucieknę z nim, gdy następnym razem się tutaj spotkamy.

I może tak będzie.

- W południe - mówię. Wymknięcie się z osady w ciągu dnia będzie bardziej ryzykowne, ale wtedy przynajmniej zobaczę, jak jego oczy mienia się złotem, zielenią i brązem. Zobaczę kasztanowy połysk jego włosów. Tęsknię za tym widokiem.

- Będę tutaj. -Ja też.

Jakoś to zrobię. Nic mnie nie powstrzyma. I może jest to moja odpowiedź na decyzję, jaką wkrótce będę musiała podjąć.

Jaki mam wybór, skoro nie potrafię znieść życia bez niego?

ROZDZIAŁ 13

Przyczajam się w kucki w wysokiej trawie nieopodal osady i zbieram się w sobie, obserwując samotną postać na warcie przy wejściu. Przedtem Cassian odwrócił jego uwagę, żebym mogła się prześlizgnąć.

Ogryzam brzeg kciuka i zastanawiam się, co Cassian powiedział w drodze powrotnej. *Nie będzie problemu. Strażnik nie zechce, żeby stado dowiedziało się, że wcześniej pozwolił ci się wymknąć.* W nadziei, że tak naprawdę jest, wstaję i pewnym krokiem idę w stronę łuku bramy. Chociaż brak mi stuprocentowej pewności siebie, przynajmniej dobrze ją udaję.

- Cześć, Levin - mówię zrelaksowanym i swobodnym tonem. - Jak się masz?

Na dźwięk mego głosu Levin raptownie się prostuje, a jego żywotne błękitne oczy się rozszerzają.

-Jacinda! Co ty... - W poczuciu winy rzuca za siebie jasne spojrzenie, jakby sam Severin stał tam i obserwował jego niedopatrzenie, i znacznie ciszej mamrocze: - Co ty robisz za murami?

Zagłębiam ręce w kieszeniach dzinsów.

- Wyszłam na spacer. - Kołyszę się na palcach. - Tak jak ty wcześniej. Prawda? Gdy miałeś stać na warcie.

Nawet w mroku i wilgotnych oparach mgły, które kotłują się wokół nas, dostrzegam, jak się rumieni.

- Ehm... tak.

- Spoko. Nic się nie stało. - Wzruszam ramionami. - Nic nie powiem... - zawieszam głos, aluzja jest aż nadto ewidentna.

- Okej - rzuca szybko. - Ja też nie. Wchodź. - Wskazuje za siebie.

- No, już.

Mijam go z uśmiechem.

- Dzięki.

Nieopodal chatki Nidii zwalniam, a uśmiech znika z mych ust. W środku panuje ciemność. Nidia i Tamra są zapewne wyczerpane, chyba padły po dzisiejszych próbach zamroczenia Willa.

Patrzę w niebo, wyobrażam sobie siostrę taką, jaką ją widziałam - szybującą przez gęstą noc, upajającą się tym, co wciąż jest dla niej tak nowe i nadzwyczajne.

W upiornej ciszy rozlega się jakiś hałas. Pod czyimiś stopami chrzęści żwir. Serce podchodzi mi do gardła. Przystaję, myśląc początkowo, że Levin zmienił zdanie i ruszył za mną, postanowiwszy mnie wydać.

Odwracam się z uśmiechem przyklepionym do ust, gotowa ponownie przekonać go, by zapomniał, że widział, jak ukradkiem wracam do osady.

Ale go nie ma.

Przymrużam oczy i dostrzegam w dali mroczną postać Levina stojącego nadal obok wartowni. Wykonuję pełny obrót, przeczesując wzrokiem szare kłęby mgły falujące wokół mnie niczym bezkresna topiel. Para przylega do mej skóry i okrywają cienką powłoką wilgoci.

Nikogo jednak nie widzę.

Podmuch wiatru przesuwa opary w drugą stronę. Smugi mgły kotłują się, łaskoczą mnie w policzki.

Trzask.

Spodziejając się, że wreszcie kogoś dojrzę, szybko odwracam się w stronę łamanej gałązki, a długie pasma włosów smagają mnie po twarzy.

- Halo? - rozlega się w ciemnościach mój głos. - Jest tam kto?

Wpatrzona w rozedrgane jak dym powietrze czekam, aż wynurzy się z niego ktoś z patrolu. Ale nikt się nie pojawia. Pod naprężającą się skórą czuję wzbierający żar i budzący się instynkt, który każe walczyć lub wzbić się w przestworza. Patrol nie ukrywałby swojej obecności.

Wyczuwam jednak czyjaś obecność.

Objąwszy się rękami, pocieram dłońmi ramiona. Ruszam dalej, szybko przedzierając się przez wieczorną mgłę, nie mogąc się doczekać, kiedy znajdę się w domu.

Jestem już prawie w centrum osady, gdy jakiś głos zagłusza moje kroki.

-Hej.

Gwałtownie przystaję, odwracam się i widzę, jak z mgły wyłania się Cassian.

- Szedłeś za mną od wejścia? - pytam. - Dlaczego się nie odzywałeś?

- Co? - Marszczy brwi. - Nie. Czekałem tutaj.

Gapię się na niego podejrzliwie, rzucając kolejne spojrzenie przez ramię, jakbym szukała tam kogoś obserwującego mnie z ukrycia.

Odwracam się do Cassiana na dźwięk jego słów:

- Zrobiłaś to? Powiedziałaś mu, żeby nigdy nie wracał?

- Tak. Powiedziałam.

Owszem. Przynajmniej na początku. Spuszczam wzrok i ruszam przed siebie, splatając ręce na piersiach.

Cassian dotrzymuje mi kroku.

- Dajesz radę?

- Poradzę sobie. - Kręcę głową. - Sporo tego, jak na jeden dzień.

-Wiem. - Zatrzymuje się i staje naprzeciwko mnie. Kładzie mi dłonie na ramionach. - Postąpiłaś właściwie.

Właściwie. Ja już nie wiem, co to takiego. Czuję kluchę w gardle. Nie mogę mówić, nie potrafię zdobyć się na kolejne kłamstwo. Po prostu szybko kiwam głową. Wzruszeniem ramion oswobadzam się z jego chwytu i odwracam się, by jak najszybciej się od niego oddalić. Jego obecność przytłacza mnie... przepętnia poczuciem winy. Z powodu pocałunku. Z powodu kłamstw, jakie mu dziś powiedziałam. Z powodu prawdopodobieństwa, że na zawsze ucieknę ze stada i zawiodę jego zaufanie.

Idzie obok mnie, a ja rzucam mu spojrzenie, ogromnie pragnąc być teraz sama.

Chyba rozumie.

- Odprowadzę cię do domu, żeby nie złożono na ciebie doniesienia, w razie gdyby zatrzymał nas patrol. Mogę im powiedzieć, że eskortowałem cię, bo chciałaś odwiedzić Tamrę czy coś w tym rodzaju.

Te słowa uświadamiają mi, jak ułoży się moje życie, jeżeli tu zostanę. Nie byłoby źle. Cassian zawsze będzie moim przyjacielem, zawsze będzie mnie wspierać i pomoże mi odzyskać akceptację stada. I wkrótce bym ją zdobyła, gdybym postępowała właściwie.

Gdybym umiała zapomnieć o Willu.

Gdybym potrafiła udawać, że nie pęka mi serce. Wszystko zależy ode mnie.

Dotykam palcami warg, na których wciąż go czuję. Nie sędzę, że kiedykolwiek zapomnę. Przez ostatnie tygodnie wmówiłam sobie, że zdołam... że zapomniałam. Dzisiaj-

szy wieczór udowodnił, że się myliłam. Will był cały czas w moim sercu. I na zawsze tam pozostanie.

Parę dni później stoję pod drzwiami sypialni mamy i delikatnie w nie pukam.

- Mamo! - wołam.

Zza drzwi dobiega przyciszony odgłos telewizora. Skończyła pracę kilka godzin temu. Prawdopodobnie jest głodna. W kuchennym zlewie nie widziałam żadnych naczyń.

Ponownie zapukawszy, otwieram drzwi i wchodzę do pokoju, w którym panuje półmrok. Mama leży na łóżku w szlafroku kąpielowym, ze wzrokiem utkwionym w telewizor. Patrę zdumiona na niezasłane łóżko. Zawsze je słała. Nigdy jeszcze nie widziałam u niej niezasłanego łóżka o tak późnej porze w ciągu dnia.

Na nocnym stoliku stoi napełniona do połowy lampka ziołowego wina. Obok kieliszka butelka. Ostatnio wino to jedyna rzecz, którą się żywi. Marna to dieta. Zastanawiam się, dlaczego pozwalają jej zabierać tak dużo tego trunku z kliniki. Używa się go przeważnie do celów leczniczych, a nie do normalnej konsumpcji.

- Cześć, mamo.

Odrywa się od powtórki jakiegoś serialu komediowego.

- Hej, Jacindo. Miałaś udany dzień? - Jej oczy są otepiałe i bez życia.

To tylko pytanie zadane z przyzwyczajenia. Zwykły frazes.

I jak tu odpowiedzieć matce, która dała za wygraną? Czy istnieje coś, co mogę powiedzieć lub zrobić, żeby ją odzyskać?

-Tak, wszystko okej - odchrząkuję, zdecydowana uczynić wszystko, co w mojej mocy, by tchnąć w nią życie. Jak ja mogę ją tak zostawić? Jeżeli ucieknę z Willem, kto

się nią zaopiekuje? - Dziś wieczorem w ośrodku rekreacyjnym grają w dzako. Wczoraj wieczorem turniej przerwano. Myślałam, że może masz ochotę pójść albo nawet zagrać.

- Nie - odpowiada szybko. - Nie mam ochoty na większe imprezy. Jasne, myślę. Wszystko, co robisz, to chodzenie do pracy, sporadyczne odwiedziny u Tamry i notoryczne usypianie się winem. Życie towarzyskie w stadzie, które odebrało ci córkę, nie kojarzy ci się raczej z dobrą zabawą.

- W takim razie zróbmy sobie babski wieczór w domu - proponuję. - Może coś ugotuję?

Przesuwa po mnie wzrokiem, a ja zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę z tego, że od ponad tygodnia nic nie ugotowała.

- Pewnie - mówi pod nosem, ale to słowo jest wymuszone, słysząc w nim niechęć. Mama nie chce żadnego towarzystwa. Nawet mojego.

Przyklejam uśmiech na twarzy i udaję, że nie dostrzegam jej przygnębienia.

- Świetnie. Dam ci znać, gdy kolacja będzie gotowa. Ostrożnie zamykam za sobą drzwi i idę do kuchni. Napełniając garnek wodą, słyszę jakiś dźwięk. Skrzypienie podłogi.

Szybko się odwracam.

- Mama? Nic.

I znów słyszę trzask deski. Przechodzę kilka kroków do salonu.

- Halo? - Czekam chwilę, gapiąc się na pusty pokój. Potrząsam głową i wracam do kuchni, rozcierając swędzący kark. Już nie pierwszy raz mam wrażenie, że słyszę kogoś w domu.

Wzdycham i uznaję, że w świetle tego

wszystkiego, co wydarzyło się podczas ostatnich miesięcy, to w sumie nic dziwnego, że jestem taka nerwowa.

Powracam myślami do mamy. Jej kompletny brak zainteresowania czymkolwiek budzi we mnie gniew. Przychodzi mi do głowy prowokacyjna refleksja, że nawet nie powinnam informować jej o zrobionej kolacji. Potem jednak to rozdrażnienie cichnie i po prostu ogarnia mnie smutek. Bo ona nawet by się tym nie przejęła.

Moja mama zniknęła. Osoba w tamtym pokoju to nie ona. Tylko jej duch. I wiem, że muszę przynajmniej spróbować ją odzyskać. Że nie mogę myśleć o odejściu stąd, zanim tego nie zrobię.

Przez okno w salonie dostrzegam Az. Widuję ją tylko w szkole i to przeważnie w czyimś towarzystwie. Wzbiera we mnie potrzeba porozmawiania z nią sam na sam, zanim ponownie spotkam się z Willem i może na zawsze opuszczę stado.

Zdecydowana zlikwidować ten dzielący nas dystans, chwytam buty, siadam na kanapie i zawiązuję sznurowadła. Tęsknię za nią i chcę wszystko wyjaśnić.

Pukanie do drzwi sprawia, że serce podskakuje mi z radości. Az! Nie będę więc musiała gonić jej na ulicy. Przyszła do mnie.

Gotowa się ukorzyć, otwieram czym prędzej drzwi w nadziei, że Az zmieniła nastawienie i dlatego przyszła. Bądź co bądź, już przedtem zdarzały się nam kłótnie, ale żadna nie przypominała obecnej sytuacji. Ona nie może się na mnie wiecznie gniewać.

Ale to nie Az stoi na ganku.

- Jacinda. - Kącik ust Cassiana unosi się, gdy wymawia moje imię. Taki uśmiech w jego wypadku to rzadkość i działa na mnie tak, jak nie powinien. Wykonuję niespo-

kojny ruch, unoszę się na palcach. Ja tego nie chcę. Nie chcę jego. Może gdyby moja siostra nie była w nim po uszy zakochana. Może przed powrotem Willa byłam wystarczająco słaba, by przyjąć Cassiana i jego półuśmieszki. Ale nie teraz. Teraz chcę więcej. Chcę Willa.

Kręcę głową, a tymczasem Cassian wchodzi do środka. I już mogę się pożegnać z szansą pogadania z Az na osobności. Wyglądam na zewnątrz i w oddali widzę jej drobną postać. Zatrząskuję drzwi, zakładam ręce i odwracam się do niego. Jego cień pada na mnie zachłannie i blisko. Stoję jak wryta. Mimo wszystko nie jestem w stanie się ruszyć.

- Czego chcesz?

Nie odpowiada, tylko stoi tuż obok, świdruje mnie oczami, wnika tak głęboko, ponownie mnie zwodząc, że dostrzega mnie. Tę prawdziwą mnie poza wszystkim innym. Poza dziewczyną. Poza dragonką. Poza krwią, kośćmi i żarem ognioziejki. A jednak gdyby naprawdę mnie widział, zorientowałby się, że nie potrafię pożegnać się z Willem. Widziałby, że kłamię. Ze teraz trudno mi patrzeć mu w oczy ze świadomością ohydneho fałszu między nami.

Mój wzrok zatrzymuje się na jego ustach, które mnie całowały. Spoglądam na nie, aż czuję ucisk w sercu i zapiera mi dech. Unosi rękę, a ja się wzdrygam.

Czuję się głupio, ale udaje mi się zachować panowanie nad sobą, gdy gładzi mnie kciukiem po policzku.

- Co ty robisz?

- Dotykam cię.

Opuszki jego palców przesuwają się po mej brodzie, dolnej wardze, tak miękko, zachęcająco, że wiem, czego chce. Czuję to w jego dotyku. W tym, jak pochłania mnie ciemnymi oczami. Szepcze moje imię.

Na ułamek sekundy ulegam, ale potem zaraz odskakuję od Cassiana.

Nie rozdziela nas nagły wyrzut sumienia, lecz wścibstwo. I teraz już wiem, że nie jesteśmy sami.

ROZDZIAŁ 14

Odwracam się i staję oko w oko z siostrą. Ma na twarzy rumieniec, jej policzki są tak czerwone, że w zestawieniu z alabastrową cerą wygląda to niemalże obscenicznie.

Mnie natomiast oblewa fala zimna.

- Tamra.

Prawie nie słyszę własnego głosu, tylko czuję, jak w gardle przekształca się w żalosny jęk. Jej bladomroźne oczy śmigają ode mnie do Cassiana.

- Co? - rzuca, a brzmi to twardo, okrutnie, jakże odmiennie w zestawieniu z jej wyglądem: wstrząśniętej i wątlej istoty, teraz jeszcze bardziej nieziemsko bladej niż zwykle. - Co to takiego? Co w niej jest takiego wyjątkowego? - mówiąc to, patrzy tylko na Cassiana. - Powiedz mi!

- Nic - zaczynam. - Nic, Tamra... Piorunuje mnie wzrokiem.

- Mówię do Cassiana, Jacindo! - Ponownie koncentruje się na nim. - Naprawdę chcę to wiedzieć. Mamy takie same twarze! -

Każde jej słowo przypomina warknięcie. - No, prawie. - Odrzuca do tyłu srebrzyste włosy. - Teraz nie tylko jestem prawdziwą dragonką, lecz także mam talent, który konkuruje ze zdolnościami Jacindy. Więc o co

tak naprawdę chodzi? -Jej jasne oczy płoną od emocji, badawczo wpatrują się w jego twarz, rozpaczliwie spragnione odpowiedzi. Przez dłuższą chwilę Cassian stoi cicho. A ja cierpię w milczeniu, czekam, aż on jej powie, że nie ma we mnie niczego wyjątkowego. Ze powraca do mnie tylko z przyzwyczajenia. Tamra powoli kręci głową.

- Po prostu mi powiedz - kolejne pytanie zmienia się w cichy, słaby szept, który sprawia, że ściska mi się serce - dlaczego nie ja?

Cassian w końcu odpowiada niskim, udreńczonym głosem:

-Nie wiem. Próbowałem... odkąd tu wróciliśmy, starałem się... Ale ty nie jesteś nią.

Jego słowa przyprawiają mnie o emocje, których nie chcę. Na chwilę pozwalam sercu pławić się w otulającej je fali ciepła. Dopuszczam do siebie wiarę, że jestem dla Cassiana wyjątkowa. Ze jestem czymś więcej niż ognio-ziejka, którą kazano mu wybrać.

Tamra wygląda tak, jakby zadano jej cios. Jej szyja okrywa się plamami bladej czerwieni.

- Tak? Jaka szkoda, że ona nie czuje tego samego. Nigdy takim kimś dla niej nie będziesz. Pamiętaj o tym. Będąc z tobą, będzie tęsknić za nim.

A potem szybko wychodzi.

Wpatruję się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stała.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Chodzi ci o to, że powiedziałem prawdę?

- Prawdę? Myślałam, że wy oboje...

- Nie - rzuca krótko, otwarcie i potrząsa ciemnymi kędziorami. - Próbowałem... ale nie potrafię.

Zamykam oczy na jedną boleśnie długą chwilę. Gdy je otwieram, spoglądam mu w twarz.

- Ona ma rację. W moim sercu zawsze będzie Will.

- Nie - zaprzecza z irytującą pewnością siebie. - On był twoją ucieczką. Gdy przestaniesz uciekać, zrozumiesz, że twoje miejsce jest przy mnie. Może przedtem w to wątpiłem, ale potem pocałowałaś mnie na wieży...

- To - przerywam mu ostro - była pomyłka. Poważny błąd w ocenie sytuacji.

- Może to Will jest pomyłką? Słyszając to, cofam się o krok.

- Załóżmy przez chwilę, że możesz mieć tego swojego ukochanego Willa. Ze opuszczasz stado, rodzinę, zmieniasz swe życie, aby z nim być. Czy nie sądzisz, że pewnego dnia obudzisz się, spojrzysz na niego i uświadomisz sobie, iż jest tylko jakimś myśliwym z rękami zbrukanymi krwią? Łowcą, w którego żyłach płynie zrabowana krew?

Potrząsam głową.

- Nie! Nie chcę tego słuchać...

- Bo to prawda. Myślisz, że będziesz mogła z tym żyć? Gdy minie kaprys, gdy uleci pierwszy dreszczyk emocji... przypomnisz sobie, dlaczego nie powinnaś z nim być.

- Nie wiem, dlaczego o tym rozmawiamy. Nigdy go już nie zobaczę - mówię, a kłamstwo sprawia, że głos mi drży.

Cassian wpatruje się we mnie tak przenikliwie, że boję się, iż dojrzy moje oszustwo.

- Po prostu nie chcę już nieporozumień między nami - oświadczam stanowczo.

- Doskonale rozumiem sytuację. Nie mamy przyszłości. -

Wskazuję ręką drzwi. - Naprawdę powinieneś pójść za Tamrą. Jest roztrzęsiona.

- Przykro mi z tego powodu. - Cassian oddycha głęboko, a jego szeroka pierś wysoko się unosi. - Ale nie jest mi przykro za nas.

- My nie istniejemy - syczę, zwijając dłonie w pięści. Rusza w stronę drzwi spokojnym, równym krokiem.

- Umiem być cierpliwy. Mamy czas.

I już go nie ma. Pozostają po nim tylko otwarte na oścież drzwi.

Czas to ostatnia rzecz, jaką mamy. Wkrótce spotkam się z

Willem. I z nim ucieknę. Podejmuję tę decyzję z absolutną pewnością. Teraz nie mam w tej kwestii ani cienia wątpliwości.

Nazajutrz po pracy idę do domu Az po drugiej stronie osady.

Muszę się z nią zobaczyć. Muszę wyjaśnić wszystko, zanim odejdę. W każdym razie na tyle, na ile to możliwe.

Otwiera drzwi. Wpatruje się we mnie z uniesioną brwią, by po dłuższej chwili eleganckim gestem zaprosić mnie do środka.

Bezgłośnie idzie po schodach do swojego pokoju. Długie włosy z błękitnymi pasmami miękko spływają jej po plecach. Tuż przed wejściem na schody moją uwagę odciąga jej mama, która zauważyła mnie, wychodząc z kuchni.

-Jacinda! - Sobha otacza mnie ramionami. Zbyt zaskoczona, nie odwzajemniam od razu jej uścisku. Zapomniałam, jakie to miłe, gdy inni członkowie stada okazują mi serdeczność. - Najwyższy czas, że do nas zajrzałaś. Kiedyś bywałaś tu prawie co drugi wieczór.

Też to pamiętam. Po tym, jak się przemieniłam, a Tamra nie, moja przyjaźń z Az jeszcze bardziej się zacieśniła. Byłyśmy nierozłączne.

- Mamo - napominają Az.

- Och, nie będę was zatrzymywać. - Klepie mnie czule w ramię. -
Idźcie na górę.

Pokój Az jest taki, jakim go zapamiętałam. Jasne róże i błękity, plakaty z oceanem. Podchodzę do zdjęcia plaży Carmel. Jako małe dziewczynki rozmawiałyśmy o wspólnych podróżach i wybraniu się tam. Kiedyś, gdy jeszcze myślałam, że stado pozwoli mi odejść. Teraz uświadamiam sobie, że te plany nigdy nie miały szansy powodzenia. Byłam dla nich zbyt cenna, by mogli ryzykować utracenie mnie. Wszyscy bowiem wiedzieli, że dragony czasami nie powracają ze swych wypraw.

My jednak marzyłyśmy, wierząc, że gdy skończymy osiemnaście lat, przyjdzie nasz czas. Nasza kolej. Ze tak jak niezliczone dragony przed nami wyruszymy przed siebie i będziemy przez rok żyły jak ludzie, ucząc się reguł zewnętrznego świata, a potem powrócimy do stada.

Uśmiechając się do tych myśli, gładzę dłonią chłodny, połyskliwy papier. Plaża położona u stóp zielonych wzgórz wygląda jak obrazek z włoskiej broszury turystycznej. Może Az uda się popływać w tych błękitnych głębinach w dragońskim wcieleniu. Tyle że beze mnie.

Siadam na jej łóżku, ze sterty poduszek u wezłowia zgarniając puchaty jasek w kształcie serca. Przytulam go do piersi.

- Tęskniłam za tym pokojem.

Az stoi sztywno przy oknie z założonymi rękami.

- Taaa - odzywa się gniewnie. - Nigdy bym nie powiedziała.

- Tęsknię za tobą - dodaje, postanowiwszy przejść do sedna sprawy. Nie mam czasu na owijanie w bawełnę.

- Okazujesz to w zabawny sposób. Wyjechałaś i...

- To nie była moja decyzja - wtrącam, ale przyjaciółka mnie ignoruje i mówi dalej.

- I zakochałaś się w jakimś człowieku. Przemieniłaś się na jego oczach. - Przyciska rękę do serca. - Nie mogę uwierzyć, że mogłaś nas wszystkich narazić na takie niebezpieczeństwo. Jacinda, którą znam, nigdy by...

-Jacinda, którą znasz, nie umiała stać i przyglądać się, jak on ginie. - Aż do bólu zaciskam palce na poduszce.

- W dodatku wiedząc, że mogę temu zapobiec. On spadał ze skały, Az. Nie było czasu na rozmyślania. Po prostu działałam. - Wpatruję się w nią błagalnym wzrokiem, pragnąc, by to zrozumiała.

Przez dłuższy czas przygląda mi się badawczo, a potem zadaje pytanie:

- Czy zostałabyś tam? Gdyby Cassian po ciebie nie pojechał? - W jej głosie nie słychać już gniewu, tylko ból, a ja mam ochotę skłamać. Chciałabym oszczędzić jej cierpień, ostatnio jednak dość już nakłamałam. - Tak. Myślę, że tak.

Po chwili Az potrząsa głową. Potem, głośno wzdychając, siada obok i daje mi zaczepnego kuksańca.

- Mam nadzieję, że to przynajmniej niezłe ciacho.

Uśmiecham się. Tak, to znów jest ta zabawna, ekscentryczna Az, jaką kocham i pamiętam. Poważnieję i stanowczo się w nią wpatruję, pragnąc, by nigdy nie zapomniała tej chwili i moich słów: -Az, on jest naprawdę wyjątkowy. Tamtego dnia, gdy się wymknęłyśmy i gonili nas myśliwi, on mnie zobaczył. I puścił mnie wolno. On jest powodem mojej ucieczki. Zależy mu na mnie. Nie ze względu na moje zdolności.

- Śmieję się ochryple. - Nigdy nie mogłam powiedzieć tego o żadnym innym facecie. - Chociaż ostatnio Cassian patrzy na mnie w taki sposób, że... Nie. Odsuwam od siebie tę myśl. Ucieknę z Willem.

Spogląda na swe dłonie i powoli kiwa głową.

- Chyba kapuję.

- Potrzebuję twojego zrozumienia - szepczę gorączkowo. -

Naprawdę go potrzebuję.

Podnosi na mnie wzrok i w jej oczach wyczytuję nieme pytanie.

Pytanie, na które nie odpowiem. Gdy do niej przyjdą, chcę, żeby spojrzała im w twarz i najszczerzej w świecie powiedziała, że nie wiedziała nic o mych planach.

- Rozumiem - odzywa się w końcu.

Nie mogę się powstrzymać i przyciągam ją do siebie, by ją mocno uściskać.

- Dzięki - szepczę zdławionym głosem, a ona gładzi mnie po włosach.

-Już dobrze. Już się nie gniewam. Czy kiedykolwiek potrafiłam być długo na ciebie zła? Teraz to był chyba rekord.

Zaczynam się śmiać, a ten odgłos zmienia się w mokrą czkawkę.

- Lepiej o tym pamiętaj, gdy następnym razem cię wkurzę.

-Już planujesz następny raz? - pyta przekornie. Czuję ucisk w sercu.

- Tak na wszelki wypadek - wykręcam się.

- Och, Jacindo! - Az kręci głową. - Trochę optymizmu! Nie martw się na zapas. Po prostu żyj chwilą.

Pociągam nosem.

- Staram się.

Rozglądam się badawczo po pokoju i czuję ulgę, gdy dostrzegam na jej biurku to, czego szukam.

- Zagramy w karty?

Pozostaję u Az, aż jej mama przychodzi, by przestrzec mnie, że do godziny policyjnej zostało tylko dwadzieścia minut. Przy pośpiesznym pożegnaniu umawiam się z Az na jutro. Wychodzę od niej z lekkim sercem, szczęśliwa, że się pogodziłyśmy. Mam

nadzieję, że moja przyjaciółka zapamięta ten wieczór i zrozumie, gdy się dowie o tym, że uciekłam.

Po powrocie do domu przemierzam korytarz, by jak najszybciej wskoczyć pod prysznic i niespodziewanie wpadam na siostrę, która wychodzi ze swojego pokoju.

- Tamra! Nie wiedziałam, że zajrzysz.

Jej twarz pozbawiona jest wyrazu i tak bardzo przypomina czasy naszego dzieciństwa, że muszę powstrzymać cisnący się na usta uśmiech: Tamra próbowała wtedy przybierać równie srogie miny, gdy była na mnie naprawdę zła.

- To nadal mój dom, Jacindo. Wychowałam się tutaj.

- Oczywiście.

Zapada niezręczna cisza, która wlecze się w nieskończoność, gdy tak stoimy w ciasnym przedpokoju. Wreszcie Tamra przerywa milczenie, wskazując na drzwi za sobą.

- Musiałam zabrać kilka rzeczy.

Kiwam głową, nie mając do powiedzenia nic... albo raczej wszystko. Lecz brakuje mi słów.

Siostra mija mnie, a ja przyglądam się jej z sercem w gardle, myśląc o tej okropnej scenie z Cassianem. Ale potwierdza to tylko, że najlepszą rzeczą na świecie może być pozostawienie jej tutaj. Może w ten sposób zyska to, czego potrzebuje. Życie, w którym będzie mogła błyszczeć swoim własnym blaskiem. Bez konieczności dzielenia go ze mną.

Odwraca się, jakby coś sobie przypomniała.

- Zajrzałam do mamy. Co się z nią dzieje? Nie wygląda dobrze.

- Nie - odpowiadam rzeczowo, nawet nie pomyślawszy o osłodzeniu prawdy. Gdy ucieknę, lepiej, żeby Tamra

wiedziała, co się dzieje z mamą. Mama będzie jej potrzebować. Będą potrzebowały siebie nawzajem. - Każą jej długo pracować. To chyba część kary.

- Nie wiedziałam - mówi słabym głosem Tamra.

- Ty masz chyba teraz lepsze notowania. Może uda ci się ich przekonać, żeby jej trochę odpuścili.

Kiwa głową.

- Spróbuję.

- Za dużo pije, przemyca ziołowe wino z kliniki...

- To do niej niepodobne.

Nie podoba mi się oskarżycielski ton w jej głosie. Jakbym kłamała albo jakbym to ja była powodem, dla którego mama szuka pocieszenia na dnie butelki.

- Próbowałam namówić ją, żeby przynajmniej jadła. Ale ostatnie tygodnie były dla niej bardzo trudne. Jest przygnębiona.

- Dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś?

- Nie pytałaś.

Mruga oczami. Wiem, że jej dopiekłam. Może niesprawiedliwie. Ostatecznie przecież Tamra nie jest winna temu, co się jej przydarzyło. Nie dopominała się, by przeprowadzić się do Nidii i opuścić mamę. Po prostu stara się jakoś uporać z tą sytuacją. Podobnie jak ja.

- Nie zapominaj o niej. Ona cię potrzebuje. *Bo mnie tu zabraknie.*

Tamra uważnie mi się przygląda, a potem powoli kiwa głową.

Rusza w stronę drzwi. Jej dłoń spoczywa już na klamce, gdy słyszę własne wołanie:

- Przepraszam, Tamro!

Zerka przez ramię. Wystarczy jedno spojrzenie w jej oczy i wiem, że rozumie, o czym mówię. To wisiało między nami od chwili, gdy weszłam do domu. Cassian.

- Za co? Za to, że jesteś tą, której on pragnie?

- Nie jestem nią - zapewniam. - Tyle że on o tym nie wie.
- I nigdy się nie dowie. - W jej głosie nie słyhać gniewu. Tylko zmęczenie, porażkę. W tej chwili przypomina mi mamę, albo przynajmniej jej obecną wersję. I znowu nie mogę oprzeć się wątpliwości, czy moja ucieczka będzie najlepszym wyjściem dla nich obu. Ale moja obecność i tak nie ułatwia im życia.
- Dobranoc, Tamro - mówię, chociaż tak naprawdę brzmi to jak żegnaj. Wkrótce zniknę.
- Pa, Jacindo. - Skinąwszy głową, moja siostra wychodzi z domu.

ROZDZIAŁ 15

Po wyjściu Tamry biorę prysznic i przebieram się w spodnie od piżamy i koszulkę bez rękawów. Telewizor z pokoju mamy rzuca na sień migotliwą błękitną poświatę.

Gdy idę mrocznym korytarzem, pod moimi stopami trzeszczy drewniana podłoga. Przez ułamek sekundy widzę wspomnienie samej siebie sprzed wielu lat, jak na palcach dreptałam do pokoju rodziców. Tamra nigdy tego nie robiła. Tylko ja. Ostrożnie wdrapywałam się na chłodną pościel ich łóżka i wciskałam pomiędzy nich. Oplatali mnie ramionami, a ja w tym kokonie czułam się bezpieczna i kochana.

Rankiem zaś budziłam się, słysząc kazanie o konieczności bycia dużą dziewczynką i spaniu we własnym łóżku. Mimo to po paru dniach znowu wracałam do ich pokoju. Nigdy mnie nie wyganiali. Tam zawsze odnajdywałam oazę spokoju. Nic złego nie mogło mnie dosięgnąć.

Rozglądałam się po sypialni. Mama w tym wielkim łożu samotna jak palec.

Ruszam w stronę telewizora, by go wyłączyć.

- To wszystko moja wina.

Zamieram na dźwięk głosu mamy. Tak cichego, że podchodzę bliżej.

- Co mówisz, mamó?

- Gdyby nie ja, to wszystko by się nie wydarzyło - oznajmia ze wzrokiem wbitym w ekran, ani przez moment nie zerkając na mnie. - Powinnam zabrać was gdziekolwiek, byle nie tam.

Początkowo nie rozumiem.

- To znaczy?

- Byłam egoistką i chciałam zachować wspomnienia...

- O czym?

- O twoim ojcu. - Wtula twarz w poduszkę i wydaje z siebie szloch. To mną wstrząsa. Nie przypominam sobie, by mama kiedykolwiek płakała. Nawet wtedy, gdy zaginął tato.

- Chaparral. Jedyne miejsce, które wasz ojciec i ja naprawdę mieliśmy dla siebie. Chociaż było to jedynie parę dni, zanim namówił mnie do powrotu tutaj. Byliśmy tylko we dwoje. Z dala od stada. Jedyne my i pustynne niebo.

Powstrzymuję się od powiedzenia jej, że ich obecność nie przeszła bez echa. Przynajmniej w jej wypadku. Widziano, jak latała. To z jej powodu rodzina Willa tam się osiedliła. Podczas gdy większość ludzi uznawała dragony za jakiś dziwny rodzaj ptaków albo nienaturalne obiekty latające - rzekome UFO - inni zwrócili na to uwagę. Łowcy bacznie śledzili takie doniesienia. Nie mogę jej jednak obwiniać. Rozumiem, jak to jest, gdy podejmuje się ryzyko dla kogoś kochanego... gdy łamie się reguły, by z takim kimś być. Przechylałam głowę i przyglądałam się mamie. Zawsze myślałam, że jestem raczej podobna do ojca, ale może mam w sobie więcej z mojej matki, niż kiedykolwiek sądziłam.

- To nie twoja wina - mówię, wyłączając telewizor, a potem otulam ją kocem.

Bezgłośnie zapada w sen. Przez chwilę spoglądam na jej pogrążoną w półmroku postać, a potem wślizguję się do łóżka obok niej, pod chłodną, miękką pościel. Przysuwam się bliżej, by czuć ciepło mamy.

Wsunąwszy dłoń między policzek a poduszkę, zamykam oczy i zanurzam się w spokoju, który zawsze tu odnajdywałam.

Pomimo że podjęłam decyzję kilka dni temu, ręka mi drży, gdy podpisuję list. Klamka zapadła. Od tej chwili nie ma odwrotu.

Złożywszy starannie kartkę na cztery, kładę ją na poduszce obok pierwszej, którą zapisałam. Uznałam, że mama i Tamra zasługują na osobne listy.

Przez moment słyszę trzask deski w podłodze i sztywnieję.

Zerkam przez ramię w obawie, że mama wróciła wcześniej z pracy. Wlepiam wzrok w drzwi swego pokoju i czekam przez chwilę, ale nic się nie dzieje. Cisza. Wzdychając, powracam do listów w nadziei, że ten nieustanny niepokój, wrażenie, iż wciąż jestem obserwowana, raz na zawsze ustąpi, gdy stąd ucieknę.

Oba listy są krótkie, rzeczowe. Mówię mamie i Tam-rze, jak bardzo je kocham. Jak bardzo będę za nimi tęsknić. Proszę, żeby się o mnie nie martwiły, że chwytam me szczęście i mam nadzieję, iż one też zadbają o swoje.

Czuję pieczenie pod powiekami, papier szeleści w moich dłoniach. Nie określam, dokąd odchodzę - ani z kim. Ale one będą wiedziały. I mam nadzieję, że zrozumieją. Odczytają to między wierszami. Wyprostowując się, podnoszę plecak z podłogi. Ostatni raz szybko ogarniam wzrokiem pokój mego dzieciństwa i opuszczam go na zawsze.

* * *

- Dokąd tak gonisz? - Przez chwilę zastanawiam się, czy nie udać, że nie słyszę za sobą wołania Corbina. Ostatnio udawało mi się go unikać. -Jacinda! Poczekaj.

Wzdychając, przystaję. Powinam przynajmniej stwarzać pozory, że próbuję na powrót przystosować się do życia w stadzie, i porozmawiać z sąsiadem, zamiast przed nim uciekać.

Staję twarzą w twarz z Corbinem.

- Do Mdi.

- Tamry tam nie ma. Ćwiczy na polu lotów. Jeśli chcesz, możemy do niej dołączyć.

- Nie jestem w nastroju - odpowiadam i odwracam się, idąc w stronę chatki Nidii. Jest prawie południe.

Ale Corbin nie daje mi spokoju.

Uświadamiam sobie, że jeżeli Corbin sobie nie pójdzie, niewykluczone, iż będę musiała wejść do Nidii, by usprawiedliwić swą wymówkę. Nie żebym miała jakiś konkretny plan na ominięcie lub zbajerowanie strażnika stojącego na warcie, ale ufam, że rozwiązanie nasunie się samo.

- Chcesz potem zajrzeć do ośrodka rekreacji? - pyta Corbin, jakby to była jakaś propozycja. Jakbym w stosunku do niego złagodniała.

- Nie, dzięki.

- Jacindo, kiedy skończysz zgrywać taką niedostępną? Idę dalej, a moja irytacja uwidacznia się w każdym zamaszystym kroku.

-Ja nikogo nie zgrywam.

- No cóż, wkrótce i tak cię z kimś wyswatają.

Moja skóra napina się, szczypie. Bo on prawdopodobnie ma rację. Stado nie pozwoli mi na zbyt długie życie bez pary. Albo sama wybiorę kogoś - oczywiście zaakcep-

towanego przez Severina, albo zostaną komuś przypisana.
Jeszcze jeden powód, by uciec jak najdalej od stada.

- Cassian będzie...

- Nie obchodzi mnie Cassian - rzucam, wściekła na falę gorącą, która nagle oblewa mi twarz w reakcji na ewidentne kłamstwo. Od chwili mojego powrotu Cassian tkwi w mej głowie tuż obok Willa.

Źle go oceniałam. Nie pragnie mnie dlatego, że jestem unikatową ognioziewką. Nie jest tak, jak zawsze myślałam. W przeciwnym razie chciałby mieć Tamrę, moją bliźniaczą siostrę, która teraz ma wśród dragonów taki sam, jeśli nie wyższy status.

Chociaż to wydaje się niemożliwe, Cassian pragnie mnie. Po prostu mnie.

Ta świadomość doprowadza mnie do szału. Moje serce należy do Willa. I nie potrzebuję, żeby Cassian komplikował... utrudniał to, co powinno być łatwe. Dlaczego po prostu nie może zachcieć Tamry?

Myśli o Willu i Cassianie poplątały się beznadziejnie jak zasupłane sznurki. Ale to dziś się skończy. Dziś dokonuję wyboru.

Corbin zatrzymuje się. Ja też przystaję i patrzę mu w oczy, wyrażając nimi cały chłód, jaki na jego widok budzi się w mym sercu.

- Dobrze słyszeć, że nie zależy ci na Cassianie - oznajmia. - To oznacza, że nic nie stoi nam na przeszkodzie.

Kręcę głową.

- Posłuchaj, Corbin. Ty i ja... to nierealne. Nigdy.

- Zobaczymy - mamrocze z przebiegłym uśmiechem na ustach.

Rzuca spojrzenie ponad moim ramieniem, jakby coś tam zobaczył. Podążam za jego wzrokiem, ale nic nie widzę. -

Pozdrów ode mnie Nidię.

Odchodzi, a ja idę dalej ku chatce kamuflonki, jeszcze bardziej przekonana, że muszę uciec.

Tym razem strażnikiem na warcie nie jest Levin. Na moje nieszczęście dzisiejszy strażnik wygląda na takiego, który poważnie traktuje swoją pracę. Gapi się na mnie nawet wtedy, gdy pukam do drzwi Nidii, a jednocześnie gorączkowo usiłuje opracować plan minięcia go i dotarcia na spotkanie z Willem. Ponownie pukam. Cisza. Czując na sobie jego wzrok, swobodnie wracam na ulicę, jakbym wracała do centrum osady. Odszedłszy wystarczająco daleko, by mnie nie widział, skręcam w lewo ku krzakom. Serce wali mi jak młotem, przedzieram się przez gęste listowie na tyłach kilku domów i zataczam łuk, by dojść potajemnie do domu Nidii.

Pośpiesznie się rozglądam i upewniam, że w pobliżu nie ma nikogo, a potem zrzucam ubranie. Głęboko oddycham i zapominam o reszcie świata.

W piersi narasta znajome napięcie, kumuluje się sprężony żar. Otula mnie wilgotne powietrze, które karmi moją dragonkę. Znika ludzka powłoka, moja twarz tężeje, policzki naciągają się i wyostrajają... Przemieniam się. Oddech przekształca się, pogłębia i staje się gorący, a mostek nosa rozpycha ciało. Mięśnie rozluźniają się i wydłużają. Podnoszę głowę ku niebu i delektuję się pieśczętą wilgotnego wiatru na twarzy.

Rosną mi skrzydła. Wzdycham, gdy się wyrzynają i z cichym szelestem rozpościerają w radosnym poczuciu wolności.

Dragońska skóra mieni się, ogniste złoto odbija słabe światło słoneczne, które przenika przez mgłę.

Zgarniam swe ubrania, upycham je w plecaku i spoglądam oskarżycielsko na porośnięty bluszczem mur. Na

jego widok robi mi się niedobrze. Mam dość życia w klatce. Owijam rękę ramiączkiem plecaka, zbieram się w sobie. Swobodnym ruchem wskakuję na ogrodzenie i już w pełni przemieniona nawet nie zawracam sobie głowy lądowaniem po drugiej stronie. Nurkuję w las, rozcinając powietrze i śmigając pomiędzy drzewami. Nie lecę zbyt daleko. Byle tylko zostawić stado za sobą.

Radośnie dysząc, zniżam lot i rozkoszuję się swobodą rozpiętych skrzydeł niczym dwóch wielkich żagli na mych plecach. Ląduję na koniuszkach stóp, chowam się za dużym drzewem i powracam do ludzkiej postaci. Skrzydła się zwijają, wciągam je głęboko pomiędzy łopatki.

Ciężki oddech rozrywa mi usta. Ale to nie z wyczerpania. Stać mnie na znacznie większy wysiłek. To przez adrenalinę. W moich żyłach wrze strach i podniecenie.

Szybko się ubieram, niezręcznie wskakuję w szorty i cały czas nasłuchuję alarmu w oddali... jakiegokolwiek oznaki, że ktoś zauważył moją ucieczkę. Cisza.

Po paru chwilach mój oddech się uspokaja. Udało mi się.

Wymknęłam się niepostrzeżenie.

Zarzucam plecak na ramię, wychodzę spod osłony drzewa i śpieszę w stronę polany. Na spotkanie z Willem.

ROZDZIAŁ 16

Upływa zbyt dużo czasu. Spoglądam w górę na korony drzew, pomiędzy gałęzie, i napawam się promieniami słonecznymi przedzierającymi się przez szpary w listowiu. Słabe światło pada na mą ludzką skórę i osiada na niej płasko, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy muska dragońską powłokę i migocze jak płomień. Ptaki ćwierkają, rozmawiają ze sobą, a ich nawoływania nakładają się na siebie. Pomiedzy wysokimi drzewami szumi spokojny wiaterek.

Will, gdzie jesteś?

Otulam się ramionami, rozcieram je dłońmi. Minęła już prawie godzina, a ja wciąż czekam, tracę ducha, do serca wkrada się przygnębienie. *On nie przyjdzie.*

Wkrótce ktoś zauważy moją nieobecność. A jeżeli on nie przyjdzie... jeżeli nie ucieknę, to nie mogę tu dłużej zostać.

Chyba że chcę, by mnie schwytali.

Mimo to zwlekam. Na zmianę siadam, stoję i spaceruję po mglistej polanie, na której ostatnio go widziałam. Tam gdzie trzymaliśmy się w objęciach, wyszeptując marzenia i obietnice. Niemożliwe marzenia, ja jednak nadal łudzę się nadzieją.

Rozglądam się wkoło, bacznie przeczesuję wzrokiem cienistą gęstwinę, jakby lada chwila miał się z niej wynurzyć.

Nie wiem dokładnie, kiedy to zauważam, ale nieruchomieję, zastygam jak kamień. I nasłuchuję.

Zupełna cisza. Nienaturalna.

Nie jestem sama. Ta świadomość sprawia, że moja skóra się marszczy. Ktoś tu jest. W piersi aż mi wrze i czuję się tak, jakbym właśnie wypila jedną z musujących oranżad, które tato zawsze kupował podczas naszych wypraw do miasta.

Will. Przeszukuję wzrokiem gęstwinę otaczających mnie drzew i zarośli, spragniona jego widoku. Coś powstrzymuje mnie jednak od wypowiedzenia jego imienia. Od zawołania go.

Cisza trwa, przekształcając się w niesamowite żywe stworzenie, które złowieszczo dyszy ze wszystkich stron.

I wtedy uświadamiam sobie, że ktokolwiek tam jest - to nie Will. On już by się ujawnił. Nie zrobiłby mi tego.

Jakiś odgłos zakłóca ciszę. Coś jest nie tak. Nie słychać ptaków ani szumu wiatru wśród spowitych mgłą drzew.

Trzask gałązki. Tylko jednej. Jakby coś się poruszyło, sprawdziło swą wagę i zatrzymało się. Skupiam wzrok na tym miejscu, w napięciu świdruję spojrzeniem gęste listowie. Aż wreszcie pytam:

- Kto tam jest?

Nic.

Przez głowę przemykają mi niezliczone warianty rozwoju sytuacji. Czy ktoś mnie śledził? Corbin? Wartownik? A może to łowca? Ktoś z rodziny Willa?

Zdaję sobie sprawę, że czekanie na odpowiedź to zły pomysł.

Wchodzę szybko pomiędzy drzewa, rozgarniam gałęzie, oddalając się od polany i od osady. Jeżeli to jakiś łowca, nie mogę poprowadzić go w kierunku stada.

I znów to słyszę. Równomierne kroki za plecami. Stwierdziwszy z ulgą, że nie zwariowałam, koncentruję się na tym, by zgubić prześladowcę, kimkolwiek by był. Na pewno nie jest przyjacielem, bo takowy by się ujawnił.

Oblewa mnie fala gorąca. Idę szybko, coraz dalej zagłębiam się w las. Przy każdym kroku serce wali mi jak młotem.

Brnę przez wysoką trawę, zastanawiając się, jak ten obiecujący dzień mógł się przemienić w coś tak okropnego. Teraz powinnam być w ramionach Willa, a tymczasem ktoś bawi się ze mną w kotka i myszkę. Przez płataninę gałęzi przezierają ośnieżone szczyty gór.

Mam dość udawania ofiary, więc gwałtownie się odwracam.

- Pokaż się! Wiem, że tam jesteś. Cisza.

Przeczesuję wzrokiem gęstwiny.

I wtedy ją dostrzegam. Spomiędzy drzew wyłania się postać.

- Miram - mówię zdyszana. Chyba powinnam się cieszyć, że mi się pokazała. Bo przecież nie musiała.

-Już myślałam, że nigdy się nie zatrzymasz. Co ty tu robisz? - pyta natarczywie, opierając pięść na biodrze i rozglądając się badawczo. - Umówiłaś się z kimś?

- Nie - zaprzeczam szybko.

- Po co więc miałybyś się wymykać...

- Po prostu chciałam pobyć trochę sama. - Mierzę ją wzrokiem. - Ale chyba nie ma na to szans.

Przekrzywia głowę lekko, bez emocji.

- Nie wierzę ci.

Staram się przybrać wygląd niewiniątka. Oby tylko skutecznie.

- Dlaczego nie?

Uśmiecha się dziko i wyjmuje coś z kieszeni. Mija chwila, zanim pojmuję, co trzyma w ręku. Papier. Dwie poskładane kartki.

- Moje listy - mówię otepiała. - Wszłaś do mojego domu? Do pokoju?

Wymachuje nimi w powietrzu.

- Mnóstwo razy. Nikt nie wie tyłu bombowych rzeczy co ja.

Czego to inni nie robią i nie zostawiają! Po co komu talent ognioziejski, skoro tak fajnie być niewidzialnym?

Doznaję olśnienia.

- Szpiegowałaś mnie!

Tamte odgłosy... wrażenie bycia pod ciągłą obserwacją. To nie moje urojenia. To była ona.

Radośnie kiwa głową. Nawet się nie wstydzi.

- Dlaczego? Za co mnie tak nienawidzisz? Na jej twarzy pojawia się zaciętość.

- Przez lata przyglądałam się, jak stado oddaje ci hołdy. Nawet moja rodzina traktowała cię jak jakąś wielką wybawicielkę, nie dostrzegając mnie, jakbym była czymś gorszym, nieważnym.

Tymczasem w całym stadzie jest tylko pięć - podnosi rękę z rozczapierzonymi palcami - pięć znikających dragonów. My też jesteśmy wyjątkowi.

Wzdycham.

- Naprawdę? To dlatego tak mi dokuczasz? Bo nie poświęcają ci dość uwagi?

- Och, zamknij się, Jacindo. Nie wiem, skąd w tobie tyle pewności siebie. Jesteś zdrajczynią. Nigdy już nie odzyskasz zaufania. Jak myślisz, dlaczego mój ojciec poprosił mnie, bym cię miała na oku?

- Severin cię do tego namówił? Kiwa głową.

- Nie paliłam się do tego.

Głęboko oddycham i staram się odsunąć na bok gorzki potok jej słów. Jediną rzeczą, na której potrafię się skupić, jest nagły cichy warkot w powietrzu. Odległy, ale boleśnie znajomy.

Ta chwila zaczyna przypominać inną, przeżyta niedawno - nawet jeśli wydaje się, że od tamtego czasu minęły wieki. Odkąd strzała przeszła moje skrzydło. Odkąd byłam zwierzyną ściganą na tym samym wzgórzu. Odkąd po raz pierwszy ujrzałam Willa. Odkąd mnie oszczędził, ocalił i skradł moje serce.

Tym razem jednak łowcy są za blisko... za blisko stada. Jestem przekonana, że osada już wie i że ogłoszono stan najwyższej gotowości.

Miram się rozgląda.

- Co to...

- Ciii... - Rozcinam dłonią powietrze i wyteżam słuch. Mgła się zagęszcza, ciężkie opary snują się pod naszymi nogami. Nidia na pewno ciężko pracuje.

Stado niewątpliwie całkowicie się zabunkrowało, ukryło w zamraczającym kamuflażu mgły. Tamra prawdopodobnie też się do tego przyczynia.

Ogarnia mnie trwoga. Śmigłowce mimo korzystnej pozycji nie dojrzą osady. Co oznacza, że mogą wysłać jednostki naziemne, by dokładniej przeszukały teren.

Dudniący warkot nasila się, jest coraz bliżej.

Miram wybałusza oczy.

- Czy to helikoptery? Kiwam głową.

- Tak. Chodźmy. Musimy uciekać! - Chwytam ją za rękę.

- Dokąd idziemy?

- Jak najdalej od osady. - Biegnę, ciągnąc ją za sobą.

- Nie wypatrzą nas przez drzewa. I przez mgłę - marudzi.

- Jesteśmy niewidoczne.

Biegnę dalej, przyspieszam, nawet nie staram się jej tłumaczyć, że śmigłowcom na pewno towarzyszą łowcy w samochodach.

Wiem to. Przekonałam się o tym na własnej skórze.

-Jacinda, no, odezwij się wreszcie! - w jej głosie przebija panika. Tymczasem ja potrzebuję jej spokoju. Musi być wyciszona, opanowana i gotowa robić to, co jej każe.

- W porządku, Miram - mówię. - Po prostu nie zatrzymuj się.

- Nigdy nie byłam tak daleko od osady... Czy nie powinnyśmy iść w kierunku domu? Zamiast się oddalać?

-I zaprowadzić łowców prosto do stada? - Potrząsam głową. - Nie.

Więcej nie udaje mi się wytłumaczyć, bo zaraz słyszę inny dźwięk. Pracę silników. Daleki warkot narasta i zbliża się do nas. W moich płucach szaleje żar, ogień nadpala mi tchawicę.

-Jacinda! - wybucha Miram. Uwalnia rękę z mojego uścisku i zatrzymuje się, piorunując mnie wzrokiem i rozcierając nadgarstek. - Co się dzieje?

Krzyczy za głośno. Chwytam ją za ramiona i lekko nią potrząsam, by mnie dobrze zrozumiała.

- Posłuchaj, to nie jest jakiś przypadkowy samolot. - Nabieram powietrza. - To myśliwi. Są tu na górze i polują na nas.

Oczy na jej małej twarzy rozszerzają się do nienaturalnych rozmiarów, a ja uświadamiam sobie, jaka ona jest młoda. Tylko rok młodsza ode mnie, ale sprawia wrażenie dużo młodszej. To ja czuję się starsza.

Przyglądając się siostrze Cassiana, nagle zdaję sobie sprawę z tego, że nie mogę pozwolić na to, by coś jej się stało. Muszę ją chronić. Nie mam czasu na rozważania

dlaczego. Po prostu muszę to zrobić. Muszę tę smarkulę ocalić. Zadbać o jej bezpieczeństwo. Dla Cassiana.

- Posłuchaj - rozkazuję.

Chociaż wydaje się to niemożliwe, jej oczy jeszcze się powiększają, stają się wyrazistsze niż kiedykolwiek dotąd. A ja, niestety, wyczytuję w nich przerażenie.

To, co potem następuje, nie jest dla mnie zaskoczeniem. Źrenice Miram zwężają się w pionowe szparki, a tymczasem ona dygocze ze strachu.

- Przestań! - syczę, potrząsając nią. - Nie teraz.

- Nie potrafię - rzuca, a jej głos zmienia się w dudnienie za ściśniętymi zębami.

Dragońskie oczy Miram rozglądają się z trwogą wokół, patrzą wszędzie, byle nie na mnie. Jej skóra lśni, migocze neutralną barwą jak kawa zaprawiona mlekiem. Gdyby nie opalizujące lśnienie, wyglądałaby prawie tak samo jak ludzkie ciało.

Uświadamiam sobie, że jest już za późno. Zawładnął ją instynkt.

- Dobrze, w porządku - mówię ostro, wbijając palce w jej ramiona i potrząsając nią mocno, by znów na mnie popatrzyła. - Spójrz na mnie, Miram. Możesz stać się niewidzialna?

Zamiast odpowiedzi wydaje z siebie żalosny jęk.

- Cicho! - Wraz z narastającym w dali ponurym i niebezpiecznym odgłosem ogarnia mnie frustracja. Kotłuje się we mnie znajomy żar.

- Pod presją nie najlepiej mi to wychodzi - kwili. Przez chwilę mam ochotę sprawić jej lanie. Rozglądam się wokół, oceniam sytuację, nasłuchuję,

szacuję odległość, jaka dzieli nas od łowców. Dudnienie silników jest coraz bliżej. Rzucam okiem na drzewa i groźnie nakazuję:

- Rozbieraj się.

- C... co? - pyta już zupełnie po dragońsku.

- Zrzucaj ubranie. Ukryjemy się w koronach drzew - tłumaczę. Moja ludzka mowa zanika, przemieniając się w gardłowy pomruk wydawany przez pogrubiłe struny głosowe.

Puszczam Miram i zdzieram z siebie ubranie. Serce boleśnie ciąży mi w piersi. Znowu. Uciekam. Przed myśliwymi.

Po chwili bezruchu Miram niezdarnie się rozbiera i rozpościera skrzydła przejrzyste jak szkło poprzecinane strunami w kolorze kości. Bez reszty owładnięta strachem przemienia się bezmyślnie, bez zastanowienia. Rysy jej twarzy zmieniają się, wyostrzają i wydłużają.

Unoszę brodę i wciągam powietrze w spragnione płuca. Ludzka powłoka zanika w gorączkowym pośpiechu i zastępuje ją dragońska skóra.

Zwijam swoje ubrania razem z rzeczami Miram i wraz z plecakiem upycham je w dziupli, a potem drżącymi rękami pośpiesznie zarzucam je liśćmi i błotem. Toksyczny smak strachu sznuruje mi usta. Nie ma już sensu go zwalczać.

Odrzucając głowę do tyłu, wydaję z siebie cichy jęk, gdy spod łopatek uwalniają się moje skrzydła, bliźniacze, cienkie jak pajęczyna żagle trzepoczące w powietrzu. Odbijam się od ziemi. Jak do tego doszło? Miałam spotkać się z Willem - być teraz w jego objęciach. Jakim cudem wszystko się tak straszliwie poplątało? Gdzie jest Will? Czy on wie, co się dzieje? Jak mógł pozwolić, by jego krewni zapuścili się na tę górę? I to akurat dzisiaj?

Łapię Miram za rękę, wzbijam się w powietrze i chwytam wiatr. Czuję, jak długie pasma moich włosów unoszą się znad ramion, potargane niczym płomienna burza.

Siostra Cassiana nie opiera się. Słucha instynktu, który każe jej lecieć, uciekać. Szarpie ją za rękę, by powstrzymać ją od wzbicia się wyżej i poszybowania nad wierzchołkami drzew, w pole widzenia śmigłowców.

Nasze skrzydła furkoczą na wietrze, przedzierają się przez liście głośniej, niżbym chciała. Popycham Miram w koronę jednego z drzew i nurkuję wraz nią pomiędzy dżgające nas gałęzie.

Nasze spojrzenia spotykają się w gęstwinie sosnowych igieł i gałązek. Siostra Cassiana wpatruje się we mnie bez dotychczasowej wrogości. Oczy ma oszalałe ze strachu, a wąskie szparki jej źrenic panicznie drgają. Moje zapewne niewiele się od nich różnią.

Wspinam się wyżej i przechylam głowę, wytyczając słuch. Jeszcze zanim docierają tutaj, pod nasze drzewo, wyczuwam ich - i wiem, że będę musiała siedzieć tak cicho i nieruchomo, jak nigdy dotąd, w nadziei, że w ten sposób uchronię nas przed ich atakiem.

ROZDZIAŁ 17

Posuwają się przed siebie powoli, właściwie snują się po poszyciu leśnym niczym stopniowo rozlewająca się zaraza. Gdy armada rowerów crossowych, kolorowych ciężarówek i samochodów terenowych pojawia się w zasięgu naszego wzroku, uświadamiam sobie, dlaczego nie poruszają się szybciej.

Ogarnia mnie trwoga na widok szczególnej uwagi, jaką poświęcają drzewom. Akurat tu, gdzie się ukrywamy.

Ucisk ręki Miram na moim przedramieniu nasila się, jej szpony wrzynają mi się w ciało i wiem, że ona też rozumie, co się dzieje. Zwilżam wargi i pytam ją najciszej, jak tylko potrafię, czy może stać się niewidzialna. Chociaż mówię cicho, wzdrygam się na dźwięk gardłowego brzmienia własnego głosu.

Wiem, że Miram to umie. Jest znikającą dragonką. To jej naturalna zdolność. Ale czy potrafi zrobić to teraz? Kiedy najbardziej tego potrzebuje? Czy w tym napięciu da radę tego dokonać i utrzymać niewidzialność?

Przez chwilę gapi się na mnie. Mija wieczność, nim wreszcie nieprzekonująco kiwa głową. Głęboko zaczerpuje powietrza, jej ciało lśni, a potem na mych oczach gaśnie i znika.

Nadal czuję jej obecność i dłoń zaciśniętą na mej ręce. Wlepiam oczy w myśliwych daleko pod nami. Kilku z nich ma na twarzach sprzęt, który przypomina grube gogle. Wyteżam wzrok, zastanawiając się, co to jest. I w końcu rozumiem. Naoglądałam się dość szpiegowskich filmów.

- O nie - szepczę.

Czujniki podczerwieni. Biorąc pod uwagę fakt, że wykrywają ciepło ciała, w ich oczach będą płonąć jak pochodnia. Siostra Cassiana, chociaż niewidzialna, jest w takim samym niebezpieczeństwie.

Napięcie w ciele Miram wzrasta.

- Co się dzieje?

Nie mam czasu na wyjaśnienia. Jeden z łowców krzyczy, wskazując palcem:

- Tam! Na tym drzewie!

Strzał wyrzutni i sieć już świszczę w powietrzu. Trafili we mnie. Trafili w nas - bo Miram jest tuż obok.

Gałęzie są zbyt gęste. Sieć nie może się wokół nas porządnie zacisnąć. Ale beznadziejnie nas osacza, uniemożliwiając wzbicie się w przestworza. Miram wariuje, gorączkowo trzepocze skrzydłami, utrudniając wyplątanie się z sieci.

Miota się jak schwytyany ptak, skowyczy jak dzikie zwierzę.

Widzę blade przeblyski jej ciała, na przemian to pojawia się, to znów znika.

-Opanuj się - warczę - materializujesz się... mogą cię zobaczyć.

Tymczasem pod nami rozlegają się strategiczne komendy. Łowcy robią to, w czym są najlepsi. Co ćwiczyli przez całe życie. Polują na dragony. Czas się kurczy. Za parę sekund ściagną nas z drzewa.

Budzi się mój instynkt. Usta wypełnia mi smak węgla i popiołu. Z nozdrzy wydobywa się dym, toruje sobie drogę pomiędzy wargami. Żar w płucach wzbiera, paląc się do obrony.

Rozchylam usta i wypuszczam cienką wstęgę ognia, by przepalić sieć w pobliżu swej twarzy. Wystarcza, bym mogła złapać gorące, przypalone brzegi i rozerwać dziurę na tyle dużą, by się przez nią precyzyjnie przesuwać.

Połowicznie oswobodzona, odwracam się, by pociągnąć za sobą przeważnie niewidoczną Miram. Nadal pojawia się i znika, jak światełko, które zapala się i gaśnie.

I właśnie wtedy zostaję ugodzona. Harpun rani mnie w udo. Przeszywa mnie ból. Przykładam dłoń do rozerwanego, mokrego ciała.

Rozlegają się pośpieszne okrzyki, a ja spadam. Dokładnie tak, jak w koszmarach. Gwałtownie nurkuję ku ziemi. Razem z poplątaną siecią i Miram.

Łądujemy w bezładzie i oszołomieniu. Moje płuca łapczywie dyszą, walczą z kotłującym się w nich żarem. Powietrze wokół mnie jest rzadkie i kruche - lodowate w porównaniu z moim rozgrzanym wnętrzem.

Natychmiast nas otaczają poubierane na czarno postacie w goglach z podczerwienią. Wymierzają w nas broń. Głośno pokrzykują. A ja dostrzegam wśród nich twarz. Rysy, których nie zapomniabym nigdy, niezależnie od tego, jak bardzo chciałabym wymazać je z pamięci.

Wpatrując się w bezwzględną twarz Xandra, wiem, kim są ci łowcy. Zresztą i tak nie miałam wątpliwości. Zdaję

sobie sprawę, że Will musi być gdzieś niedaleko. Ale ta świadomość nie dodaje mi otuchy. To raczej rozpacz. Bo co może wskórać Will? Nie zdoła zrobić nic, by mi pomóc, nie narażając przy tym samego siebie i nie ujawniając, kim jestem.

Mimo to szukam go - tęsknię za jego widokiem. Chociaż nie powinnam.

Zjeżdża się coraz więcej samochodów. Hamują z piskiem, rozbryzgując błoto w gęstej mgle.

- Jacinda, co my zrobimy? Jacinda, co my zrobimy? - Miram gorączkowo szepcze mi do ucha. Jej panika jest wręcz namacalna jak powiew gorącego wiatru o gorzko-cierpkim smaku.

- Zamknij się, Miram - syczę grubym dragońskim narzeczem. W górze jak ciemne sępy krążą śmigłowce, zmieniając drzewa nad nami w rozszalały ocean. Moje włosy powiewają dziko wśród tańczących liści.

Jeden z myśliwych ściąga gogle, by mi się lepiej przyjrzeć. Podchodzi bliżej i dźga mnie ostrą lufą strzelby. Ze ściśniętej piersi wyrywa mi się pomruk, ponury i groźny. Nawet nie wiedziałam, że jestem zdolna do wydania z siebie takiego dźwięku. Łowca szturcha rozmazaną sylwetkę Miram obok mnie.

- Co, do licha... - jego głos cichnie, gdy inny myśliwy ofukuje go.

- Carl, odsuń się. Jeszcze nie wiemy, co tu mamy. Napastnik posłusznie się wycofuje.,

- Miram - błagam - pozostań niewidzialna. Skup się.

Nie odrywa ode mnie oczu, pionowe źrenice drżą, znikają i pojawiają się wraz z całą resztą. Jest jak falująca woda, pozornie bezkształtna, nieustannie się zmienia, przyplęwa i odpływa.

Z pojazdów wyskakują kolejni ludzie. Ponownie skupiam uwagę na tych mężczyznach o bezlitosnych twarzach, przeszukuję ich szeregi w poszukiwaniu jakiejś szansy, nadziei.

Ale Willa wśród nich nie ma. Pomimo ulgi, jaką odczuwam, zastanawiam się dlaczego. Dlaczego nie ma go tutaj? Gdzie on jest?

Rozpoznaję mężczyznę, który zamaszystym krokiem zbliża się na czele całej grupy. Ojciec Willa. Nawet w stroju myśliwskim sprawia wrażenie przystojnego i zadbanego. Czuję w sercu gorącą strużkę przerażenia, bo wiem, do czego jest zdolny.

Wygląda inaczej. To nie ten sam człowiek, który serdecznie witał mnie w swoich progach, myśląc, że jestem normalną dziewczyną.

Jego brutalnie zimne oczy oceniają mnie, postrzegają jak zwierzynę. Ofiarę. A ja widzę jego. W prawdziwym wcieleniu.

Prawdopodobnie nie będzie miał problemu z zamordowaniem mnie. - No, chłopaki, co my tutaj mamy?

- Dwa..., no właśnie, zastanawiamy się.

Rutledge przez chwilę badawczo się nam przygląda. Miram straciła panowanie nad sobą i wiem, że mówienie jej, by się wzięła w garść, nie ma sensu. Za bardzo się boi. Jest zbyt przerażona.

Przeczesuję gęstwinę lasu, każde uderzenie serca zdaje się rozsadać mi pierś. Wyostrzonym jak brzytwa wzrokiem skanuję jednego łowcę po drugim, spragniona widoku jednej jedynej twarzy. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi nadal mam nadzieję.

Will, gdzie jesteś?

Xander staje obok wuja i wskazuje na Miram.

- To jeden z tych niewidzialnych. - A potem patrzy na mnie. - Wiesz, co to za typ?

Rutledge nie odpowiada, tylko przygląda mi się w milczeniu.

Przechyla głowę, jakby wzrokiem przeprowadzał

sekcję mojego ciała. I chyba to robi. Mam kłopoty ze spojrzeniem mu w oczy - to ojciec Willa, człowiek, który szlachtował moich pobratymców i wprowadzał ich krew wżyłsyna. I dlatego jest potworem. Ale dzięki temu jego syn, którego kocham, żyje.

Oto poplątana rzeczywistość. Na myśl o tym nie mogę opędzić się od echa słów Cassiana, przekonującego mnie, że kiedyś to właśnie stanie między mną a Willem.

Rutledge wyciąga rękę i pstryka palcami, najwyraźniej podejmując decyzję. W jego dłoni nagle błyska metal. Jakiś rodzaj pistoletu. Nie wiem o tej broni nic poza tym, że rani.

Niszczy.

Celuje.

Miram dziko się miota, z przerażeniem obserwując to, co ja. Ale ja nie potrafię tylko patrzeć, skoro część mojego jestestwa stanowi broń.

Wzbiera we mnie zamierzona fala ognia.

-Przestań - warczę. Oni i tak nie rozumieją, co mówię. Odpycham Miram, by móc zrobić to, co konieczne. Po to się urodziłam.

Jesteśmy jednak uwięzione w sieci, a Miram nie przestanie się mnie kurczowo trzymać i cicho kwilić w dragońskim narzeczu.

Strząsam włosy z twarzy, rozchylam wargi i zionę.

Ogień przedziera się przez moją krtań. Tchawica tętni od rozszalałego żaru. Para z nozdrzy bucha tuż przed płomieniami z moich ust. Gorący potok z hukiem przeszywa powietrze. Łowcy krzyczą i uskakują przed wielkim ognistym ciosem.

Opada z nas spalona na popiół sieć. W ustach czuję posmak węgla i żaru. Łapię Miram za rękę i podnoszę ją z ziemi. Nie pomaga mi w tym, jest sparaliżowana strachem.

Zwracam twarz ku niebu, chcę jak najszybciej uciec ku wolności, w objęcia wiatru. Ale nie bez Miram.

- Wstawaj! - krzyczę - Chodź! Lecimy!

Zaczyna się niemrawo podnosić. Stawiam ją na nogi, gotowa wzbić się powietrze nawet wtedy, gdybym musiała ją nieść.

Odbijam się od ziemi i wtedy zostaję zraniona. W moim skrzydle eksploduje ból, cierpienie, które przeszywa całą tkankę i promieniuje. Pozory mylą: dragońskie skrzydła wyglądają jak miękka pajęczyna, tymczasem są naprawdę silne, poprzątkane niezliczonymi nerwami, a przez to tym bardziej wrażliwe.

Umieram z bólu.

Wijąc się w powietrzu, wyrywam mały harpun ze skrzydła i ciskam nim tak, że wbija się w miękką glebę.

Upadam i kulę się w katuszach.

Gdy uderzamy o ziemię, Miram odrywa się ode mnie i zatacza.

Ojciec Willa podchodzi bliżej z bronią wymierzoną we mnie.

Oczy ma zimne. Niczego nie czuje.

Świst i znowu zostaję trafiona. W udo. Tym razem mniej boli, to nie harpun. Zerkam w dół i dostrzegam strzałkę tkwiącą w moim ognistoczerwonym ciele. Wyrywam ją i oglądam. Zawiera ampułkę. Pojemnik, który teraz jest pusty.

Powietrze rozdziera drugi świst. Śledzę go wzrokiem i widzę, jak pocisk z głuchym impetem wbija się w ciało Miram. Moja towarzyszka krzyczy. W jej głosie słychać zdumienie i szok, jakby nigdy przedtem nie doświadczyła fizycznego bólu.

Ja jednak wiem, że to więcej niż ból. To przerażenie, strach przed byciem potraktowaną jak bezwartościowe zwierzę. Jak coś, co się ściga, łapie i w końcu zabija.

Wlekę się ku niej. Przytula się do mnie, jej łzy spływają na moje ramię, chłodzą je i wyparowują w zetknięciu z rozpaloną skórą. Krzyczę na myśliwych, chociaż wiem, że przez dziwny, dudniący ton mojego ryku tym bardziej kojarzę się im ze zwierzęciem. Z bestią, którą trzeba unicestwić. Kulę się, zamieram, czując na sobie ich zimne, apatyczne spojrzenia.

Po chwili kontury wokół się zacierają. Oblewa mnie ciepła fala zamroczenia. I już się niczym nie przejmuję. Czuję przyjemne rozluźnienie i mrowienie.

Łowcy rozmazują się i przemieniają w tańczące smugi czerni. W uszach mi huczy, ale nie na tyle głośno, bym nie słyszała szłochu Miram. Słyszę go. Zawsze będę go słyszeć.

Ściskam jej dłoń, albo przynajmniej próbuję. Moje mięśnie są tak zmęczone, słabe i niezdarne, że chyba udaje mi się tylko przykryć jej palce moimi. A potem już jej obok mnie nie ma. Zabierają ją, odrywają ode mnie. Wyciągam za nią rękę, ale poruszam się zbyt wolno. Miram drze szponami ziemię, pozostawia w niej głębokie wyłobienia. Jej krzyk się oddala, ale wciąż niesie się w powietrzu jak cichnący wiatr.

- Dokąd ją zabieracie? - krzyczę gardłowo, po dragońsku. -

Miram, Miram!

Wtedy z tymi swoimi zachłannymi łapami przychodzą po mnie.

-Uważajcie, żeby to was nie poparzyło - instruuje jeden z myśliwych.

Otoczają mnie niewyraźne sylwetki. Staram się zwalczyć uczucie otumanienia, które sprawia, że mam ochotę zwinąć się w kłębek i zasnąć z uśmiechem na ustach.

W ostatnim zrywie do ucieczki podnoszę się na kolana... byle dalej stąd. Chcę zatrzepotać skrzydłami i wzlecieć ku niebu. Ale z gardła wyrywa mi się skowyt i padam twarzą prosto w piach. Daremny trud. Ostry ból rozdziera membrany mojego skrzydła, wnika głęboko w mięśnie.

Po plecach spływa gorąca krew i zbiera się u podstawy kręgosłupa. Czuję jej łaskotanie i przenikliwą woń.

Spuszczam głowę. Otacza mnie ognista kotara własnych włosów. Dostrzegam jasny połysk mojej krwi, migoczącą purpurę, która kapie na ziemię jak rozlany atrament.

Nadal usiłuję zwalczyć paraliżujący letarg. Gdy próbuję się podnieść, ręce mi się trzęsą. Moje ciało jest takie ciężkie. Jak ołów.

Co było w tamtej ampulce?

Pulsuje we mnie rozpaczliwa wściekłość, złość bulgocze w moich żyłach. Chcę się uwolnić, spalić ich wszystkich, ukarać ich za to, co mi robią - za wszystko, co planują. Okropieństwa, których nigdy nam dokładnie nie opowiadano. Nikt nam w szkole nie wyjaśniał, co naprawdę się dzieje, gdy schwyta nas jakiś łowca i wyda nas enkronom. Ale ja wiem. Widziałam gabinet ojca Willa - meble powleczone dragońską skórą.

Otwieram usta i wypuszczam kolejny kłęb żaru - moją ostatnią nadzieję. Spomiędzy moich warg wydobywa się cieniutka wstęga ognia. Tym razem płomienny podmuch gaśnie niemalże w tym samym momencie, gdy zostaje wypuszczony. I umiera w smudze dymu.

- Will - chrypię. Powieki mam tak ciężkie, że już nie mogę ich unieść.

Ze wszystkich stron chwytają mnie bezwzględne ręce. Podnoszą mnie. Odwracam głowę i próbuję zionąć ogniem, by ich poparzyć. Ale wykrztuszam tylko słabą strugę pary.

Co oni mi zrobili?

Wiążą mi ręce, ściskają nadgarstki, tamując dopływ krwi. Nawet półprzytomna odczuwam ten nowy ból. Przewracają mnie na brzuch, z rozstawionymi nogami. Znowu jestem tylko zwierzyną, bestią. Gardło rozdziera mi skowyt, gdy ciasno związują moje skrzydła, uniemożliwiając wszelkie ruchy i zapobiegając odfrunięciu.

Podrzucają mną w powietrzu i uderzam o twardą, gładką powierzchnię. Odczuwam na moim rozpalonym ciele jej chłód. To już nie błoto.

Trzask drzwi. Jestem na tyłach samochodu, vana. Rusza z miejsca, podskakuje na wertepach, korzeniach, przedziera się przez chaszczę. Zabiera mnie daleko od stada. Daleko od domu. Już nie jestem w stanie walczyć. Zmęczone powieki opadają, zamykam oczy. Nawet przy tej całej niewygodzie, z pulsującym w skrzydle bólem, który promieniuje aż do łopatek, nie potrafię oprzeć się usypiającemu działaniu narkotyku. Wtulam policzek w zimny metal podłogi i zapadam w sen.

ROZDZIAŁ 18

Gdy się budzę, wita mnie ból.

Kilka razy powoli mrugam, zanim udaje mi się na dobre otworzyć oczy. Udreka w mojej głowie rywalizuje z intensywnym bólem pulsującym w innych częściach mojego pobitego i poranionego ciała. I muszę ponownie na kilka chwil zamknąć oczy, zanim znów je otworzę.

Skrzydła dygoczą. Próbuję poruszyć cienkimi jak pajęczyna membranami, ból jest nie do zniesienia, promieniuje na całą ich powierzchnię. Zapomniałam, że je spętano. Zwijam się w mały kłębek i jęczę.

Po chwili, nabrawszy kilka głębokich wdechów, unoszę głowę i odrywam policzek od zimnej metalowej podłogi vana. Potrząsam głową, zastanawiając się, czy nie śpię i czy to nie jest tylko jakiś koszmarny sen.

Obok słyszę kwilenie. Odwracam się i dostrzegam Miram przyciśniętą do przeciwległej ściany samochodu. Z trudem się podnoszę. Na jej widok cieszę się tak bardzo, że ból przez chwilę nie ma znaczenia. Przynajmniej jesteśmy w tym metalowym pudle razem.

- Miram - szepczę z ulgą, przemieszczając się w jej stronę.

Oczywiście jest widzialna. Nie odrywa ode mnie oczu.
Zwilżam wargi.

-Co...

- Co się stało? - Miram kończy za mnie. - Ty - mówi. - Zawsze ty. To raczej nic dziwnego, że spotkał cię taki los, ale nie mogę uwierzyć, że też tu wylądowałam. Ze mnie w to wciągnęłaś...

-Wyrwiemy się im - obiecuję. To wszystko, co potrafię powiedzieć. Wszystko, w co wierzę.

- Taaa - prycha. Krawędzie jej nosa pulsują irytacją. - A jak zamierzasz tego dokonać?

-Już raz im uciekłam.

- Aha. - Brutalnie kiwa głową, piaskowobrazowe włosy śmigają wokół twarzy o tym samym niemal kolorze. -Jak? Jak to zrobimy? Jak wtedy im uciekłaś?

Will. Will był moją ucieczką. Ale jego tu nie ma. Teraz muszę wymyślić coś sama. Dla nas obu.

Ciszę wypełnia upiornie bezbarwny głos Miram.

-Wiożą nas do enkronów. Właściwie już jesteśmy martwe.

- Nie bądź taka pewna - szepczę, sprawdzając zębami plastikowe więzy na nadgarstkach. Bezskutecznie.

- Och, Jacindo, spójrz prawdzie w oczy. Dokąd poza tym mogliby nas zabierać? Żywcem. Nie zabili nas. Najwyraźniej mają swoje powody. Pozostawili nas przy życiu z jakiegoś powodu. Dla... nich - dla potworów z dziecięcych koszmarów.

Oblewa mnie fala gorąca. Miram ma rację. Oczywiście, wiem o tym. Z tego żyją łowcy. Zbijają kasę na sprzedaży dragonów. Nie sposób temu zaprzeczyć.

-Jak długo byłam nieprzytomna? - pytam, skupiając uwagę na naszym otoczeniu i na tym, co mogę ogarnąć. Oceniam nasze położenie, by wymyślić jakiś plan.

Ale mało co widać. Poza małym okienkiem wysoko na tylnej ścianie vana. Nie zda się na wiele. Wpuszcza tylko trochę światła, ale tędy na pewno nie uciekniemy.

- Nie wiem. Ja obudziłam się parę godzin temu.

- Wkrótce będą musieli się gdzieś zatrzymać - mówię raczej do siebie samej niż do Miram.

- No, dobrze, zatrzymają się. I co z tego? Te drzwi się nie otworzą, dopóki nie dotrzemy na miejsce. A wtedy... - milknę. Krzywię się, powoli wypuszczam powietrze, starając się zapanować nad niemiłosiernym bólem w spętanych skrzydłach.

- Nie zamierzam się poddawać. Mam ogień, a ty możesz stać się niewidzialna. - Jeśli tylko skupi się na swych zdolnościach i nie da się ponieść przerażeniu. - Nie ma szans, żeby ktoś nas ujarzmił.

- Ale im się udało. - Miram unosi delikatną brew o tak samo nieokreślonym kolorze jak reszta jej ciała. Patrzy na mnie gniewnie, a nozdrza jej drżą szarpane nerwowym oddechem. - No, geniuszu, jak się stąd wyrwiemy?

Will. Myśl o nim powraca, ale nie wypowiadam jej na głos. Nie mam odwagi. Dlaczego miałabym zasiewać to ziarenko nadziei? Nawet we własnym sercu. Nie wiem, gdzie on jest, dlaczego nie przyszedł na nasze spotkanie. Na razie muszę polegać wyłącznie na sobie.

Potrząsam głową. A mimo to nie potrafię powstrzymać myśli o nim. On na pewno już wie. Wiadomość o schwytaniu ognioziejki musiała tymczasem do niego dotrzeć.

I jedynie to pozwala mi zachować spokój, gdy na łeb na szyję spadamy w mroczną otchłań moich koszmarów, a każde szarpnięcie vana przeszywa mnie dreszczem.

** *

Nie robią postojów dla nas. Nie po to, by nas nakarmić albo pozwolić skorzystać z toalety. Zresztą niby dlaczego mieliby zdobywać się na tak banalną uprzejmość? Dla nich jesteśmy przecież zwyczajną zwierzyną.

W vanie jest gorąco i duszno. Szczelne metalowe pudło, które dudniąc, beznamiętnie toczy się przed siebie.

Obie z Miram leżymy na boku i smażymy się na rozgrzanej stalowej podłodze niczym dwie ryby wyłowione z morza i rozpaczliwe spragnione powrotu do wody. Dawno już przestałyśmy ze sobą rozmawiać, zbyt udęczone **Z** powodu związanych rąk i spętanych skrzydeł.

Przy każdym najmniejszym ruchu paraliżuje mnie straszliwy ból. Bez przerwy zwilżam językiem popękane wargi, walczę z suchością w ustach. Zar we mnie znacznie przygasł. Wnętrznosci usychają, rozpaczliwie domagając się wody.

Nie poddaję się jednak. Oszczędzam siły i czekam, aż otworzą się drzwi vana, abym mogła wypuścić z siebie falę ognia.

Wmawiam to sobie. Ale znacznie trudniej jest mi uwierzyć, że zdołam wykrzesać z siebie wystarczająco dużo płomieni.

Skrzydeł już nie czuję. Staram się nie myśleć o tym, co to oznacza. Z pewnością nic dobrego. Leżę na boku z przyciśniętymi do piersi rękami, które pieką i mrowią od bólu. Samochód zwalnia. Gdy skręca, przesuwam się trochę po podłodze.

Zatrzymujemy się. Nie stać mnie nawet na dreszczyk emocji. Już wcześniej robiliśmy postoje, ale nikt nie otwierał drzwi, by sprawdzić, co z nami. Po prostu tan-

kowali, załatwiali swoje potrzeby i pozwalali, byśmy się dalej prażyły w tej puszcze.

Więc i tym razem drzwi nie muszą się otworzyć. A jednak...

Podnoszę głowę i szepczę imię Miram tylko po to, by się upewnić, że nie śpi. Moje wołanie przypomina żabi rechot.

Miram nie odpowiada. Nawet nie drgnie. Podsuwam się bliżej i trącam stopą jej nogę.

- Miram!

Jęczy i mozolnie otwiera oczy. -Co?

- Stoimy.

- I co z tego? - chrypi.

Przechylam głowę, słuchając, jak drzwi kierowcy i pasażera otwierają się i zatraskują. Nie można rozróżnić słów.

Miram z trudem siada, podpierając się przy tym związanymi rękami.

- Myślisz, że dotarliśmy na miejsce? - pyta tak apatycznie, że nie jestem pewna, czyby się tym przejęła, gdyby tak rzeczywiście było.

Kręcę głową. Każdy z moich obolałych mięśni jest napięty i drży w pogotowiu. Wyteżam słuch, śledząc odgłos ich kroków, zgrzyt żwiru pod ich stopami. Okrążają samochód. Jeden z nich się śmieje - coraz ciszej. Odchodzą, zostawiają vana. Zostawiają nas. Po chwili znów wypuszczam z płuc powietrze, nie zdając sobie sprawy, że wcześniej wstrzymywałam oddech.

- Poszli sobie - szepczę, a potem uświadamiam sobie, że nie ma sensu zniżyć głosu, więc powtarzam to głośniej:

- Poszli sobie.

- Pewnie paść te swoje tłuste mordy - mamrocze.

- Mogłabym zabić za coś do jedzenia.

Wzdycha i sadowi się wygodniej. Patrzę na nią. Badawczo się jej przyglądam. Z natury drobna, sprawia wrażenie wycieńczonej, ma zapadnięte policzki, chrapliwie dyszy. Jej pierś mocno faluje, walczy o każdy oddech. Może czas spędzony na pustyni zahartował mnie? Bezlitosny upał. Niewygoda. Cierpienie. Znoszę to, tymczasem Miram ledwie daje radę, mimo że nawet nie odniosła ran.

Muszę ją stąd wydostać. I to szybko. W przeciwnym razie łowcy dotrą do celu z martwą dragonką.

Nagle przy drzwiach rozlega się ostry dźwięk. Jednym susem siadam w kucki, a przyływ adrenaliny wycisza ból. Coś drapie o stal. Szczęk metalu sprawia, że jeżą mi się drobniutkie włosy na karku. Świdruję wzrokiem drzwi. Głęboko oddycham, przygotowuję się, zbieram się w sobie i kumuluję żar.

Jestem osłabiona i przesuszona, więc wysiłek mnie wyczerpuje, przyprawia o mdłości i dreszcze. Choć nie w pełni sił, to jednak powinno wystarczyć. Będę mieć tylko jedną szansę. Muszę być przygotowana, niezależnie od tego, kto te drzwi otworzy.

- Miram - mówię, pragnąc, by się pozbierała, przybrała niewidzialną postać i wytrzymała w tym stanie. - Szykuj się. Delikatnie kiwa głową.

Z mojego nosa dobywa się kręta smuga dymu.

Rozchyłam usta i wpatruję się w drzwi z takim natężeniem, że zaczynają mnie boleć oczy. Głuchy szczęk, potem świst, aż wreszcie drzwi się otwierają. W wypełnionej żarem piersi zamiera mi serce. Gorące promienie południowego słońca wlewają się do środka i natychmiast mnie oślepiają. Nie przejmuję się tym jednak, nie potrafię się opanować - i zaprzepaszczam swą szansę.

Sięgam w płuca głęboko i odnajduję żar tam, gdzie obawiałam się, że już nic nie ma. Ogień przedziera się przez krtań i uwalnia się w potoku płomieni. Wystarczy.

Postać, której kontury widziałam, osuwa się z krzykiem na ziemię.

Wyskakuję z vana i udaje mi się utrzymać równowagę na niepewnych nogach, co jest szczególnie trudne, gdy mam związane ręce i skrzydła.

Schylam się w poszukiwaniu broni w kieszeniach myśliwego, czegoś, czym mogłabym przeciąć krępujące mnie więzy. I zamieram.

To nie jest żaden z tych kilkunastu ubranych na czarno zbirów o zimnych oczach, którzy związali mnie niczym gęś przeznaczoną na świąteczny stół i wrzucili na tył samochodu. To Will.

Z głębi mego gardła dobiega ostry, zduszony dźwięk. Chrypię jego imię, mimo że Will i tak nie zrozumie go w tym dragońskim brzmieniu.

Ale nie musi rozumieć. On wie. Jest tu ze względu na mnie.

Tylko to się liczy. I to, że go nie spaliłam.

Podnosi się z ziemi, przesuwając dłońmi po mych drżących ramionach, jakby sprawdzając, że nie jestem zjawą. Ze to naprawdę ja.

- Jacinda!

Czuję przyływ ulgi. Poziom adrenaliny spada, ustępując miejsca bólowi i osłabieniu, które miażdżą mnie w swych twardych, bezlitosnych szponach. Poddaję się im, osuwam się w ramiona Willa - pozwalając, by mnie ocalił, ochronił przed swoimi krewnymi i przed cierpieniem, które krzyczy każdą cząstką mej istoty.

Will ostrożnie otacza mnie ramieniem, zerka na moje spętane skrzydła. Czuję, jak wzdryga się na widok tego, co tam dostrzega.

Emanuje niepokojem, który podkreśla każdy jego ruch, gdy mnie dotyka, usiłując odprowadzić mnie jak najdalej od vana.

Ruchliwe oczy Willa rozglądają się bacznie, ogarniają w większości pusty parking dla ciężarówek.

Zatrzymuję się, zaglądam do wnętrza samochodu.

- Miram - mówię ponagląjącym tonem. - Chodźmy. Waha się, przyczajona w cieniu, gdzie nie sięga światło słoneczne, gwałtownie kręci głową.

- Miram! - powtarzam jak rodzic karcący nieposłuszne dziecko. Jeszcze silniej potrząsa głową z oczami utkwionymi w Willa.

- Z nim nie pójdę.

- Nie bądź głupia. On chce nam pomóc...

- A co, jeśli to pułapka? Co, jeśli on tylko cię zwodzi, żebyś poszła z nim potulnie jak baranek na rzeź?

- Czy ty wiesz, jak żałośnie brzmisz? Po co byłby im ten teatr?

Już i tak jesteśmy w ich rękach. - Podchodzę do drzwi vana i patrzę na nią błagalnym wzrokiem. Ona jednak nadal kręci głową, skurczona wtula się w tylną ścianę, jakbym to ja była zagrożeniem. - Wolisz ryzykować, pozostając w tym samochodzie, niż pójść z nami?

Will chwyta mnie za rękę.

- Jacindo! Oni lada sekundę tu wrócą. To nasza jedyna szansa!

- Miram, proszę - błagam. - Zaufaj mi. Gwałtownym ruchem brody wskazuje Willa.

- Nie ufam mu - mówi. - Ani tobie - kończy, piorunując mnie wzrokiem.

Gniew rozpala mi krew w żyłach. Ona nie ufa mnie! Przecież to ona mnie szpiegowała!

Głos Willa staje się bardziej stanowczy, jego palce na moim przedramieniu zaciskają się, już nie są tak delikatne. - Jacindo! Oni tu idą!

Ruszam z miejsca. Z trudem odchodzę i pozostawiam ją. Ale w serce wrzyna mi się piętno jej rozszerzonych, oszalałych oczu.

ROZDZIAŁ 19

Will ciągnie mnie przez parking. Dziwne uczucie. Bieg w pełnym dragońskim wcieleniu przy świetle dnia w świecie ludzi. Dziwny, zakazany owoc. Każdy może mnie zobaczyć.

Nie mam jednak wyboru.

Mogę albo zostać w vanie jak więzień czekający na egzekucję, albo zaryzykować piętnastosekundową ucieczkę w pobliskie lasy. Dla mnie wybór jest oczywisty. Dlaczego Miram nie zdołała tego pojąć?

Nurkuję wraz Willem w gęstwinę drzew okalających parking. W jednej chwili popękany asfalt pali moje stopy, a już w następnej czuję pod nimi miękkie, pełne szeptów poszycie leśne.

Budzi się we mnie duszące poczucie smutku. Zerkam przez ramię, jakbym przez ścianę listowia mogła dojrzeć vana.

Zostawiłam Miram. Zawiodłam ją. Zawiodłam Cassiana.

Mrugam piekącymi powiekami i wmawiam sobie, że to reakcja na nagłe zetknięcie ze światłem słonecznym. Ciało rozdziera mi bezgraniczny, niepojęty ból. Ale nie żal z powodu dziewczyny, którą opuściłam, i tego, co się z nią stanie.

Land rover stoi niedaleko. Will pomaga mi do niego wsiąść. Sadowię się na fotelu pasażera, pamiętając o tym, by się nie opierać, bo z ciasno związanymi skrzydłami byłoby to niemożliwe.

W dłoni Willa błyska nóż. Rozcina mi więzy na rękach. Oddycham z ulgą, ale nie trwa ona długo, bo gaśnie, gdy tylko odzyskuję czucie w dłoniach, a wraz z nim dopada mnie piekący ból. Jęczę. Opuszczam głowę.

Will wręcza mi butelkę wody i zabiera się do oglądania moich pleców, delikatnie opierając palce na mych nagich ramionach. Piję łapczywie, głośno, woda spływa mi po brodzie i szyi. Pomiedzy haustami słyszę jego głośny oddech, gdy przecina więzy na skrzydłach.

-Jesteś ranna.

Po tych słowach pada z jego ust przekleństwo nabrzmiałe gniewem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. I jeszcze czymś innym. Żalem? Poczuciem winy?

- Przestrzelili mi skrzydło - z krtani wydobywają mi się dudniące dźwięki. Słyszając je, przypominam sobie, że Will ich nie rozumie. Przez chwilę milczy, a potem mówi szybko, jakby przypominając sobie o otaczającym nas zewsząd niebezpieczeństwie:

- Nie wygląda to źle. - Wystarczy cicha ochrypłość w jego głosie i już wiem, że kłamie. Jest źle.

Jeszcze jedno cięcie i moje skrzydła nareszcie są wolne. Znowu oblewa mnie ten nieziemski ból. Palące gorąco wraz ze świeżą krwią, która powraca do zmaltretowanych kończyn. Uczucie to sprawia, że robi mi się ciemno przed oczami i kręci mi się w głowie. Usta rozdziera mi cichy okrzyk.

Ten ból jest gorszy niż tamtym razem, gdy łowcy zranili mnie w trakcie pościgu. Bardzo mnie bolało, ale wy-

zdrowiałam. Mama opatrzyła ranę... Mama. Czy wyszła ze swojego pokoju? Czy w ogóle zauważyła, że zniknęłam? Nie będą na nią czekać żadne listy.

Zatroskane oczy Willa przesuwają się po mnie, a potem po otaczającej nas gęstwinie drzew.

-Musimy jechać... Jacindo, czy możesz się przemienić?

Prosi, bym przybrała ludzką postać. Kiwam głową. Strach już minął, nic więc już nie zmusza mnie do pozostania w dragońskim wcieleniu. Teraz jest tylko ból... i jeszcze więcej bólu, gdy na siłę staram się zwinąć i schować skrzydła. Zwłaszcza to ranne. Ale nie mam wyboru. Will nie może stąd wyjechać z dragon-ką na przednim siedzeniu.

Głęboko przełykam ślinę, a palce śliskie od krwi kurczowo zaciskam na krawędzi deski rozdzielczej. Grzebię dragonkę, wchłaniam ją, zamykam w ukryciu.

Rysy mojej twarzy rozluźniają się, kości kurczą. Skrzydła drżą, dygoczą z powodu zadanego im niedawno cierpienia. Jedno z nich z łatwością chowa się pomiędzy łopatkami. Drugie żyje własnym życiem, trzepocze, opiera się przemianie... Boli. Po policzkach płyną mi parujące strugi łez. Pochyliłam głowę, zduszam w sobie krzyk kotłujący się w krtani.

W końcu udaje mi się całkowicie przemienić. Oddycham, odklejam się od deski rozdzielczej i nareszcie opadam na oparcie fotela.

Will okrywa mnie kocem. Mimo że przez całą dobę byłam uwięziona w gorącym, dusznym vanie, opatulam się szorstką tkaniną, ciesząc się jej ciepłem. - Wszystko w porządku, Jacindo? Usiłuję opanować dreszcze, ale im silniej się im opieram, tym mocniej mną wstrząsają.

- Po prostu zabierz mnie stąd - moje słowa brzmią ochryple, nienaturalnie.

Skinąwszy raz głową, błyskawicznie okrąża samochód i wsiada. Po chwili wyjeżdżamy z gęstego lasu na jakąś wąską szosę prowadzącą gdzieś, gdziekolwiek, byle dalej stąd. Tylko to się liczy, reszta nie ma znaczenia.

Osuwam się na fotelu, wyciągam rękę i gładzę ciepłą od słońca szybę okna. Opuszki moich palców piszczą, przesuwając się po gładkiej powierzchni. *Miram.*

- Gdzie byłeś? - wyduszam z siebie ochryłym głosem.

- Nie mogłem przyjechać. Ni z tego, ni z owego, tato zarządził polowanie. Od czasu gdy cię pierwszy raz namierzyliśmy, ma obsesję na punkcie tego rewiru. Przydzielił mnie do grupy, którą wysłał na przeciwległe zbocze góry. Miałem nadzieję, że jeżeli się nie pokażę, to po prostu wrócisz do domu. Nie sądziłem, że podejda tak blisko stada. Boże, Jacindo, tak mi przykro.

Tępo kiwam głową.

- Nie wiedziałeś.

Głośno wzdycha, a ja wiem, że moje słowa nie łagodzą jego poczucia winy. Gdybym tylko mogła powiedzieć więcej, by się lepiej poczuł, zrobiłabym to. Ale sama za bardzo cierpię.

Podciągam nogi i otaczam ramionami kolana. Myślę o towarzysze, którą tam pozostawiłam. O minie Cassia-na, gdy się o tym dowie.

- Nie mogłaś jej pomóc - mówi Will, czytając w moich myślach. - Inaczej nie zdołałabyś uciec.

- Powinnaś była ją zmusić.

- I urządzić scenę? Sama ledwie szłaś. Właściwie musiałem cię nieść.

To jednak marna pociecha. Unoszę głowę, delektując się chłodnym powietrzem z klimatyzacji.

- Teraz odpoczywaj, Jacindo. Jesteś bezpieczna.

Bezpieczna. To słowo kołacze mi się po głowie, aż zaczyna mi się w niej kręcić i muszę zamknąć oczy. Powieki, niewymownie ciężkie, opadają. W ciemności rozbłyska feeria kolorów, ale i tak wolę to, niż oglądać rzeczywisty świat.

Gdzieś pomiędzy myślami o Miram, bezpieczeństwie i dręczącym mnie bólu zapadam w sen.

Budzę się w jakimś zaciemnionym pomieszczeniu. Wątle pomarańczowe światło rozjaśnia jedną ze ścian. Siadam, krzywiąc się pod wpływem bólu w plecach. Wraz z nim powraca rzeczywistość.

- Will?

-Jestem tutaj.

Podążam za brzmieniem jego głosu i wreszcie go dostrzegam.

Ciemna sylwetka podnosi się z fotela w kącie.

- Gdzie jesteśmy?

- W motelu. Nic nam nie grozi.

Ostrożnie siadam w wygodniejszej pozycji, przygryzam wargę, walczą z bólem w plecach. Mimo wszystko to nic w porównaniu z tym, co czułam przedtem. Teraz przynajmniej mogę się ruszać bez przemożnej potrzeby krzyku.

-Jak tu trafiliśmy?

- Byłaś wycieńczona. Potrzebowałaś snu. W prawdziwym łóżku. Jedzenia, picia...

Na myśl o jedzeniu burczy mi w brzuchu.

- Udało mi się trochę cię nakarmić, zanim całkiem odpłynęłaś - dodaje. - Pamiętasz? Zanim się położyłaś, zjadłaś burrito i wypijałaś wodę sodową. Od tamtego czasu ani drgnęłaś. Nawet wtedy, gdy oczyszczałem i opatrywałem ci plecy. Tak bardzo się martwiłem.

Kręcę głową.

- Nic nie pamiętam.

- Dużo przeszłaś.

Niemo przytakuję. Sen był chyba sposobem na regenerację.

-Jak długo spałam?

-Jakieś osiem, dziesięć godzin.

Każde ściętno w moim ciele się napina.

- Dziesięć? Która godzina?

- Mniej więcej pierwsza w nocy.

W gardle czuję grubą kluchę. Miram musi być teraz daleko stąd. Nie miała możliwości skorzystać z takich luksusów jak łóżko czy żywność. Energicznie spuszczam nogi z łóżka, pochłonięta myślami o odnalezieniu jej. Uratowaniu jej. *Jak ja mogłam ją zostawić?*

- Hola, hola! - Will siada na łóżku obok mnie. Kładzie mi ciepłą dłoń na ramieniu. To dotyk, który pamiętam. Dotyk, któremu chcę się poddać, chłonąć go i zapomnieć o reszcie świata. - Dokąd idziesz?

- Po Miram. - A gdzieżby indziej? Gdy prześcieradło zsuwa się z mych nagich nóg, oblewa mnie fala chłodu. Spoglądam w dół i widzę, że mam na sobie tylko białą koszulkę, która musi należeć do Willa.

- Pomogłem ci się w to ubrać - wyjaśnia z lekkim rumieńcem na twarzy.

- Dzięki - mamroczę, przypominając sobie, że niewiele miałam na sobie, gdy zasypiałam w fotelu pasażera. Tylko tamten drapiący koc. Pod wpływem nagłego przyływu świadomości miętoszę w palcach rąbek koszulki. No i proszę. Oto jestem z Willem w pokoju motelowym, ale to sam na sam wcale mnie nie cieszy. Nie po tym wszystkim, co się stało.

- Miram to twoja przyjaciółka? - pyta cicho, cierpliwie.

Wzdycham.

- Coś w tym stylu.

Patrzy na mnie intensywnie, czas między nami się wlecze.

- Przykro mi, Jacindo. Już po niej. Teraz nie można jej pomóc.

- Nie! - Zamaszyście kręcę głową, pasmo włosów wpada mi przy tym do ust. Odgarniam je. - To moja wina, że tam była...

- Jak to mogła być twoja wina, skoro Miram nie chciała iść z nami? Nie mogłaś nic zrobić.

Ignoruję tę logikę, myślę tylko o reakcji Cassiana na wieść, że jego siostra przepadła.

- Ty możesz coś zdziałać! Jesteś jednym z nich... Will wzdryga się, ale ja się tym nie przejmuję. Nagle nie przyprawia mnie to o skurcz żołądka. Nie mam poczucia winy, że kocham jednego z tych potworów, które potrafią na mnie polować, wrzucić na tyły vana, spętać mi ręce i skrzydła, a potem sprzedać mnie w kawałkach. W tej sytuacji jego status powinien być pomocny.

- Nie, Jacindo. Jest za późno. Już dostarczyli ją na miejsce... Dostarczyli. Jakby była towarem, martwym przedmiotem. Pakunkiem. Coś w moim wnętrzu usycha i odpycha mnie od Willa.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mi nie pomożesz? - pytam stanowczym tonem.

Klimatyzator obok szerokiego zasłoniętego okna włącza się, zalewając mały pokój głośnym szumem. Owiewa mnie fala chłodnego powietrza, ale nawet to nie koi mej rozpalonej skóry ani skołatanych nerwów.

W mroku rysy jego twarzy są pełne napięcia i udręki, bo nie może obiecać mi tego, co tak rozpaczliwie chcę usłyszeć.

- Nie mogę - powtarza. - Ona jest teraz w bazie. Stamtąd nie ma ucieczki.

Stamtąd nie ma ucieczki. Czy to znaczy, że tam przetrzymują schwytane dragony? Jak więźniów? Nie zabijają ich od razu? Ożywa wspomnienie mego ojca. Wkrada się w potok moich myśli. Głowę wypełnia mi widok jego roześmianych oczu, przystojnej twarzy, mimo że już ich tak dokładnie nie pamiętam. Czasami leżąc w łóżku późną nocą, włączam światło i sięgam po jego fotografię, coś realnego, coś namacalnego. Dowód, że tato naprawdę istniał, że pamiętam i nadal go widzę, że nigdy nie zapomnę tych wszystkich wspaniałych rzeczy, których mnie nauczył. Ze nigdy nie zapomnę jego. Ani jego miłości.

Teraz bez problemu przywołuję w pamięci rysy jego twarzy, ale odsuwam to wspomnienie na bok. Po tych wszystkich latach nie mam odwagi pozwolić sobie na nadzieję na coś tak nieprawdopodobnego, tak niemożliwego: myśl, że ojciec żyje.

- Więc Miram żyje? Chodzi ci o to, że jej nie zabili, tak? - Patrzę mu głęboko w oczy, których kolor ginie w ciemności.

Na jego twarzy pojawia się grymas, jakby żałował, że to potwierdza.

- Tak - potwierdza, głośno wzdychając. - Pozostanie przy życiu.

Jeśli tak to można nazwać. Nie sądzę, by widzieli dotychczas zbyt wiele dragonów, które potrafią stawać się niewidzialne. Zaledwie kilka. Będą poddawać ją testom... pobierać próbki. Będzie żyła.

W każdym razie przez jakiś czas.

Na te słowa czuję lekkie mdłości, ale zarazem ulgę. Umyślnie staram się powstrzymać wyobrażenia o tym, co robiliby ze mną.

Wiem od Willa, że nawet nie wierzyli, że

ogniozieje nie wymarły. Teraz przekonali się, że istnieją. Ze ja istnieję.

Od Willa dowiaduję się o enkronach więcej, niż dotychczas wiedziałam. I to daje mi nadzieję na uratowanie Miram.

-Jest więc jakaś szansa... - Na te słowa zaczyna kręcić głową, ale mu przerywam. - Jest szansa. - Uważnie się w niego wpatruję. - Przy twojej pomocy mamy szansę. - Wysuwam dłoń ku niemu i ściskam go za rękę.

- Nie. Nie ma szans - głos Willa ma tę głęboką, aksamitną barwę z moich snów. Słysząc w nim błaganie, bym zaakceptowała ten stan rzeczy, bym zapomniała o Miram.

Ale ja nie potrafię. Widzę twarz Cassiana, mojej mamy, siostry... całej trójki zastanawiającej się, co się z nami stało. Serce mi się ściska i boli tak, że wszystko, co przeżyłam, wydaje się w porównaniu z tym drobnostką. Miram jest zgubiona. Przeze mnie. Nie mogę uciec z Willem, udając, że nic się nie stało. Coś we mnie umiera, pęka jak ostatni strzępek zniszczonej liny, która nie może już więcej udźwignąć. Uścisk mojej dłoni na jego ręce się rozluźnia, palce się ześlizgują. Odsuwam się.

Will chwytam mnie za rękę, splata swe silne palce z moimi, zaciskając wnętrza naszych dłoni w pocałunku.

- Jacindo - szepcze.

Patrzę mu prosto w oczy, widzę w nich determinację, ciche pytanie, które mi zadaje. Wiem, że pragnie zapewnienia o realizacji naszych planów.

Chciałabym je potwierdzić. To byłoby takie proste. Jesteśmy tutaj. Razem. Już uwolniłam się od stada. Wolność...

Ale czy naprawdę jestem wolna?

Odpowiedź czuję w kościach, w głębi duszy. Chociaż nie pokrywa się ona z tym, co dyktuje mi serce. Ale wi-

dząc teraz, jak Will na mnie patrzy, nie potrafię wydusić z siebie tych słów.

-Ja... wezmę prysznic - mówię naprędce. - A potem wracam do łóżka. Nadal jestem bardzo zmęczona.

Nie kłamię. Czuję się tak, że mogłabym przespać następnych dziesięć godzin.

Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że będzie nalegał, byśmy przeprowadzili tę rozmowę teraz. Ale ja nie jestem w stanie. Nie w tej chwili. Nie potrafię powiedzieć mu, że nie mogę z nim uciec.

Jak mogłabym z nim być? Jak miałabym kiedykolwiek poczuć się wolna, skoro po raz kolejny narażam mamę i Tamrę na takie cierpienie? Podobnie, jak było to z ojcem. Łamanie sobie głowy, wieczna niepewność. Wyczekiwanie, znoszenie upływu kolejnych dni, aż wreszcie uznanie, że przepadł i nigdy nie wróci. Nie mogę im tego zrobić. No i jeszcze Miram. Czuję zobowiązanie również wobec jej rodziny.

Po chwili odzywa się Will:

- Mam ubrania, które możesz włożyć. Inną koszulkę. Jakiś dres. Kiwam głową. Co za ulga, że porzucił ten temat. Przynajmniej na razie.

Wstaje, a ja przyglądam się, jak przerzuca rzeczy w swoim worku podróżnym i wyjmuje z niego ubrania. Biorę od niego zawiniątko, czując wdzięczność, ale też żal, bo tym razem nasze dłonie się nie dotykają.

Oddalam się od niego i wchodzę do jasnej łazienki, zamykam drzwi, a w powietrzu rozlega się ciche szczęknięcie zamka.

ROZDZIAŁ 20

Po prysznicu zwijam się w kłębek na łóżku, wyciągam włosy spod siebie i przerzucam je przez ramię. Przez dłuższą chwilę nie ruszam się, leżę cichutko, jakbym ignorowała obecność Willa tuż obok mnie. Czekam na sen, na chwilę, gdy uspokoją się rozszalałe myśli.

Mimo że spałam tak długo, nadal jestem zmęczona. Moje obolałe ciało powinno zdołać ponownie zapaść w sen. Powinno.

-Jak długo będziesz udawać, że śpisz? No i właśnie dlatego nie mogę zasnąć. Jego szept muska mój kark i przyprawia o gęsią skórę.

To przez niego nie mogę spać. Z całych sił próbuję zapomnieć o jego obecności. To oczywiście niemożliwe. Jak mam ignorować fakt, że Will znajduje się o parę centymetrów ode mnie? Ten Will, za którym tęskniłam od chwili, gdy przed kilkoma miesiącami w tamtej jaskini uratował mi życie... jeszcze zanim zrozumiałam, że to, co czuję, jest tęsknotą.

Otwieram usta, ale potem zdaję sobie sprawę z tego, że mówienie tylko potwierdzi, iż nie śpię. Zaciskam war-

gi. Bo nie mogę się odezwać. Bo nie umiem wypowiedzieć tego, co on pragnie usłyszeć.

Chociaż tak bardzo chciałabym spełnić jego oczekiwania.

Dłoń Willa zaciska się na moim ramieniu. Z ust wyrywa mi się westchnienie. To tyle, jeśli chodzi o udawany sen.

Nie opieram się, gdy odwraca mnie ku sobie. Leżymy razem na środku łóżka. Oczy Willa płoną w ciemności. Porusza ręką, unosi ją.

Gdy tuląc mnie, przesuwiają po mych wilgotnych włosach, oddech więźnie mi w płucach. Jego twarz jest tak blisko, że muskamy się nosami. Wokół nas unosi się malinowa woń hotelowego szamponu.

Wpatrzeni w siebie, nie rozmawiamy. Na wargach czuję smak jego oddechu. Gdy przenosi wzrok na moje usta, czuję skurcz w żołądku. Zalewa mnie fala znajomego żaru. Przygryzam wargę, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Ale potem potrafię jedynie myśleć o tym, że to Will.

Will, którego pragnęłam i którego, jak sądziłam, utraciłam. Will, o którym marzyłam. Will, który raz za razem mnie ratował i którego ja ocaliłam w obliczu wielkiego zagrożenia. Który mnie kocha, mimo że nie powinien. I którego ja Kocham, chociaż nie powinnam.

Will, którego muszę opuścić. Znowu.

Unoszę dłonie ku jego piersi. Przykładam je do niej i staram się go nie pieścić, próbuję znaleźć w sobie siłę, by go odepchnąć.

Jutrzejsze pożegnanie i tak będzie wystarczająco trudne.

Potem jednak Will całuje mnie i już wiem, że nie zdołam się odsunąć.

Jego dłoń przesuwa się z tyłu mojej głowy ku twarzy i na policzku czuję jej szorstkość, podczas gdy on połyka mój jęk.

Pocałunek wciąż ma w sobie świeżość tego pierwszego. Muśnięcia jego warg przyprawiają o dreszcze każdy mój nerw. Chwytam go za ramiona, kurczowo się ich trzymam, palce wbijają się w jego smukłe, umięśnione ciało. Przywieram do niego ze wszystkich sił, już sam dotyk i smak jego ust całkowicie mnie obezwładniają.

Moje ciało płonie, skóra napina się i mrowi, wzburzona, gotowa się przemienić.

Może tak działa to miejsce, okoliczności, które nas tu przygnały... albo fakt, że mogę go już nigdy nie zobaczyć. Nie mogę się nim nasycić. Moje wargi pieszczą jego usta, ssą, przygryzają.

Przesuwa ręce w dół po mych plecach, przytula mnie jeszcze mocniej.

Poddaję się temu uściskowi, owijam ramiona wokół jego karku. Przeczesując palcami jego włosy, pogłębiam pocałunek i nie mam nic przeciwko temu, gdy całym ciężarem kładzie się na mnie, wtłaczając mnie głębiej w materac.

Wtulam się w niego, instynktownie go witam. Zachłannie dyszę i nawet nie myślę o tym, że możemy posunąć się za daleko, za szybko. Jest tylko pragnienie. Głód. Mam dość wyrzeczeń.

Ujmuje moją głowę w obie dłonie, całuje mnie uważnie, pochłaniając moje usta małymi kęsami. Wbija palce w delikatną miękkość moich policzków, by utrzymać moją twarz w nieruchomej pozycji.

Mruczając, usiłuję poruszyć głową, zasmakować go tak, jak smakuje mnie, ale on mnie trzyma, niewoli... zadaje słodką torturę, która sprawia, że się pod nim wiję.

I wciąż jest niedosyt. Palące pragnienie.

W moim wnętrzu buzuje ogień, próbuję go ujarzmić i ostudzić płuca.

Jęczę, gdy wsuwa mi dłoń pod koszulkę i pieści moje plecy.
Odrywa wargi od moich ust, by powiedzieć:

- Twoja skóra... jest taka... gorąca.

Gwałtownie łapię powietrze pomiędzy kolejnymi pocałunkami, a tymczasem jego ręka przesuwa się, muska moje żebra i drażące ciało na moim brzuchu.

Uwalniam usta i odwracam od niego twarz, by wypuścić gorący oddech, którego nie potrafię już dłużej powstrzymać.

Tymczasem on otula lodowatymi pocałunkami moją szyję, pieści językiem skórę... jeszcze silniej rozpalając ogień we mnie.

Odrywa wargi od mojej szyi. Chłodny nawiew klimatyzacji muska zwilżoną skórę. Łykam powietrze, rozpaczliwie gasząc szalejące we mnie piekło.

Czuję na sobie jego spojrzenie. Podnoszę wzrok i nurkuję w głębinę jego oczu.

Nawet w tym mroku płoną. Patrzy na mnie z taką intensywnością, że unoszę drażącą rękę, by przeciagnąć ją po cienistych konturach jego twarzy, pieścić opuszkami palców jej kanciaste męskie rysy. Muskam ciemne brwi nad tymi oczami, które przeszywają mnie na wskroś.

Przesuwam palce i zatrzymuję je na jego ustach, lekko nabrzmiąłych od pocałunków. Gdy ich dotykam, porusza nimi:

-Jedź ze mną, Jacindo.

Te słowa dudnią pomiędzy moimi palcami, spływają po ramieniu, wdzierają się do serca. I zaczynam stygnąć.

Bo on wie. Wie, co chodzi mi po głowie. Gdy dziś wieczorem uciekłam do łazienki, usłyszał to, czego nie wypowiedziałam, słowa, których nie chciałam wymówić na głos.

Nie mogę z nim wyjechać. Nie mogę uciec i być z nim w tej doskonałej bajce, którą sobie wymyśliliśmy.

-Nie mogę - szepczę. A potem powtarzam głośniej: - Nie mogę. Odpycham jego ramiona, aż uwalnia mnie od swojego ciężaru. Nawet w mroku dostrzegam zmianę w wyrazie jego twarzy. Jest rozzłoszczony, a jego rysy tężeją, zmieniając się w kamienną maskę.

-Jak ty możesz tam wrócić?

- Nie mogę nie wrócić. Oni muszą się dowiedzieć o Mi-ram... A poza tym nie mogę pozwolić na to, by mama i Tamra zamartwiały się, nie wiedząc, co się ze mną stało.

- Możemy wysłać list - warczy.

- To wcale nie jest śmieszne - parskam. -Widzisz, żebym się zanosił śmiechem? - Ściskając mnie za rękę, zbliża twarz do mojej. - Dlaczego z tym walczysz? Dlaczego nie chcesz dać nam szansy? Kręcę głową.

-Ja po prostu nie potrafię odejść w takiej sytuacji.

- Może już nigdy nie uda ci się stamtąd wyrwać. Pomyślałaś o tym? - Zaciska dłonie na mych rękach. - Co oni ci zrobią, jeśli powrócisz tam tanecznym krokiem i opowiesz, że dałaś się schwytać łowcom? I że utracili Miram?

Przeszywa mnie dreszcz. Will ma rację. Może mnie czekać straszliwy los. Ale po części nań zasłużyłam. Bądź co bądź, do tej sytuacji doprowadziły moje egoistyczne pragnienia. Gdybym posłuchała Cassiana i definitywnie zerwała z Willem, nic by się nie wydarzyło.

Oczywiście, Miram też się do tego przyczyniła. Nie twierdzę, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Nie powinna była mnie szpiegować. Ale nie zasługuje na los, który ją czeka, tylko dlatego, że jest wścibską, złośliwą dziewczuchą.

- Wracam.

- Nawet jeżeli to oznacza, że nigdy już nie będziemy razem? Dokładnie wie, co powiedzieć. Słowa, które zabolą mnie najbardziej. Perspektywa, że go nigdy nie zobaczę, nie usłyszę jego głosu, nie przytulę go...

Zwilżam wargi, przełykam ślinę i wypowiadam zdanie, o którym nie sądziłam, że kiedykolwiek padnie z moich ust. Zdanie, które nie potwierdza tego, co mam w sercu, lecz to, co kołacze mi się po głowie.

- Will, my nie pasujemy do siebie.

Odsuwa się, wypuszcza z rąk moje dłonie, jakbym była czymś, czego dotyku nie może już znieść.

- Nie myślisz tak naprawdę.

Kiwam głową, a ruch ten sprawia mi ból. To wszystko, na co jestem w stanie się zdobyć.

- To szaleństwo. To, czym jesteśmy... - *Czym nie jesteśmy.* — Nie możesz zaprzeczyć...

Gniewnie zrywa się z łóżka.

- Wiesz, jaka jest różnica między tobą a mną, Jacindo? - odgryza się nieznanym mi dotąd głosem, który mnie trochę przeraża.

Przysiadam w skulonej pozycji i mrugając oczami, patrzę na tego rozzłoszczonego, obcego mi Willa.

- Ta różnica polega na tym, że ja wiem, kim jestem. Zjeżam się.

- Ja też wiem, kim jestem!

- Nie. Ty wiesz tylko, czym jesteś. Ale nie doszłaś do tego, kim jesteś.

- Jestem kimś, kto ma wystarczająco dużo rozsądku, by zdać sobie sprawę, że nie może wieść szczęśliwego życia z łowcą... z kimś, w kogo żyłach płynie krew zaszlachtowanych dragonów! - W tej samej chwili, gdy wyrywają mi się te słowa, błyskawicznie zakrywam usta ręką.

Zatrzymuje się i patrzy na mnie z przerażającym spokojem. „Strasznie” to najłagodniejsze określenie tego, jak się w tej chwili czuję. Mówiłam mu przecież, że jego krew nie ma dla mnie znaczenia. I tak naprawdę myślałam. Will nic nie może poradzić na to, kim jest, więc wyrzucanie mu tego to ogromna niesprawiedliwość. Gdyby nie dragońska krew, nie przeżyłby, a tego na pewno bym nie chciała. W tamtym czasie był tylko małym chłopcem. Chorym, umierającym dzieciakiem. Nie miał żadnego wpływu na dobór metod leczenia. Jak ja mogłam mu to wytknąć?

- A więc o to chodzi? To cię tak naprawdę gryzie. Potrząsam głową, mrugam, by złagodzić ukłucie pod powiekami.

- Myślisz, że sens ma raczej związanie się z jakimś dragońskim księciem, z Cassianem?

Oddycham płytko przez nos.

- Może - szepczę, sama nawet nie wiedząc, co mówię. Nawet jeżeli Cassian byłby sensowniejszą partią, to jednak nie jest mi pisany. Nigdy nie mogłabym zrobić tego Tamrze.

Kiwa głową i odzywa się tak martwym głosem, że jego chłód dociera niemal do mych wnętrzości.

- Zaakceptowanie go byłoby łatwe. Potrafię to zrozumieć.

Łatwiejsze niż to - porusza ręką pomiędzy nami - ...niż my.

Podchodzi bliżej. Nogami dotyka materaca. Opuszcza rękę, by dotknąć mojej twarzy, miękko muska moje policzki. Opieram się pokusie wtulenia się w tę dłoń, poddania się jego magnetyzmowi.

- Tyle że jego nigdy nie pokochasz. Nie tak, jak kochasz mnie.

Taka jest prawda, niezależnie od tego, czy to dobrze, czy źle.

Zawsze tak będzie.

Ale tak nie może być. Nie mogę na to pozwolić.

Z drżącym oddechem odwracam twarz od jego dłoni i spoglądam na elektroniczny zegar na stoliczku nocnym.

- Teraz już nie zasnę. Może wyruszmy w drogę?

Will wybucha śmiechem. Ten wymuszony dźwięk jest niski, głęboki i przeszywa mnie dreszczem.

-Dobrze. Wracaj do domu, Jacindo. Uciekaj. To jednak niczego nie zmieni. Nie zapomnisz o mnie.

Ma rację. Ale muszę przynajmniej zrobić wszystko, co w mojej mocy, by spróbować.

ROZDZIAŁ 21

- Zatrzymaj się tutaj - oznajmiam, spoglądając na ciche lasy wokół. Uznaję, że to dobre miejsce, bo jesteśmy w bezpiecznej odległości od ziem stada. Dostatecznie daleko, by nie ryzykować wykrycia przez Nidię. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Wycieram spocone dłonie w miękką tkaninę dresu, który mam na sobie, i wyglądam przez ochlapaną błotem przednią szybę. Od wyjazdu z motelu niewiele rozmawialiśmy. To okropne, że to musi się skończyć w taki sposób. To okropne, że to musi się skończyć.

Will wyłącza silnik. Zamykam oczy i wdycham jego piżmowy, czysty zapach, słucham cichego westchnienia obok mnie... zachowuję te rzeczy w pamięci jako ostatnie wspomnienia o nim.

- Wrócę za tydzień.

Na te słowa gwałtownie się do niego odwracam i otwieram usta, by zaprotestować.

- Nie mów nie - rzuca szorstko głosem, jakim nigdy się nie posługiwał. Przynajmniej nie w mojej obecności. Nachyla się do przodu, kurczowo trzymając kierownicę, jakby miał ją wygiąć gołymi rękami. - Zobaczę, co da się

zrobić w sprawie twojej przyjaciółki. Ile się zdołam dowiedzieć... Przez chwilę nie mam pojęcia, o kim mówi. Moja przyjaciółka? Lecz naraz rozumiem. Chodzi mu o Miram.

- Powiedziałeś przecież, że nie ma nadziei.

Nie odrywa oczu od moich. W świetle poranka widzę ich barwy. Odcienie złota, brązu i zieleni.

- Dla ciebie zrobiłbym wszystko. Zwłaszcza jeśli oznacza to, że znów cię zobaczę.

- Nie narażaj się...

- A jak myślisz, Jacindo, co ja tu teraz robię? - Patrzy mi badawczo w oczy i czuję się jak półgłówek. Oczywiście.

Ryzykuje. Nie tylko ja mam coś do stracenia. Wszystko do stracenia. - Ale myślę, że jesteś tego warta.

Jego słowa przeszywają mnie na wskroś, sprawiają, że czuję się jak dezerterski, który zbyt łatwo się poddał i zrezygnował z walki o naszą wspólną przyszłość. Potem jednak myślę o wszystkim - o wszystkich, których ja narażam. Tych wszystkich istnieniach, które znajdują się w niebezpieczeństwie, jeżeli teraz wybiorę Willa. Nie, nie mogę tego zrobić. Bo nie chodzi tylko o mnie.

- Za tydzień - powtarza, a ja się zastanawiam. Może to po prostu jego sposób na ponowne spotkanie ze mną, próba zyskania na czasie... by mnie przekonać do zmiany zdania? Ale to może być również jedyna szansa dla Miram.

Chwytam za klamkę w drzwiach, naciskam ją. - Jacindo?

Na dźwięk własnego imienia spoglądam na Willa. Czuję znajomy przyływ pożądania.

- W południe. Za tydzień - potwierdzam.

- Będę tutaj. - Kiwa głową, nie uśmiecha się, z kamienną twarzą hipnotyzuje mnie wzrokiem. Kładzie dłoń

na mojej ręce. Skóra pod jego dotykiem mrowi, rozpala się. Zamykam oczy na krótką bolesną chwilę, a egoistyczna część mnie nadal pragnie uciec z Willem.

Wyrywam rękę i wysiadam z land rovera.

Przez chwilę wpatruję się w las, cichy i bezkresny, w gąszcz wysokich sosen rzucających długi cień. Szum wiatru, szelest poszycia. Czuję na sobie wzrok Willa, ale nie oglądam się za siebie. To zbyt kuszące. Za trudno mi będzie odejść, jeśli to zrobię.

Biorę głęboki wdech i zaczynam biec. Gnam pomiędzy drzewami, które muskają mnie z poufałością starych przyjaciół. Tyle że ja już nie postrzegam ich jak przyjaciół, tylko jak ściany więzienia.

Wartownik każe zaczekać mi przy bramie, przez krótkofalówkę rozmawia z kimś przyciszonym głosem. Na pewno z Severinem. Z kimże innym?

Stojąc przy porośniętej bluszczem bramie, patrzę na strażnika i czekam... jak intruz, któremu pozwolą wejść albo nie.

Dostrzegam Nidę, która przystanęła w drzwiach swojej chatki i taksuje mnie nieodgadnionym spojrzeniem. Nawet ona nie podchodzi bliżej, by się ze mną przywitać, i zastanawiam się, czyją również straciłam.

Mojej siostry nigdzie nie widać. Czy jest w domku Nidii? Czy wyczuwa, że wróciłam, i po prostu nie przejmuje się tym? Czy sądzi, że ją opuściłam? Ta myśl przyprawia mnie o lekkie mdłości, czuję w środku pustkę. Zwłaszcza ze względu na to, że moja siostra stanowiła jedną z głównych przyczyn, dla których wróciłam. Tamra i mama.

Nadchodzi Severin, obrzuca mnie mrocznym spojrzeniem - czarnym i niezgłębionym jak kosmos.

Towarzyszy mu kilku członków starszyny, zdyszanych, usiłujących dotrzymać mu kroku.

Cassian nadaża bez trudu. Też jest z nimi, u boku ojca, spragniony mojego widoku, pożera mnie wzrokiem, jakby szukał potwierdzenia, że naprawdę wróciłam. Cała i zdrowa.

Przynajmniej ktoś cieszy się z mego powrotu. Cassian wysuwa się naprzód i chwyta mnie za ramiona.

- Jacinda!

W chropawym głosie wypowiadającym moje imię słychać ulgę, nadzieję i oczekiwanie. To wszystko sprawia, że zerkam przez ramię i żałuję, iż nie zostałam z Willem i muszę przynosić tak smutne wiadomości.

Zsuwa ręce z ramion ku moim dłoniom i splata palce z moimi.

- Gdzie jest Miram? - Severin zadaje pytanie. Pytanie, z odpowiedzią na które tu wróciłam. Spoglądam na niego, potem znów na Cassiana, świdrującego mnie wnikliwym, badawczym wzrokiem. Nadal pełnym nadziei. Zawsze pełnym nadziei. Jego kciuki zataczają małe kręgi na wierzchach moich dłoni.

Zwlekam i wtedy inni zaczynają domagać się tej samej odpowiedzi.

Gdzie jest Miram? Gdzie jest Miram? -Ja... - Zwilżam suche wargi.

- Gdzie jest moja córka? - głos Severina załamuje się i cichnie. Mówię otwarcie. Wypluwam te słowa jak jakąś straszliwą truciznę, którą muszę zwymiotować.

- Zabrali ją myśliwi.

Trucizna jednak mnie nie opuszcza. Nadal tkwi we mnie, pulsuje mi w żyłach. Poczucie winy. Okropna świadomość, że ja to spowodowałam.

Kciuki Cassiana nieruchomieją, przerywają swoją wędrówkę, ja jednak nie podnoszę wzroku. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Kiwam głową, a ruch ten sprawia mi ból.

- To prawda.

Uścisk jego dłoni rozluźnia się, ledwie dotyka moich rąk.

- Ale tobie udało się uciec? - zauważa z pogardą Severin. - Istny cud.

Pod powiekami czuję gorące pieczenie.

Cassian całkowicie odrywa się teraz od mych dłoni.

Opuszczam ręce, które drżą. Co za pustka. I nie wiem, skąd się bierze ten nagły ból. Świadomość, że Miram jest stracona... być może na zawsze? Czy że to ja jestem za wszystko

odpowiedzialna? Czy poczucie, że Cassian oddala się ode mnie? Stał się dla mnie kimś ważnym. Może zawsze nim był? Nawet nie wiedząc, kim dla siebie jesteśmy, wiem, że mi na nim zależy. Ze nie zniosę utraty i jego, i Willa.

Nie dotykając go już, patrzę mu w twarz, szukam znaku, że mnie nie obwinia... nie nienawidzi.

Severin staje pomiędzy nami i chwyta mnie za ramię. Jego palce są długie i potężne, zakrywają prawie cały mój biceps.

Uświadamiam sobie, że nie bez powodu jest alfą naszego stada.

To największy i najsilniejszy dragon z nas wszystkich. Kiedyś przywództwo obejmie Cassian, ale na razie rządzi Severin. A ja jestem zdana na jego łaskę i niełaskę.

Pociąga mnie za sobą. Powstrzymuję się od grymasu pod wpływem jego niedelikatności. W ciągu ostatnich dni doświadczałam znacznie silniejszego bólu. Może i nawet zasługuję na takie traktowanie. Ostatecznie przecież właśnie oznajmiłam mu, że jego córka została schwytana przez łowców. Równie dobrze mogłam obwieścić jej śmierć.

Drepczę, by dotrzymać mu kroku. Inni pozostają w tyle. Walczę z pokusą rozejrzenia się i sprawdzenia, czy Cassian też idzie z nami.

- Dokąd idziemy? - zdobywam się na pytanie i zaraz tego żałuję, gdy Severin posyła mi spojrzenie pełne czystej odrazy. Nigdy nie widziałam u niego tyle emocji. Nigdy nie traktował mnie tak osobiście. Zawsze byłam dla niego tylko środkiem do celu. Narzędziem, którym można manipulować, byje wykorzystać. Gdy przedzieramy się przez granicę najgęstszej mgły i podążamy główną ulicą, w osadzie panuje cisza. Nie widać prawie nikogo. Ta pasywność mieszkańców o tej porze, w południe, jest dziwna. Przypomina mi grobową ciszę po zniknięciu mojego ojca. W stadzie przez ponad miesiąc obowiązywał całkowity zakaz wychodzenia z domów, nikt nie wystawiał nosa za drzwi. Dbano wyłącznie o najbardziej elementarne potrzeby i wykonywano jedynie prace niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania stada. Pamiętam, jak któreś dziecko narzekało, że to był najnudniejszy okres. Tylko dla mnie był on koszmarem. Teraz to wszystko powraca, zalewa mnie gorzką falą wspomnień. Znow jest tak samo. Ale wtedy wierzyłam w obietnicę lepszej przyszłości. Ze tato rzeczywiście powróci. Bo tak szeptała nam do ucha mama, powtarzała nam to za każdym razem, kładąc wieczorem mnie i Tam-rę do łóżka. Teraz znam prawdę. Okłamywała albo nas, albo siebie, bo nic na ten temat nie wiedziała.

Nagle ogarnia mnie pragnienie zobaczenia jej. Tak jak wówczas chcę, by mama mnie pocieszyła. Aby mnie przytuliła i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Chociaż wiem, że jest inaczej. Chociaż i tak już w to nie uwierzę.

* * *

Oczy mamy są martwe. Gdy wchodzę z Severinem do domu, nie widać w nich prawie żadnego ożywienia. Inni zostają na ganku. Oprócz Cassiana. Nie ma go.

Mama spogląda na mnie, jakby mnie nie znała, jakby mnie nie widziała.

- Mamo! - Przykucam obok łóżka.

Przesuwa po mej twarzy szklistymi oczami. Podnosi rękę i gładzi moje poplątane włosy.

- Mamo, to ja - mówię. - Wróciłam. Nic mi nie jest. Wreszcie porusza ustami. Mamrocze moje imię. Czuję odór. Zerkam na nocną szafkę i dostrzegam butelkę ziołowego wina.

- Wątpię, czy ona w ogóle zauważyła, że zaginęłaś! - prycha Severin.

Spozieram na jego zaciętą twarz, a potem znów na mamę. Czy to moja wina? Czy tak pokomplikowałam wszystko, że musiała utopić te troski w butelce?

Z zewnątrz dobiega nas tupot nóg. Słyszeć głosy.

Do pokoju wpada Tamra, a tuż za nią Az. Podnoszę się, mój oddech drży. Nie wiem, jak mnie przywitają.

- Żyjesz! - rzuca zdławionym głosem Tamra.

Jej włosy nie są tak starannie ułożone jak zazwyczaj. Srebrzysta czupryna jest równie potargana jak moja. Obraz nędzy i rozpaczki od stóp do głów w postrzępionych dzinsach i koszulce. Wygląda jeszcze żałośniej niż ja.

Kiwam głową.

- Tak, żyję.

Mija dłuższa chwila, a Tamra ani drgnie. Milczy i tylko wpatrujemy się w siebie. A później padamy sobie w ramiona. Szloch.

Początkowo myślę, że to jej łzy. Ze to ona wydaje z siebie te wszystkie okropne dźwięki. Potem jednak czuję wilgoć na swych policzkach i dudnienie w mej własnej krtani i w piersi. Łkam razem z nią.

Obok jest też Az. Jej krucha dłoń głaszcze mnie po obolałych plecach.

- Przepraszam, Tamro - mówię.

- Nie, to ja przepraszam! Zawsze obwiniam cię o wszystko, a ty to po prostu znosisz! Tak się cieszę, że żyjesz... tak się cieszę, że wróciłaś.

Zamykam z ulgą oczy. Tak. To właśnie dlatego musiałam wrócić. Bo jakaś część mnie zawsze będzie połączona z Tamrą. Nie mogłam skazać jej na cierpienie, na łamanie sobie głowy nad tajemnicą mojego zniknięcia...

- Tak, ona żyje, ale Miram jest stracona. Moja córka -przerywa nam Severin. Wszystkie trzy odsuwamy się od siebie. Wpatruję się w niego czujnie, jakby był jakąś bestią albo drapieżnikiem. On zaś skupia całą uwagę na mnie. - To nie może ujść ci bezkarnie.

Nie tym razem. Nadużyłaś swej ostatniej szansy, Jacindo.

Trzeszczenie podłogi. Zerkam ku drzwiom sypialni. Stoi w nich Cassian, nie wchodzi do środka. Ale jest tutaj. Wrócił. Czuję lekki trzepot serca. - Całe stado niech się zgromadzi za godzinę - słowa Severina przywracają mnie do rzeczywistości. - Za swe wykroczenia odpowiesz przed wszystkimi.

Będę sądzona publicznie?

Takie wydarzenia są rzadkością w dziejach stada. W ciągu mojego życia byłam świadkiem zaledwie jednego lub dwóch, ale cóż, rzadko kiedy popełniane są przestępstwa.

Wbite we mnie oczy Severina zwięzają się.

- Nie spóźnij się. Nie chcesz chyba, żebym przysłał po ciebie eskortę. - Odwraca się do wyjścia. Przy drzwiach

zatrzymuje się i badawczo przygląda się synowi. - A właściwie, Cassianie, tak sobie pomyślałem, że mógłbyś dopilnować, by przyszła na czas.

Chce mieć pewność, że nie ucieknę.

Ulga, jaką poczułam na widok Cassiana, znika. Ma być moją eskortą.

- Będzie dobrze. - Ściska mnie za rękę Tamra, ponownie skupiając moją uwagę na swej poważnej minie. - Zostanę przy tobie.

-Ja też - wtóruje jej Az. Uśmiecham się do nich obu.

- Szczęściara ze mnie, że was mam.

Zerkam na mamę. Niespodziewanie podnosi się z łóżka.

Chwytam ją za ramię, by pomóc jej usiąść prosto.

- Zaparzę trochę herbaty - proponuje ochoczo Az i wychodzi pośpiesznie z sypialni.

Cassian stoi w drzwiach i w milczeniu obserwuje, jak Tamra i ja zajmujemy się matką.

- Przynajmniej trochę prywatności, proszę! - rzuca pod jego adresem Tamra, nie odrywając wzroku od mamy. W jednej chwili przypomina mi się sytuacja, w której po raz ostatni nasza trójka znalazła się w tym samym pokoju. Tamte koszarne słowa... Moja siostra najwyraźniej też nie zapomniała.

Kątem oka obserwuję, jak Cassian się oddala. Nasłuchuję jego kroków. Nie odchodzi daleko. Tylko do salonu. Musi wypełnić rozkaz. Ma mnie przecież eskortować na zgromadzenie stada. A do tamtego czasu nie ruszy się stąd.

Jakby czytając w moich myślach, Tamra mówi:

- Będziemy przy tobie, Jacindo. Mama i ja. Nic nas nie rozdzieli, jesteśmy rodziną.

Przyglądam się siostrze, która przykucnęła obok mamy. Mama też na mnie patrzy, a jej oczy bardziej się

błyszczą, wydają się bardziej swojskie niż tamto otepiałe spojrzenie nieznajomej z ostatnich paru tygodni. Bardziej przypomina matkę, którą znam.

- Wróciłaś. Dobrowolnie wróciłaś. To musi coś oznaczać - odzywa się, sprawiając tym samym, że czuję ulgę. Wiedziała, że uciekłam. Wiedziała i przejęła się tym. - Nie jesteś odszczepieńcem. Severin nie myśli racjonalnie. Inni to rozumieją. Dotychczas nikogo jeszcze nie ukarano niezasłużenie.

Korci mnie, żeby zapytać: *A jeśli ktoś na karę zasłużył?*

Nie jestem bez winy. Robiłam rzeczy, których nie powinnam była się dopuścić.

Wtedy jednak mama bierze mnie za rękę, a jej uścisk jest ciepły i silny. Tak jak wtedy, gdy byłam mała, a ona była całym moim światem. Gdy ona i tato potrafili wszystko naprawić za jednym dotknięciem ręki.

Nagle nie czuję się już taka samotna. Niezależnie od tego, co się stanie, wiem, że mam rodzinę. To mnie wzmacnia. Teraz czuję, że mogę wszystkiemu stawić czoła.

ROZDZIAŁ 22

W drodze do centrum osady Tamra trzyma mnie za rękę. Inni też tam idą. Zmierzają równym strumieniem w tym samym kierunku. Ostentacyjnie przyglądają mi się przez kłębiące się opary mgły, a nawet wytykają mnie palcami. Zdają się nie przejmować faktem, że to widzę. I niby dlaczego powinni? W ich oczach jestem tą, która zrobiła coś złego i została wezwana na zgromadzenie, by osądziło ją stado.

Tamra pokrzepiająco ściska mnie za rękę.

Staramy się iść wolno, by mama mogła nadażyć. Idzie u mojego drugiego boku, mrużąc oczy w bladych smugach promieni słonecznych przedzierających się przez mgłę. Jak kret, który wynurzył się z norki za dnia.

Gdy docieramy do sali zgromadzeń, już panuje w niej tłok. Na mój widok szum rozmów cichnie.

Zebrani rozsuwają się i robią przejście, bym mogła wejść po schodach.

Severin stoi tam już za kamienną trybuną. Sześciu członków starszyny również. Marionetki za jego plecami. Nie jestem głupia. To nie zgromadzenie podejmie decyzję. Cokolwiek się stanie, zależy od Severina.

Cassian nie staje pośród nich. Chyba jeszcze nie może. Nie ma jeszcze oficjalnej władzy. Zamiast tego zajmuje miejsce na przedzie zebranego tłumu.

Rozluźniam palce, by wypuścić z ręki dłoń Tamry i wspiąć się po schodach. Ona jednak zacieśnia uścisk. Nie puszcza mnie.

- Pójdę z tobą - oświadcza.

Az za jej plecami zachęcająco kiwa głową. Jakby potwierdzała, że tak będzie najlepiej.

- Nie. Muszę iść sama. - I tak wątpię, czy pozwoliliby komukolwiek stanąć tam ze mną. Przenoszę wzrok z Tamry na mamę, a potem na Az. - Zaczekajcie tutaj. - Błado się uśmiecham, aby je pokrzepić. - Wrócę. Wszystko będzie dobrze. - To też tylko otucha dla nich. Sama nie mam pojęcia, co się stanie. Czuję ucisk w żołądku, zbiera mi się na mdłości. Mimo to nie żałuję, że tu wróciłam. Musiałam. Dla mojej rodziny. Dla Miram i Cassiana. Gdy stoję obok Severina, on obwieszcza moje przewinienia. Zaczyna od najłżejszych.

Zaniedbanie dyżurów.

Opuszczenie ziem stada bez upoważnienia.

Kulę się w sobie na myśl o tym, jak zareagowałby tłum, gdyby wiedział, dlaczego się oddaliłam. Dla kogo to zrobiłam. To stanowiłoby osobne przewinienie. Severin grzmi dalej.

Lot w ciągu dnia.

Kontakt z łowcami.

Jego głos rozcina powietrze. Jest szorstki, pozbawiony emocji. Nie mogę się powstrzymać od gorzkiej myśli: oczywiście nie wspomni o tym, że to on kazał Miram mnie szpiegować.

- Przestrzegamy reguł, by zapewnić bezpieczeństwo i trwałość stada. By ochronić nasz gatunek. Dragon, który oddziela się od reszty i stawia siebie ponad prawami stada, naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

Stoję ze ściągniętymi do tyłu ramionami i wpatruję się w tłum moich pobratymców. Na ich twarzach maluje się zaduma... wyczekiwanie. Zdarzy się coś wielkiego i oni to wiedzą... są tego głodni. Wszyscy. Przesuwam wzrokiem po znajomych twarzach starych przyjaciół, sąsiadów, nauczycieli. Nagle wydają mi się nieznajome. Tęsknię za kimś, kto ukoji moje serce. Za kimś, dla kogo nie ma tutaj miejsca. Za Willem.

-I właśnie dokładnie to się stało - ciągnie Severin. - Utraciliśmy na zawsze moją córkę Miram. Gdy stoję tutaj przed wami, zdana jest ona na łaskę enkronów i cierpi niewymowne katusze. Jacinda musi zapłacić za swoje przewinienie.

Przez tłum przechodzi szmer... powszechne szepty, które odbieram jako aprobatę. Z bólem przełykam ślinę, patrząc wprost przed siebie i unikając spojrzenia na rodzinę, na Tamrę i mamę, na Az... i na Cassiana.

Wyprężam się jak struna i czekam na końcowy werdykt, wiedząc, że już zapadł. Nie będzie ułaskawienia. Nie tym razem. Nie ponownie. Severin już postanowił o moim losie.

Wydaję z siebie dźwięk, zduszony, udręczony śmiech. Nie ma się co czarować. Ta decyzja zapadła w chwili, gdy wróciłam bez Miram.

Mimo to wzdrygam się na dźwięk jego słów:

- W wypadku dragona, który swą notoryczną niesubordynacją stwarza zagrożenie dla nas wszystkich, nie ma innego wyjścia, jak podcięcie skrzydeł. - Wskazuje na mnie ręką. - Zgodnie z pradawną tradycją każdy dragon, który naraża stado, traci dar latania na tyle czasu, ile to konieczne. - Zapada cisza, tak głucha, że słyszę nawet szum krwi uderzającej mi do głowy.

Na tyle czasu, ile to konieczne. Czyli na czas potrzebny moim skrzydłom na wyleczenie. Jeśli w ogóle wyzdrowieją. Niekiedy uszkodzonych lub zranionych skrzydeł nie da się całkowicie wyleczyć i dragon na zawsze pozostaje kaleką.

Powietrzem wstrząsa nagły okrzyk Tamry. Jej przenikliwy głos rozdziera pulsującą ciszę.

- Nie! Nie! Nie możecie tego zrobić! - Jej twarz płonie kolorami, jakich nie widziałam u niej, odkąd się przemieniła. - Zostawcie ją w spokoju! To nie jest sprawiedliwość, tylko barbarzyństwo!

Mama otacza moją siostrę ramieniem, jej twarz jest całkowicie wyprana z wszelkich barw. Wygląda na gotową, by wspiąć się po schodach. Po chwili wahania Tamra wtula się w mamę.

Oczy mamy nie są już ani puste, ani martwe. A ja wręcz żałuję, że tak nie jest. Lepsza byłaby pustka niż ta udręka i ból.

Severin ignoruje ten wybuch, tylko nieznaczne drgnienie policzka wskazuje na to, że usłyszał Tamrę albo że nie pochwała jej zachowania. To kamuflonka. Alfa nadal jej potrzebuje, więc toleruje jej ekscesy.

Następne jego słowa przeszywają mnie na wskroś niczym ostrze noża.

- Również Zara musi za to odpowiedzieć - Severin obrzuca spojrzeniem członków starszyny, tak jakby mogli temu zaprzeczyć. A potem dodaje: - Zara zostaje uznana za winną zaniedbań zarówno w roli matki, jak i w zakresie zobowiązań wobec dziecka i stada.

Tego się nie spodziewałam.

- Co takiego?! - krzyczę, spoglądając z rozpaczą na mamę, w której oczach widzę teraz czujność i gniew.

Tymczasem Severin ciągnie dalej monotonnym głosem:

- Zostaje skazana na banicję i musi natychmiast opuścić ziemię stada. Od tej chwili więc nie będzie już uznawana za dragonkę i

musi sobie ułożyć życie w ludzkim świecie. - Usta Severina wykrzywiają się w szyderczym uśmiechu. - Jak sobie tego zresztą zawsze życzyła - dodaje z wyraźnym zadowoleniem. I wiem, że naprawdę go to cieszy.

-Zaczekaj! -wołam. - Odejdę razem z nią! Mnie również wypędźcie!

Wargi Severina ponownie wykrzywia uśmiech.

-Wybór twojej kary nie należy do ciebie. A poza tym... - mierzy mnie chłodnym spojrzeniem i czuję, jakby rozdzierał mnie nim na strzępy - ...ty posłużysz jeszcze celowi swego istnienia.

Z ust Tamry sypią się przekleństwa. Aż przywiera do jej ramienia, starając się jej pomóc w odzyskaniu panowania nad sobą.

Nie wiem, co jest gorsze. Ukryta groźba rozmnożenia mnie, wyrok podcięcia skrzydeł czy utrata mamy. Wszystko na swój sposób jest równie straszne. Wszystko zabije jakąś część mnie.

W połączeniu z porzuceniem Willa i marzenia o nas oraz z brzemieniem winy za losy Miram - to za dużo. Co oprócz tego może się wydarzyć? Ile jeszcze zdołam

z n i e s c?

Zamieram w nienaturalnym bezruchu, tymczasem wszystko wokół mnie zaciera się i wiruje. Życie wyrwane spod kontroli, a ja w samym środku tego chaosu.

Rozglądam się dookoła, w dal, aż po skotłowane kłęby mgły Nidii, otulające naszą osadę. Fantazjuję o zanurkowaniu w nie i o locie, o ucieczce z mamą i Tamrą.

Ale to tylko mrzonka.

Severin gestem daje znak strażnikom ze znienawidzonymi opaskami na ramionach, by odeskortowali mamę.

- Dopilnujcie, żeby nie zabrała ze sobą niczego oprócz ubrań. Nie wolno jej wynieść żadnych kamieni szlachetnych.

- Mamo! - krzyczy Tamra i patrzy zrozpaczona na Se-verina. - Zaczekajcie! Proszę, pozwólcie mi z nią porozmawiać. Tylko chwilę na osobności...

- Żeby ci mogła powiedzieć, jak się z nią skontaktować?

- Severin kręci głową. - Przykro mi, ale nie. Tak jak powiedziałem, ona teraz jest człowiekiem, a dragony nie zadają się z ludźmi. - Gdy wymawia te słowa, jego wzrok przenosi się na mnie i wyraźnie widzę w nim oskarżycielski wyraz. Jedno pstryknięcie palców wodza i już wyprowadzają mamę.

Rzucam się przed siebie, ale twarda ręka na moim ramieniu powstrzymuje mnie. Próbuję pochwycić spojrzenie mamy. Przekazać jej coś, wyczytać coś w jej oczach. Dokąd pójdzie? Co będzie robić? Jak zdołam ją odnaleźć? Czy kiedykolwiek ją odnajdę?

- Przynieście noże.

Ten rozkaz wywołuje poruszenie wśród tych, którzy stoją obok mnie. Więcej rozgardiaszu, więcej szemrzących głosów.

Wyciągam szyję, ale już nie mogę dojrzeć mamy

- nie jestem w stanie odnaleźć jej w tym zamieszaniu.

Chwytają mnie za obie ręce i ciągną w stronę kloca, który dopiero teraz zauważam parę metrów dalej na podium. Nikt nie zwraca uwagi na moją siostrę, która ich błaga, by przestali.

Zmuszają mnie, bym uklękła na drewnianej powierzchni.

Najwyraźniej chcą, by nikt nie przegapił tego widowiska.

Uświadamiam sobie, że tak to już jest w stadzie. Przynajmniej dopóki Severin jest alfą. Rządy oparte na trwodze, zastraszaniu, pogróżkach - zarówno tych otwartych, jak i bardziej zawołowanych. Takie są metody Se-verina i nic się nie zmieni, dopóki on ma władzę.

Każą mi się przemienić.

Unoszę brodę i ślepo patrzę przed siebie. Nie mogą mnie zmusić.

Ponowny rozkaz jest głośniejszy. Ale wciąż nie słucham.

Dlaczego miałabym im to ułatwiać?

Narasta we mnie ponura satysfakcja, gdy twarz Severina pokrywa się czerwonymi plamami gniewu. Jego wielka dłoń łąduje na mojej potylicy.

-Jestem pewny, że mogę zmusić do przemiany twoją siostrę. Nie ma jeszcze wprawy. Łatwo byłoby wzbudzić w niej strach. A więc jak będzie? Ty? Czy Tamra? Tak czy inaczej, komuś dziś podetniemy skrzydła.

Odwracam się i patrzę mu w twarz, nienawiść do niego emanuje ze mnie gorącymi falami.

- Nie zrobisz tego... - szepczę ochryple. Wbija palce w moją czaszkę.

- Ona też spełni swoje zadanie, nie latając. Spoglądam w jego czarne oczy i nie wiem, czy blefuje, czy nie. Ale nie będę ryzykować. Strząsam jego rękę ruchem głowy. Nic nie mówię. Nie dam mu satysfakcji w postaci słownej zgody. Nabieram głęboko powietrza i się przemieniam.

Moja ludzka powłoka znika tak szybko, że nawet nie mam czasu zrzucić bluzki. Skrzydła rozrywają tkaninę z przeraźliwym trzaskiem, podobnym do chrzęstu moich błyskawicznie przekształcających się kości.

Ranne skrzydło dygocze, opada niżej. Wygląda, jakby było złamane. Już podcięte. Wykrzywiam usta w wymuszonym uśmiechu. Nikt się nie przejął. Zresztą i tak skrzydło zostanie uszkodzone.

Mimo wszystko to chyba moja najszybsza przemiana. Furia i trwoga dotrzymują jej kroku. Obie przyprawiają mnie o dygot.

Furia z powodu władzy Severina. Trwoga

przed tym, co mnie czeka. Ich cierpki smak towarzyszy każdemu oddechowi.

Gdyby nie przytrzymałali mnie z obu stron za ręce, prawdopodobnie straciłabym równowagę i spadła z drewnianego kloca.

Przerażenie wzbiera we mnie, buzuje falami żaru. Czuję tylko to. Żyję tylko tą chwilą. Przetrwać...

Ktoś przynosi noże i stają się one jedyną rzeczą, którą widzę. Błysk ostrzy zbliżających się do mnie. Wyglądają jak duży sekator. Jak wcielenie bólu.

W tłumie podnosi się teraz ogłuszająca wrzawa, mieszanka okrzyków zachęty i ostrych protestów. Albo przynajmniej wydaje mi się, że słyszę kilka głosów sprzeciwu. Chcę myśleć, że nie wszyscy zgadzają się z tym, że zasługuję na taką karę. Że nie wszyscy są spragnieni mojej krwi. Tamra krzyczy, miota dzikie przekleństwa. I wiem, że stoi tam, cierpiąc tortury na widok tego, co się dzieje. Tego, co się ma stać.

Nie mogę się powstrzymać. Wołam ją, chociaż wiem, że nie może mi pomóc. Nikt nie może.

Siostra raz po raz powtarza moje imię. Po policzkach ciekną mi łzy i z sykiem wyparowują na rozgrzanej skórze.

A potem w tym szalonym wirze dostrzegam twarz Cassiana, jego głębokie, żywotne oczy wlepione we mnie. Teraz jest na podium, tam, gdzie nie powinno go być, i wśród członków starszyny toruje sobie drogę do mnie.

Wtedy sobie przypominam. Słyszę jego głęboki głos sprzed wielu tygodni wypowiadający obietnicę chronienia mnie. Albo przynajmniej podjęcia takiej próby. Czy on myśli, że teraz da radę? Jest za późno.

On jednak nie przedziera się do mnie, tylko zmierza do ojca. Chwyta go za ramię ukryte pod obszerną pelery-

ną i z wściekłością coś do niego mówi. Gdy żywo gestykułując, wskazuje na mnie, jego usta poruszają się szybko, a oliwkowe policzki płoną.

W tym zgiełku nie potrafię wyłapać sensu jego słów, ale widzę, że Severin słucha... a potem znowu patrzy na mnie zamyślonym wzrokiem.

Krzyczę, gdy zostaję zmuszona do odwrócenia się plecami do zgromadzenia. Rozpaczliwie się oglądam, ale widzę tylko dwuskrzydłowe drzwi przed sobą. To koniec.

Czyjeś ręce chwytają moje skrzydła, bezlitośnie rozciągają i napinają cieniutkie membrany. Dyszę z bólu, który czuję w rannej kończynie.

Zaciskam usta, a przez moje nozdrza wydobywa się para. Czyjeś palce uciskają i dźgają delikatną tkanę w poszukiwaniu najlepszego miejsca na cięcie. Do gardła podchodzi mi gorycz. Już samo to obmacywanie sprawia, że czuję się sponiewierana, zbrukana. Instynktownie do krtani ciśnię mi się ogień, jestem gotowa do obrony, do chronienia siebie. Przygryzam wargę tak, że po chwili czuję na zębach posmak krwi. Miedziana słodycz miesza się z nutami spalenizny i popiołu.

Twarda ręka pochyla mi głowę, aż broda dotyka piersi. Ta pozycja zmusza moje plecy do ułożenia się w ostry łuk. Skrzydła wyciągają się wysoko nade mną. Płomienne, cienkie jak pajęczyna membrany wystawione na powszechny widok i idealne cięcie. Syczę, gwałtownie drzę, gdy zimna krawędź stali po raz pierwszy dotyka delikatnych ścięgien, którymi poprzetykane jest moje prawe skrzydło. Ręce na mych ramionach zakleszczają się mocniej, ściskają, aż nie czuję krwi w bicepsach...

- Nie ruszaj się - ostrzega jakiś głos. - Nie chciałbym odciąć ci całego skrzydła.

Zduszam szloch i nieruchomieję. A potem jestem wolna. Nikt mnie już nie dotyka. Żadna zimna stal nie muska mych skrzydeł, by je niszczyć i przecinać...

Chwieję się i spadam z drewnianego kloca na beton. Oczy pieką mnie od łez, zacierając widok Cassiana, który stoi nade mną i - gorączkowo oddychając - spogląda na mnie nienaturalnie błyszczącymi oczami.

W powietrzu rozlega się gromki głos Severina, który ucisza wrzawę stada.

- Zaproponowano inne rozwiązanie zamiast podcięcia skrzydeł i zostało ono uznane za godne akceptacji.

Odwracam głowę w stronę alfy. W sercu budzi się nadzieja. Niezależnie od tego, co to może być. Każde rozwiązanie jest lepsze.

Co mogłoby być gorsze niż spętanie i okaleczenie na całe życie?

-Jeżeli Jacinda w chwili obecnej zgodzi się wejść w związek z Cassianem, zostanie oszczędzona...

Z mojego ciała ulatuje żar. Jestem w środku zimna.

Chwiejnie się podnoszę, staję samotna i nieruchoma jak rzeźba ponad morzem zaskoczonych twarzy. Zresztą równie zdziwionych jak ja.

Odnajduję wzrokiem Cassiana. Jego oczy są tak zimne jak moje wewnątrz. Czarne bez najmniejszej smugi światła. Bez wichru. Bez nieba. Istna otchłań.

Jego usta zaciskają się w płaską kreskę, jakby powstrzymywał się od wyjaśniania, dlaczego to zrobił.

Badawczo wpatruję się w jego twarz, poszukując czegoś, co pomoże mi zrozumieć, usiłując znaleźć tam jakąś odpowiedź.

A więc to zaproponował ojcu jako rozwiązanie? Dlaczego to zrobił? Czy on naprawdę chce się ze mną zwią-

zać? Czy może po prostu zdobywa się na wielką ofiarę? Nie wygląda na szczęśliwego z powodu poświęcenia siebie dla mojego ocalenia.

- Ona się zgadza - oznajmia Cassian, patrząc prowokująco w moje oczy. Wie, że nie mogę się nie zgodzić. Zwłaszcza w obliczu alternatywy, przed jaką stoję.

Nikt nie czeka, aż potwierdzę słowa Cassiana. Zostaję szybko zabrana z podium. Członkowie starszyny wpychają mnie w ramionach swoich towarzyszek życia zawsze szczęśliwych, że mogą służyć im i stadu. Dokładnie tego oczekują ode mnie.

Samozadowolenia. Posłuszeństwa. Ta wizja przyprawia mnie niemalże o wybuch śmiechu. Ja nigdy taka nie będę.

Schodząc po schodach, wyciągam głowę i spoglądam w prawo, próbując dojrzeć twarz Tamry. Muszę ją zobaczyć.

Gdy wreszcie mi się udaje, serce ścina mi lód. Moja siostra jest wcieleniem bladości. Włosy. Twarz. Nawet jej oczy są pozbawione barw. Czysty mróz. Usta Tamry otwierają się, lekko poruszane słowami, które nie wydostają się spoza nich.

Mama. Zapomniałam o niej w koszmarze ostatnich chwil.

Rozglądam się za nią, ale oczywiście jej nie ma. Jej banicji nie odwołano tylko dlatego, że oszczędzono mnie. Oszczędzono?

Czyżby?

Kiedy mnie wywlekają, wbijam wzrok w oczy Tamry. Usiłuję przekazać jej, że jest mi przykro, że nie chcę, by to się działo, że to się nie wydarzy. Ze do tego nie dojdzie.

Jednak uświadamiam sobie, że to kłamstwo. Nie mogę niczego powstrzymać.

Może oszukiwałam siebie samą, myśląc, że potrafię mieć na cokolwiek wpływ - że zdołam uniknąć losu, jaki stado już dawno dla mnie wybrało?

ROZDZIAŁ 23

Noc jest cicha, mimo że zewsząd otacza mnie tłum. Mgła wydaje się ciemniejsza, bardziej szara niż ta powszednia, kredowobiała, i zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z nastrojem Tamry. Prowadzą mnie na pole lotów. Gdy dochodzimy do jego środka, wysoka trawa łaskocze nas w łydki. Góry jak cisi świadkowie znaczą poszarpanymi cieniami linię horyzontu.

Ubrana w strojną bursztynową pelerynę czuję się niczym baranek prowadzony na rzeź. Docieramy na miejsce, gdzie całe pokolenia dragonów łączyły się w pary. Na ziemi dostrzegam tytanowy krąg. Nie sposób go przeoczyć. Zdobiące go szafiry błyszczą w nocy cudownym, hipnotyzującym błękitem. Brzeg kręgu wysadzany jest tylko nimi, gdyż są jednymi z najsilniejszych kamieni na ziemi. Krąg symbolizuje nierozzerwalny związek dwojga dragonów.

Odwracam wzrok od kręgu nawet wtedy, gdy doprowadzana jestem pod jego brzeg. Ustawiają mnie tuż przy nim. Po drugiej stronie czeka już Cassian, ubrany w czarną połyskującą pelerynę. Przez chwilę wpatruję się w jego

dragonią twarz po całkowitej przemianie, którą zresztą i ja mam za sobą.

Stado milczy i przygląda się nam w zadumie.

Nie rozglądam się dookoła. Nie szukam Tamry, ale wiem, że tu jest. Obserwuje wraz z innymi, jak przygotowuję się do godów z Cassianem. Czuję na sobie jej spojrzenie.

Czyjeś ręce zdejmują z nas peleryny i każą nam się napić z obrzędowego kielicha.

Moje wargi dotykają brzegu pucharu, z którego całe pokolenia dragonów piły, by przypieczętować swoje więzi. Również moi rodzice. Mrugam piekącymi powiekami. Jest ciężiej, niż przypuszczałam. Zrobienie tego, a potem wmówienie sobie, że to nic nie znaczy, okazuje się trudniejsze, niż myślałam.

To nie jest prawdziwy związek. Nie wchodzę w niego dobrowolnie, więc to się nie liczy.

Pamiętam jednak słowa mamy. *Gdy przeżywasz gody w tytanowym kręgu, coś się dzieje, coś się zmienia.*

Czy miała rację? Czy to coś zmieni? Oczami wyobraźni widzę twarz Willa. Nie mogę pozwolić, by ta ceremonia odebrała mi choćby kawałek jego i zastąpiła Cassianem. Nie mogę. Nie dopuszczę do tego. Zlizuję z warg ostatnią kroplę wina i przyglądam się, jak Cassian pije z wysadzanego klejnotami kielicha. Jego usta dotykają tego samego brzegu czary, z którego piłam ja. Severin przemawia, a ja umyślnie nie słucham jego słów, jestem głucha na jego głos. Uczestniczyłam już wcześniej w obrzędach godowych. Wiem, co mówi alfa. I nie chcę słyszeć wypowiedzianych przez niego słów.

A potem pojawia się ona. Moja rodzinna szkatuła z kamieniami szlachetnymi.

Z trudem przełykam ślinę i intensywnie wpatruję się w skrzyneczkę, myśląc o bursztynie, którego już nie

ma - który został sprzedany, gdy byliśmy w Chaparral. Kiedy jeden z członków starszyny zanurza rękę w szkatule i grzebie w jej zawartości, czuję, że naruszona została moja własność. On nie ma do tego prawa. Zgodnie ze zwyczajem robi to matka lub ojciec oblubienicy, ale w moim wypadku nie ma żadnego z rodziców.

Obok stoją klejnoty rodziny Cassiana. Do ich szkatuły sięga Severin.

Kamienie zostają wydobyte w tej samej chwili. Patrzą na przepiękną czarną perłę ze skarbcza Cassiana. Idealnie okrągła wypełnia wnętrze dłoni jego ojca. Z mojej rodowej skrytki wyjęto kawałek bursztynu. Dokładnie pamiętam każdy klejnot w tej szkatule i wiem, że to ostatni bursztyn, jaki w niej pozostał. Wiem, dlaczego go wybrano. To kamień, który najbardziej przypomina mnie.

Bursztyn i perła zostają uniesione wysoko w górę na widok całego stada. Po jednym klejnocie ze skarbcza z każdej rodziny. Dwa kamienie dające początek naszej wspólnej schedzie. Naszej własnej rodzinie.

Ucisk w moim gardle nasila się i niezależnie od tego, jak bardzo się staram, nie umiem go zwalczyć.

Zespolone klejnoty emanują odmiennym, wspólnym światłem, zupełnie inną energią. Słyszę ich szeptany śpiew i przyglądam się, jak zostają umieszczone w nowej szkatule. Czarna laka z ognistymi czerwonymi ornamentami wygrawerowanymi na wieku skrzynki. To nasz skarbiec. Mój i Cassiana. A ja zastanawiam się, jak dawno musiano go wykonać, przygotowując na tę chwilę. Potem nadchodzi ten moment. Musimy wzlecieć w powietrze. Nasz ostatni lot jako singli.

Wpatrzeni w siebie odbijamy się od ziemi i szybko wzbijamy się w górę. Ignoruję ostry ból w rannym skrzydle i lecę, lecę, lecę.

Z twarzą wystawioną na chłód wilgotnego wiatru znów rozkoszuję się smakiem przestworzy. Wbrew samej sobie. Wbrew postanowieniu, by nie lubić niczego podczas tej uroczystości. Lot zawsze działał na mnie jak balsam. Nie potrafię oprzeć się jego słodyczy... nie ze świadomością, że mało brakowało, a utraciłabym ją przez podcięcie skrzydeł. Moje skrzydła pracują, trzepoczą w powietrzu i unoszą mnie coraz wyżej. Mam wrażenie, jakbym uciekała od tego wszystkiego, starając się odfrunąć jak najdalej od stada. Zamykam oczy, delektuję się wiatrem smagającym mnie po twarzy.

Przez chwilę przechodzi mi przez myśl, by po prostu lecieć dalej przed siebie, roztopić się w obłokach, zniknąć w otchłani przestworzy. Nigdy już nie lądować. Przynajmniej nie na ziemiach stada.

Potem jednak widzę Cassiana szybującego wraz ze mną przez chmury i mgłę. Jego potężne skrzydła lśnią ciemniej niż noc, mocne onyksowe żagle z migotliwymi nutami purpury.

Gdy szybujemy coraz wyżej, nie odrywa ode mnie oczu. A ja wiem, że zna moje myśli. Zna je, ale mimo to zachowuje kamienny wyraz twarzy.

I wtedy zaczynam rozumieć. Czuję to głęboko w piersi, tam gdzie narastają żar i ogień. On pozwoliłby mi odejść. Uciec w mrok nocy, zniknąć we wzburzonych kłębach mgły i chmur.

Mogę wybrać.

Widzę to. Wyobrażam sobie, jak wraca do stada beze mnie. Jak staje przed wszystkimi osamotniony i okryty wstydem.

Oczywiście, ruszyliby za mną w pościg. Prawdopodobnie nie udałoby mi się uciec zbyt daleko, bo w rzeczywistości mam marne szanse.

Nagle zatrzymuje się. Unosi się w miejscu.

Jak również wyhamowuję, kołysząc się na wietrze.

Patrzę mu prosto w twarz. Dzieli nas zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Wokół nas dryfują nocne obłoki. Zimne opary kotłują się dookoła niczym zmrożony dym.

Przez chmurę widzę jego połyskującą antracytem twarz i obsydianowe oczy.

- To nie będzie prawdziwe! - krzyczę do niego. Wiatr unosi moje słowa i nie wiem, czy Cassian je usłyszał, dopóki nie odpowiada:
- Będzie wystarczająco prawdziwe.

Wystarczająco prawdziwe? Dla niego? Czy to chce powiedzieć? Czy uważa, że związek, któremu tylko jedno z nas w pełni się odda, będzie udany? Dla każdego z nas? Czy może ma nadzieję, że ta więź powstanie i zwiąże nas ze sobą?

Tak wiele już dziś straciłam. Willa. Mamę. Spoglądam w dół. Hen na ziemi czeka Tamra, zdradzona przez stado tak samo jak ja.

Podnoszę wzrok na Cassiana. *To nie będzie prawdziwe. To nie będzie prawdziwe.*

Podpływam do niego w powietrzu. On oczekuje tylko takiej odpowiedzi. W tej chwili właśnie to muszę zrobić. Taka jest potrzeba chwili.

Wyraz jego oczu łagodnieje, gdy się obejmujemy, robiąc to, co dragony robiły przez tysiąclecia. Jego ręce czule mnie dotykają. Jedna spoczywa pomiędzy moimi skrzydłami, druga na moim biodrze. Intensywnie się we mnie wpatruje, świdruje mnie oczami, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy, każdy ułamek tej chwili.

Zamykam oczy i próbuję zapomnieć. Myślę tylko o Wil-lu. Ze znów go zobaczę.

Ciało Cassiana jest twarde jak skała i przypominam sobie, że to urodzony wojownik. Mocny i nieustępliwy.

A jednak w jego ramionach czuję bezpieczeństwo i żadnego zagrożenia jego siłą czy władzą.

Wtuleni w siebie zaczynamy zniżać lot. Żołądek podchodzi mi do gardła, serce zamiera. Jest tak jak w tamtym śnie, koszmarnym śnie. Spadam i nie mogę wzlecieć wyżej. Nie potrafię zapanować nad własnym ciałem.

Spadam i nie ma ratunku.

Wzbiliśmy się w powietrze jako dwie osobne istoty, a opadamy jako jedna. To akt godowy. Tak musimy postąpić. Na tym to właśnie polega.

Zawsze myślałam, że gody to romantyczny obrządek, coś szczególnego, co kiedyś mnie z kimś połączy. Ale było to coś niewyraźnego, mającego w odległej przyszłości. Teraz jednak to rzeczywistość, której doświadczam tu i teraz.

Gdy szybko spadamy w dół, Cassian mocno trzyma mnie w objęciach. Wiatr wyje i świszczę wokół nas, tymczasem my opadamy korkociągiem, mknąc ku ziemi. Moje włosy furkoczą w powietrzu, nawet ciemne kosmyki Cassiana powiewają nad jego głową jak mroczne wstęgi.

Wpatrzeni w siebie, nos przy nosie, a wokół nas wycie wiatru głośnie jak łoskot pociągu towarowego. Wirujemy ku ziemi, gdzie czeka na nas stado.

To nie tylko on obejmuje mnie. Ja też ciasno do niego przywieram. Nasze nogi wiją się i splatają.

Jest tak, jakbyśmy naprawdę wiernie trwali przy sobie... pędząc w objęcia śmierci. I chyba o to chodzi. Ten akt symbolizuje śmierć naszego odrębnego bytu i początek związku, jedności.

Nie oddycham. Nie mogę, nawet gdybym chciała. Poruszamy się z niepojętą szybkością, powietrze śmiga obok nas zbyt szybko, bym mogła wciągnąć je w rozpalone płuca.

Nagle chmury się rozrzedzają i ustępują. Mgła nie jest już taka gęsta. Na kilka metrów przed uderzeniem w twardą skorupę ziemi rozkładamy skrzydła, wyhamowujemy i delikatnie lądujemy w tytanowo-szafirowym kręgu.

Razem. Wtuleni w siebie. Para dragonów.

Podczas uroczystości, które potem następują, nigdzie nie widzę mojej siostry. Wciąż otaczają mnie inni, wznoszą za nas toasty, raczą się potrawami i obsypują życzeniami szczęścia.

Zupełnie jakbym jeszcze niedawno nie klęczała na drewnianym kłocu z nożami przy plecach. Teraz się sprawdziłam. Związek z Cassianem przekonuje stado, że jestem nareszcie jedną z nich.

Nawet jeżeli nie mają pełnego zaufania do mnie, to wierzą w rytuał godowy... i ufają Cassianowi.

Przez cały czas szukam Tamry, ale nie mogę jej odnaleźć.

Muszę ją zobaczyć. Upewnić się, że nic jej nie jest. Ze nam obu nic nie jest. Czuję napięcie na twarzy, oczy mnie pieką.

- Chodź - mruczy pod nosem Cassian, wstając od długiego stołu, przy którym siedzimy. Jego wielka dłoń obejmuje moją, czuję na skórze szorstkość stwardniałego od pracy naskórka. - Jest późno.

Wśród radosnych protestów razem opuszczamy uroczystość.

Przedtem jednak dostrzegam Severina, który pije i się uśmiecha.

Najwyraźniej zapomniał o córce. Nasze spojrzenia się spotykają i alfa wznosi kieliszek w cichym toaście, szczęśliwy, że ma mnie w swej rodzinie, nareszcie pod kontrolą.

Myśli, że wygrał. Ze mnie pokonał.

-Już idziecie? - zachodzi nam drogę Corbin.

-Jacinda jest zmęczona. Ma za sobą długi dzień - odpowiada Cassian tonem, który niczego nie zdradza.

Corbin piorunuje kuzyna wzrokiem, jego zwięzione do szpar źrenice pulsują.

- Na pewno nie możesz się doczekać utulenia jej do snu.

Oddycham z sykiem. Ta aluzja budzi we mnie przerażenie. To godowa noc moja i Cassiana.

- Uważaj, co mówisz! - ostrzega go Cassian grubszym głosem, a jego dłoń lekko zaciska się na mojej. Czuję pełnię jego gniewu, ciężkiego jak powiew wielkiego tumanu mgły. I nie tylko gniewu. To poczucie własności, potrzeba.

Wzdrygam się pod tym gradem odczuć i wyszarpuję dłoń z jego ręki, rozpaczliwe pragnąc przerwać ten kontakt, zrobić cokolwiek, by rozluźnić tę łączność między nami. A więc tak to jest? O tym mówiła mama? Na zawsze będziemy już dla siebie nawzajem barometrem uczuć? Wspaniale.

Corbin szeroko się uśmiecha i ustępuje na bok.

- Oczywiście.

Ponownie wzięwszy mnie za rękę, Cassian zdecydowanym krokiem mija kuzyna i odchodzimy.

Idę za nim, zamykając się w kokonie odrętwienia. W nadziei, że uda mi się w nim pozostać i nie wpuścić do środka Cassiana.

Moje nogi poruszają się machinalnie. Dopiero gdy wchodzimy na ganek, uświadamiam sobie, gdzie jesteśmy.

- To mój dom - zauważam.

- Mój ojciec powiedział, że mamy tu zamieszkać.

Mrugam oczami i rozglądam się dookoła. Będę mieszkała z Cassianem tutaj? W domu, w którym się wychowałam?

I wtedy to do mnie dociera. Przecież nikt tu już nie mieszka. Nie ma taty. Tamra jest przy Nidii. Severin dopilnował, żeby zniknęła mama. Pozostałam tylko ja. No i mój towarzysz życia.

Gapię się w drzwi wejściowe, jakbym ich nie znała. I chyba tak jest. Ten dom już nie należy do mnie. Tylko do Cassiana. A pośrednio również do Severina.

Po drugiej stronie czeka obcy, nowy świat. Przyszłość z Cassianem.

Czuję ucisk w żołądku, kotłuje się w nim od kwasu. Nie. Moja przyszłość to nie to. Nikt mi jej nie narzuci. Moja przyszłość należy do mnie. Jest moim wyborem. Czymś, co -jak sobie uświadamiam - dotyczy również Willa. Nigdy nie było to dla mnie bardziej oczywiste niż teraz.

Kręcę głową. Jak ja mogłam mu powiedzieć, że do siebie nie pasujemy? To on jest tym jedynym. Nieważne, że pochodzimy z różnych światów...

Znajdę sposób na to, by znów z nim być.

Cassian otwiera drzwi i razem wchodzimy do domu.

ROZDZIAŁ 24

Pomimo późnej godziny biorę kąpiel, by ciepła woda rozluźniła i ukołła moje zmęczone i udręczone mięśnie. Moczę się w wodzie tak długo, że skóra marszczy mi się jak suszona śliwka, i w końcu przyznaję przed samą sobą, że to nie tylko relaks trzyma mnie w łazience.

Za drzwiami nic nie słychać. Po wyjściu z wody wycieram się i ubieram, aż wreszcie opuszczam łazienkowy azyl gotowa na spotkanie z Cassianem. Na końcu języka mam setki gotowych słów.

Zaglądam do swojej sypialni i z ulgą stwierdzam, że go tam nie ma. Drżąc, idę korytarzem do salonu. Gdy wchodzę do pokoju, wstaje z kanapy.

Ogarnia mnie spojrzeniem, zatrzymując wzrok na mych mokrych włosach. Zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, pyta:

- Który pokój wolisz, żebym zajął?

Mrugam zdumiona, mimo że to tak bardzo w stylu Cassiana. Bez owijania w bawełnę.

- Zakładam, że nadal chcesz spać w swoim. Mogę wziąć sypialnię Tamry albo twojej mamy.

Czuję przyływ ulgi. Nie mogę zaprzeczyć, że obawiałam się tej chwili, oczekiwań, jakie może mieć wobec

mnie Cassian. I własnej reakcji na tę nową... sytuację między nami.

- Tamry - proponuję. Uznaję, że pokój mojej siostry będzie dla niego najodpowiedniejszy.

Stoimy, wpatrując się w siebie, żadne z nas się rusza. A jednak między nami przepływają niewypowiedziane słowa. Przebieram palcami, wykręcam je aż do odrętwienia.

Jest tak wiele rzeczy, których nie rozumiem - dlaczego on to robi, dlaczego nie forsuje sprawy intymności teraz, gdy jesteśmy parą. Nie jestem głupia. Nawet jeśli na nic się nie zgadzałam, to jednak wiem, że akt godowy niesie ze sobą pewne oczekiwania. Od pierwszego dnia w szkole uczono nas o ważności prokreacji. Stado musi trwać.

Nagły hałas kuchennej kruszarki do lodu sprawia, że niemal podskakuję. Cassian strzela wokół oczami jak niespokojny ptak w poszukiwaniu miejsca lądowania. Uświadamiam sobie - albo może wyczuwam, że też jest zdenerwowany. Na pewno po raz pierwszy. Nigdy przedtem nie widziałam, by się denerwował. Chyba powinnam mu podziękować, wyrazić wdzięczność za uchronienie mnie przed podcięciem skrzydeł. Słowa więzną mi w gardle.

W końcu Cassian odchrząkuje, a odgłos ten następuje nagle i zaskakująco.

- Wiem, że upłynie trochę czasu, zanim stanie się to dla ciebie rzeczywiste.

Mogę jedynie niemo wpatrywać się w niego. *Trochę czasu?* Myśli, że wraz z upływem czasu łatwiej mi będzie to zaakceptować? Czy aresztant, więzień kiedykolwiek oswaja się ze swą celą? Może sądzi, że z czasem zacznę mylić naszą łączność z czymś innym? Z czymś więcej?

- Wiem, że martwisz się dzisiejszą nocą.

Pewnie, że tak. Jesteśmy parą. Wie, że umieram ze strachu.

- Dam ci czas, Jacindo. Potrafię być cierpliwy. Mamy mnóstwo na czasu na... wszystko, co uznamy za właściwe.

A więc zawieszenie wyroku. Ale na jak długo? Ile czasu zdołam utrzymać go na dystans wyciągniętej ręki? Cassian oczywiście nie będzie nalegał, ale jak długo mogę udawać prawdziwy związek pod czujnym okiem stada? Pod okiem Severina.

Ile potrwa, zanim się ugnę i pójdę po linii najmniejszego oporu, zapominając o tym, czego naprawdę pragnę... kim naprawdę jestem? Zapominając o Willu.

W pamięci pojawia się twarz Willa, a wraz z nią klarowna odpowiedź. Nigdy.

Wcale nie muszę długo udawać, że jesteśmy prawdziwą parą.

Oddycham z ulgą. Tydzień. Tylko jeden tydzień i będę wolna.

Gdy wślizguję się do łóżka, wzdycham, czując kojącą swojskość mej poduszki. Wypchana puchem pocieszyciel-ka, która delikatnie pachnie lawendą, otula mnie i przypomina mamę.

Gwiazdy na suficie, nawet po tylu latach, nadal migoczą. Wciąż tu są. Chociaż nie ma taty. Jak to się stało? Jak doszło do tego, że tyle straciłam? Tatę. Mamę.

Wtulam twarz w poduszkę i powierzam jej stłumiony szloch. Ale nie Willa. Jego nie utracę. Ani mojej siostry.

Powiem jej o planach Willa i naszym spotkaniu za tydzień.

Poproszę ją, by się tam ze mną wybrała. Aby z nami uciekła.

Niezależnie od tego, dokąd pojedziemy. Może uda się nam odnaleźć mamę?

Te myśli przyprawiają mnie o dreszcze. Trochę boję się powierzenia jej tak wielu tajemnic... obawiam się, że utracę również ją. Tego bym nie zniosła.

Przytulam poduszkę mocniej, usiłując wmówić sobie, że te obawy są bezpodstawne. Stado rozczarowało Tam-rę na tyle, że powinna zgodzić się na ucieczkę. Wypędzili mamę. Niemalże podcięli mi skrzydła. A teraz jedyny dragon, z którym pragnęła dzielić życie, jest związany ze mną. Jakże mogłaby chcieć tu zostać?

Wycieram policzek o poduszkę, wsuwam rękę pod nią i natrafiam na szorstką krawędź papieru.

Z dudniącym sercem zmykam ten skrawek w dłoni. Siadam, zapalam na moment lampę i niecierpliwie odgarniam z oczu wilgotne pasmo włosów, by coś dojrzeć.

To naprawdę mały świstek. Kawałeczek urwany ze starej koperty. Patrzą z niego na mnie trzy słowa, pośpiesznie skreślone ręką mamy.

Przypomnij sobie Palmę.

To trop. Wskazówka. Przytulam kartkę do piersi, wyteżając w ciemności wzrok. Mama zostawiła to dla mnie. Próbuje mi przez to powiedzieć, dokąd pójdzie. Gdzie mogę ją znaleźć!

Tymczasem ja zupełnie nie wiem, o co chodzi.

Mimo wszystko budzi się we mnie nadzieja. Na ustach pojawia się uśmiech. Mama gdzieś na mnie czeka. Uznała, że rozszyfruje tę zagadkę, inaczej nie napisałaby tego.

Zaciskam palce wokół skrawka papieru. Przypomnę sobie. Albo Tamra. I wspólnie odnajdziemy mamę. Nie zostałam pokonana. Severin nie wygrał.

Nazajutrz jednak nie widzę Tamry. Ani też następnego dnia.

Wraz z upływem czasu narasta niepokój w moim sercu.

Zapomniałam, że zwyczaj nakazuje młodym parom zamykanie się w domu, niespotykanie się z nikim, tylko zapoznawanie się z nowym wspólnym życiem. Coś w ro-

dzaju miesiąca miodowego. Tego oczekuje stado. I Severin. A skoro ślubowałam posłuszeństwo, nie mam wyboru - muszę grać swą rolę.

Członkowie stada przychodzą i odchodzą bez zapowiedzi. Słyszę ich kroki i szepty na ganku, gdy zostawiają tam jedzenie i prezenty. Wszystko, co tylko może umilić nam wspólne życie i przyczynić się do jego wyjątkowości.

W ostatnim dniu naszego wymuszonego odosobnienia wychodzę na ganek, by zabrać kosz świeżo upieczonych chlebków i babeczek, który przyniosła wcześniej Nidia, oraz dzbanek z lemoniadą zostawiony przez kogoś innego.

Z koszem na ramieniu i dzbankiem przytulonym do siebie dostrzegam jakiś ruch po drugiej stronie ulicy. Nieruchomieję, widząc jego źródło.

Corbin stoi oparty o słupek werandy. Z założonymi rękami przygląda mi się tak jak zwykle. W zadowolony z siebie i zdecydowany sposób.

Kręcę głową i zaczynam się odwracać. To bez sensu, że nadal tak na mnie patrzy. Nie po tym, jak związałam się z Cassianem. Nic dla siebie nie znaczymy. Teraz powinien sobie z tego zdawać sprawę. Musi zerwać z tą durną obsesją.

Wtedy na ganek wychodzi Jabel i woła syna. Zauważywszy, że Corbin gdzieś się gapi, podąża za jego wzrokiem i marszczy brwi. W jej głosie, który dociera z drugiej strony ulicy, pobrzmiwa reprimenda. Młode pary w okresie godowym należy zostawić w spokoju, a intensywne spojrzenie Cor-bina raczej narusza tę zasadę. - Corbin! - woła, tym razem głośniej. Gdy nasze oczy się spotykają, Jabel posyła mi blady uśmiech.

Związałam się z Cassianem. W jej rozumieniu potwierdziłam swoje oddanie stadu. Teraz jestem częścią jej rodziny. To może łagodzi ból po stracie Miram.

Nakazuje Corbinowi, bo wszedł do domu. Ale sama nie rusza się z miejsca. Tylko patrzy na mnie w ten sam zachłanny sposób co jej syn. Teraz jednak jestem dla niego nieosiągalna, bo związałam się z jego kuzynem.

Skąd więc te spojrzenia? Przecież Corbin nie wie, że to wszystko farsa. Nie może tego wiedzieć. A mimo to się gapi.

Odwracam się i wchodzę do domu. Moja skóra mrowi, wciąż czuję na sobie jego baczny wzrok.

W milczeniu jemy z Cassianem nasz ostatni posiłek w odosobnieniu. Uświadamiam sobie, że również pozostałe wieczory tego tygodnia będą takie same. On. Ja. Sam na sam. Za dnia będziemy chodzić swoimi drogami, wypełniać nasze obowiązki, widywać się z innymi, żyć. Jednak wieczory i noce są zarezerwowane dla nas samych. Przechodzi mnie dreszcz, gorąco oblewa mnie i wnika głęboko pod skórę.

Oczywiście do czasu, aż uda mi się uciec.

- Masz plany na jutro?

- Spotkam się z siostrą - odpowiadam zgodnie z prawdą, zanim jeszcze przychodzi mi do głowy, że nie powinnam poruszać tematu Tamry.

Kiwa głową, przeciąga zębami widelca po talerzu.

- Może powinienem pójść z tobą...

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł - rzucam szybko.

Ponownie kiwa głową, powoli, z namysłem.

- Dobrze.

Dźgam sztucem kawałek ryby na talerzu. Jeszcze by tego brakowało, żebym miała go obok, gdy będę mówić siostrze o planach ucieczki z Willem i przekonywać ją, by zabrała się z nami!

- Na razie - dodaje.

Podnoszę wzrok, marszczę brwi.

- Co masz na myśli?

- Nie mogę wiecznie unikać Tamry. Musimy jakoś ułożyć te relacje.

- Uważasz, że to możliwe? - pytam, intensywnie na niego patrząc.

- Ze potrafisz to naprawić?

Krzywi się, unosząc się na krześle naprzeciwko mnie.

- Mam taką nadzieję. Ona jest twoją siostrą, a ja twoim...

Nie odrywam od niego wzroku, a moje spojrzenie jest przenikliwe, wręcz kąśliwe. Nie mów tego. To nieprawda. Nie jesteś wybrańcem mojego serca.

- Teraz wszyscy jesteśmy rodziną.

Nic nie mówię. Zabieram swój talerz, wstaję, wchodzę do kuchni i gorączkowo biorę się do mycia naczyń.

Cassian dołącza do mnie. Ramię w ramię: ja zmywam, on wyciera. Pracujemy w milczeniu, w zgodnym rytmie. Czuję bolesne ukłucie na wspomnienie rodziców, którzy robili dokładnie to samo przez całe lata, stojąc w tym samym miejscu. Razem. Połączeni.

Ale my nie jesteśmy moimi rodzicami. Daleko nam do nich. Nie śmiejemy się i nie rozmawiamy. Nie dzielimy ze sobą opowieści z minionego dnia. Nie pozwalam na to. Czuję, jak z Cassiana emanuje swoisty smutek, który wnika we mnie i miesza się z moją własną tęsknotą za mamą i Willem. To jeszcze bardziej doprowadza mnie do szału. Nie powinnam czuć jego emocji. Mam dość własnych trosk.

Gdy wypełniamy to nasze prozaiczne zajęcie, myślę o spotkaniu z Tamrą. O tym, jak na zawsze pożegniam się ze światem dragonów. Światem, który odbiera nam wszystko, nie dając niczego w zamian.

ROZDZIAŁ 25

Wstaję wcześnie i nie zwracam sobie głowy śniadaniem. Gdy wymykam się z domu, w pokoju Cassiana panuje cisza.

Pośpiesznie przechodzę przez osadę, ulicami, które w większości są puste. Poranne powietrze jest gęste jak wapienny pył, panuje cisza, słychać tylko tupot moich stóp i zdyszany oddech.

Idę główną ulicą i na widok wyłaniającej się z mgły chatki Nidii ogarnia mnie radość. Zaraz jednak euforia gaśnie.

Moje serce zamiera, gdy drogę zastępuje mi Corbin, który wyłania się nie wiadomo skąd. Chyba z za żywopłotu. Zupełnie jakby tam czatował. Łapie mnie za rękę i ciągnie pod jedno z wiecznie zielonych drzew porastających niższy odcinek głównej ulicy. Przyciska mnie do szorstkiej kory, blokując mnie między masywnym pniem a swym tułowiem.

- Zabierz łapy! - syczę. Moje ciało natychmiast reaguje w instynktownej obronie. Wewnątrz wybucha płomień, który podchodzi do gardła. W ustach czuję smak popiołu i spalenizny.

— Wyjaśnijmy coś sobie.

Nie słucham, nie obchodzi mnie, co ma do powiedzenia.

Dygocząc z gniewu, piorunuję wzrokiem jego ręce na moich ramionach. Oblewa mnie fala gorących emocji.

- Masz czelność mnie dotykać? Cassian cię zabije...

- Och, jakież to wzruszające! Jestem pod wrażeniem. Prawie uwierzyłem, że ty i Cassian to teraz prawdziwa para, a nie teatrzyk, w którym gracie.

Przeszywa mnie lodowaty dreszcz, którego chłód zmraza mi serce.

- C... co masz na myśli?

Corbin nachyla się, muska nosem mój policzek i gwałtownie oddycha. Ten dotyk napawa mnie obrzydzeniem, wzdrygam się i na moment przymykam oczy.

- Znam prawdę - szepcze ochrypłym głosem. - Nie jesteś jego.

Nigdy nie byłaś. Zawsze trzymałaś się od niego daleko. Gody z nim tego nie zmieniły.

Otwieram usta, by zaprzeczyć, ale nie mogę. Nie jestem w stanie tego wypowiedzieć, nie umiem uparcie twierdzić, że Cassiana i mnie łączy miłość. Nie potrafię wymówić tych słów, mając w sercu Willa... po prostu nie potrafię. Niezależnie od tego, czy to dla mnie dobrze, czy źle. Zamiast tego warczę tylko:

- Odsuń się ode mnie.

- Widzę to w twoich oczach. Może i on jest częścią ciebie. Ale ty się nie zmieniłaś.

To dziwne, ale prawie mam nadzieję, że on ma rację. Oczy mu błyszcza, iskrzą, gdy na mnie patrzy.

- Nadal nietknięta. - Uśmiecha się, okrutnie wyginając usta. - Co oznacza, że nadal istnieje szansa dla nas.

- Wariat! - parskam.

- Możesz tak dalej sobie mówić. Ale tylko ja znam prawdę, a wkrótce wszyscy się o niej dowiedzą. Nawet je-

śli miałbym ich sam wyprowadzić z błędu. Udowodnię to. I wtedy to mnie dostanie się to, co boi się wziąć mój kuzyn. Patrząc na niego, nie jestem w stanie oddychać. Gdybym jeszcze do tej pory nie wiedziała, że muszę uciec - i to jak najdalej - to zdarzenie przekonałoby mnie do tego. Corbin jest wystarczająco szalony, by zrobić to, co mówi.

Przysuwa bliżej głowę... jakby chciał mnie pocałować.

- Nadal mam do ciebie prawo.

Nie myślę. Po prostu reaguję. Rozchylam usta i wypuszczam płomień, który we mnie kipi i sprawia, że moja skóra mrowi i gwałtownie iskrzy.

Spomiędzy moich warg wydobywa się cienka smuga pary.

Ogarnia mnie satysfakcja, gdy gorąca wstęga go parzy. Wyje, łapiąc się za prawy policzek. Tymczasem ja korzystam z okazji i wyślizguję się spomiędzy niego i drzewa.

Resztę drogi do domu Nidii pokonuję biegiem, a okrzyki Corbina niosą się za mną.

-Jesteśmy sobie przeznaczeni, Jacindo! Będziesz moja! Nie możesz wiecznie uciekać!

Przy drzwiach Nidii gwałtowne wyhamowuję i powstrzymuję nagłe pragnienie huknięcia w nie pięścią. Nadal jest bardzo wcześnie. Nie ma sensu walić w drzwi, jakby goniło mnie stado dzikich wilków.

Opieram jedną dłoń o drzwi, drugą kładę na sercu, starając się odzyskać oddech. Gdy drzwi się otwierają, ledwie udaje mi się zachować równowagę i nie upaść.

Na progu stoi Tamra, jej zaczerwienione oczy są nieprzeniknione, ale wiem, że cierpi tak jak ja.

- Ucieknijmy - rzucam. Tak po prostu. Bez wprowadzenia, bez owijania w bawełnę.

Wstrzymuję oddech, czekam i mam nadzieję, że się nie mylę, sądząc, że mogłaby rozważyć ten ryzykowny krok. Ze poświęciłaby nawet swoją nową pozycję w stadzie. Upływa chyba wieczność, gdy czekam, aż odpowie, aż się odezwie, aż w jakikolwiek sposób zareaguje.

- Kiedy możemy zwiać?

Wypuszczam z siebie urywany oddech, niemalże szlochając z ulgą - lecz po chwili uświadamiam sobie, że wciąż mam przed sobą trudną część rozmowy. Muszę wytłumaczyć kwestię Willa. Zerkam przez ramię, upewniając się, że Corbin sobie poszedł, a później odwracam się i wymownie spoglądam w głąb domu. Tamra szybkim gestem zaprasza mnie do środka i prowadzi do swojego pokoju, który niegdyś był pokojem gościnnym Nidii. Moja siostra jeszcze się tu nie zadomowiła. Na razie przeniosła bardzo mało rzeczy z naszego domu. Po jednej stronie pokoju wciąż stoi stół krawiecki Nidii.

Siadam na niezasałanym łóżku, pod sobą mam skotłowaną pościel.

Tamra cicho zamyka drzwi. - A więc jak to zrobimy?

Zbieram się w sobie, patrzę jej w oczy i wypowiadam jedno słowo, które powinno wyjaśnić wszystko:

- Will.

Siostra przez dłuższą chwilę wpatruje się we mnie, a potem pyta zaskakująco opanowanym tonem:

- Widujesz się z nim? Kiwam głową.

-Tego dnia, gdy Miram i ty... - jej głos cichnie. Nabrawszy powietrza, stawia pytanie, którego się obawiałam: - Czy wtedy miałaś spotkać się z Willem?

Znów potwierdzam skinieniem. Tamra wzdycha, a w tym dźwięku słychać zmęczenie.

- Zostawiłam listy do ciebie i mamy, ale Miram je zabrała i śledziła mnie. A potem pojawili się łowcy...

Kręci głową.

- Bardzo jesteś na mnie zła? - pytam cicho.

- Nie wiem. Może. Jestem taka zmęczona. Zmęczona wkurzaniem się. Ja po prostu chcę stąd uciec, odnaleźć mamę i nigdy nie wracać - ból w jej głosie przyprawia mnie o jeszcze większe wyrzuty sumienia. Bo ja się do niego przyczyniłam. Przynajmniej częściowo. I ponieważ nie mogę obiecać jej spokoju. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Jest coś, co muszę zrobić, zanim znajdziemy mamę. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz. - Wyjątkowe umiejętności Tamry mogą w tej sprawie przesądzić o wszystkim.

W jej zamglonych oczach pojawia się nieufność.

- O co chodzi?

- O uratowanie Miram. - Wtedy wyrównałabym rachunki ze stadem. Z Cassianem. Z sobą samą.

Oczy Tamry się rozszerzają.

- Miram? Ale czy ona nie jest w rękach enkonów? Kiwam głową.

- Raczej jeszcze jej nie zabili. Przynajmniej na razie. Tymczasem przeprowadzą trochę... - nie ośmielam się użyć słowa „eksperymenty”, więc zastępuję je innym - obserwacji.

- Myślisz więc, że możesz sobie wejść tam, gdzie ją przetrzymują, i grzecznie poprosić, by ją oddali?

Przechyliłam głowę i powoli odpowiadam:

- Nie, ale sądzę, że zdołam ją stamtąd wydostać. Z pomocą Willa. I twoją. Jestem jej to winna. -/ *Cassianowi*, dodaję w myślach.

- Winna? Miram? Przecież to kompletna idiotka!

- Nigdy by jej nie schwytali, gdybym ja nie czekała na Willa. Tamra trawi to, taksuje mnie wzrokiem.

- Posłuchaj - mówię - wybierzmy się do ich bazy, sprawdźmy ją... i wtedy zobaczymy. - Przygryzam wargę w nadziei, że siostra nie

potrafi czytać w moich myślach. Ze gdy tylko ujrzę siedzibę enkronów, wejdę tam. I nic mnie nie powstrzyma. Uwolnię Miram... i może przy okazji zrobię małą demolkę. Na myśl o tym krew się we mnie rozgrzewa, czuję się silniejsza, wzmocniona. Wyobrażenie o planowaniu całej operacji dodaje mi stanowczości i pewności siebie.

- Dobrze - zgadza się, ale w jej głosie słychać wyraźne wahanie, pojawiające się tam, ilekroć wciągałam ją w intrygi, w których właściwie nie chciała uczestniczyć.

- Mama zostawiła liścik - oznajmiam, szczęśliwa, że mogę przekazać jej jakieś dobre wiadomości.

Oczy Tamry się rozświetlają.

- Gdzie? Co napisała?

- Zniszczyłam go. Nie chciałam, żeby ktokolwiek to znalazł, ale napisała w nim „przypomnij sobie palmę”.

- „Przypomnij sobie palmę”? O co chodzi? Ogarnia mnie rozczarowanie. Tamra też nic nie pamięta.

- Nie wiem, ale najwyraźniej uznała, że to coś dla nas znaczy. Jestem pewna, że to rozgryziemy.

- Tak - kiwa głową, a w jej głosie nie ma już tyle bólu, jest silniejszy. Ja też czuję znaczną ulgę, że mama zostawiła jakąś wskazówkę, tratwę ratunkową pośród wzburzonego morza. Coś, czego możemy się uchwycić. Tamra nie odrywa ode mnie spokojnych oczu. - Kiedy uciekamy?

- Umówiłam się z Willem za trzy dni.

- Trzy dni - mamrocze, najwyraźniej rozczarowana. - I zanim wyruszymy na poszukiwania mamy, musimy znaleźć Miram i przyprowadzić ją tu? Naprawdę wystawimy mamę do wiatru? Dla dziewczuchy, której nawet nie lubimy?

- No cóż, i tak nie wiemy jeszcze, co oznacza list mamy. Nie wiemy, dokąd pojechać. A mama na pewno wie, że nieprędko uda nam się stąd wymknąć. Będzie na nas cierpliwie czekać. Oczy Tamry się zwięzają.

- A więc jeszcze przez trzy dni będziesz żyła z Cassia-nem? - oskarżycielski ton jej głosu rani mnie. Zupełnie, jakbym działała umyślnie. Jakby to było coś, czego pragnę. To jej pierwsza uwaga na temat Cassiana. Niezręcznie jest rozmawiać o chłopaku, za którym Tamra szalała całe życie - a który teraz związał się ze mną.

Przypomina mi się chłód noży na mych skrzydłach.

Wspomnienie odbija się we mnie echem i czuję smak strachu, jakbym znowu klęczała na drewnianym bloku. Czy ona o tym zapomniała? - Musi chyba być miło - kącik jej ust unosi się, gdy to mówi. - To nie tak... - Zwilżam wargi. - To nie tak, jak myślisz. Siostra przygląda mi się badawczo, a ja skubię brzeg skotłowanej pościeli, zastanawiając się nad ważnym doborem słów. W jej oczach wyraźnie odczytuję pytanie: *Więc w takim razie jak jest?*

- On nie... my nie zrobiliśmy niczego... nieodwracalnego.

Tamra wykrzywia usta. - Nie? Myślałam, że on aż się rwie, żeby...

- Tak, owszem, ale ja nie. - Ja nie pragnę nikogo oprócz Willa.

- Pewnie. Wiem, co myśli. Dlaczego jej głos ma tę szyderczą nutę. Pamięta, jak nas zaskoczyła. Jak blisko staliśmy. Rękę Cassiana na moim policzku. A przecież Tamra nawet nie wie, że my naprawdę się całowaliśmy. Oblewa mnie gorąca fala poczucia winy. Krzyżuję ręce na piersi.

- On śpi w jednym pokoju, a ja w drugim, i tak pozostanie do czasu, aż stąd uciekniemy. Odwraca wzrok i wpatruje się w porośnięty bluszczem mur za oknem. Niezbyt rozległy widok.

- Jak miniemy strażnika na warcie?

Nad tym się jeszcze nie zastanawiałam. Za bardzo pochłaniało mnie rozmyślanie, czy Tamra zgodzi się uciec ze mną, czy nie. Zaraz jednak wpadam na pewien pomysł.

- Odwrócimy jego uwagę - mówię pod nosem.
- Tak? Czym?
- Nie czym. Tylko kim.

ROZDZIAŁ 26

Śmiech Az unosi się w powietrzu jak cichy brzęk dzwoneczków. Tamra i ja czekamy w napięciu. Przyczajone w kucki ukrywamy się za domem Nidii.

Nagła cisza skłania nas do ruszenia się z miejsca. Razem wychylamy się zza narożnika domu. No i rzeczywiście, Az całuje się z piętnastoletnim Remym, a chłopak przylgnął do niej jak magnes. Przytulają tak mocno, jakby się obawiał, że starsza od niego dziewczyna mogłaby wyparować z jego ramion.

Z plecakami na ramieniu przekradamy się cichcem obok nich i mijamy bramę. Zerkam przez ramię. Az nas obserwuje. Jej szeroko otwarte oczy ponaglają nas, chociaż wiem, że nasze odejście napawają smutkiem.

Machnąwszy jej na pożegnanie, przyśpieszam kroku. Z ust wydobywają mi się gorące smużki pary. Lada chwila spodziewam się alarmu i chmary dragonów, która ruszy za nami w pościg.

W takiej sytuacji mogłabym się spodziewać najgorszej kary. Wątpię, czy skończyłoby się na podcięciu skrzydeł. Gniew Severina byłby dodatkowo spotęgowany tym, że zabieram ze sobą Tamrę... i zostawiam stado bez następczyni kamuflonki.

Wszyscy - a zwłaszcza Severin - dowiedzieliby się, że nie dopełniłam godów z Cassianem. Corbin nie omieszkałby tego wytknąć. Dygoczę i rzucam okiem na siostrę.

Odpowiada mi spojrzeniem i blado się uśmiecha, gdy zgodnie okrążamy powalone drzewo. Ta komitywa to wspaniałe uczucie. Szkoda tylko, że połączyła nas tak trudna sytuacja.

Nasze stopy cicho tupoczą po wilgotnej ziemi. Przedzieramy się przez pożywną mgłę, gąszcz drzew, które tak dobrze znamy. Wyrywam się do przodu, przed Tamrę. Chcę jak najszybciej zostawić za sobą osadę i nie mogę doczekać się spotkania z Willem.

Najpierw go wyczuwam.

Jeszcze zanim wychodzę zza drzew, wiem, że tam jest. Odczytuje to z mrowienia mojej skóry, nagłego żaru podchodzącego mi do gardła.

A potem go widzę.

Przystaję, mocno zdyszana. Pożeram go wzrokiem. Odwraca się i patrzy na mnie. Jest całkowicie zaskoczony.

Nie spodziewał się, że mnie zobaczy. Ale przyszedł - wypchany plecak, zapal na twarzy i błyszczące oczy mówią mu wszystko, czego potrzebuje.

Trudno powiedzieć, kto wykonuje pierwszy ruch. Po chwili padamy sobie w ramiona, usta łączą się, stapiają w gorącym pocałunku. Nasze dłonie przesuwają się, odkrywają wszystko od nowa, zupełnie jakbyśmy wzajemnie sprawdzali, czy to drugie jest naprawdę istotą z krwi i kości. Jego palce wplatają się w kosmyki moich włosów, a ja całuję go mocniej, przygryzam zębami jego wargę.

Cicho mruczy, a ten dźwięk przeszywa mnie, zniewala. Sprawia, że zapominam o wszystkim i myślę tylko o tym jednym: o jego ustach złączonych z moimi.

Tamra odchrząkuje. Will odrywa się ode mnie i zasłania własnym ciałem. Uśmiecham się, ten ochronny gest, chociaż niepotrzebny, napełnia mnie czułością.

Chwytam go za ramię.

- W porządku. Tamra zabiera się z nami.

- Tamra? Kiwam głową.

- Tak. Wszystko ci potem wyjaśnię. A teraz jedźmy. Zanim zauważą, że uciekłyśmy.

Skinąwszy głową, Will bierze mnie za rękę i rusza w stronę land rovera.

- Nie mów mi, że to jest ten twój człowiek. Ten sam, którego zamroczyła Nidia?

Na dźwięk tego głosu staję jak wryta.

Powoli się odwracając, wypuszczam dłoń Willa i staram się zapanować nad sobą.

Buzuje we mnie ogień, tymczasem spomiędzy drzew wyłania się Corbin. Na jego twarzy nie widać uśmiechu, ale w oczach błyszczą satysfakcja.

- Wiedziałem, że popełnisz jakiś błąd. I że przy tym będę. - Rzuca okiem na Willa. - A więc to dlatego nie zwracasz uwagi na nas, marne dragony.

-Jacinda? - Tamra wypowiada moje imię niepewnie, z popłochem w oczach.

Uciszam ją machnięciem ręki. Nie odrywając wzroku od Corbina, z goryczą uświadamiam sobie, co oznacza jego obecność tutaj. Co będę musiała zrobić, by zapewnić nam bezpieczną ucieczkę. Zaciskam ręce i mówię:

- Nie powinieneś był nas śledzić.

- Wręcz przeciwnie. Okazuje się, że powinienem. Mój wujek nagrodzi mnie za udaremnienie ucieczki ognioziejki i

kamuflonki. - Nozdrza Corbina pulsują, a jego purpurowo-czarne spojrzenie przeszywa mnie na wskroś.

- Nawet Cassian nie zdoła cię teraz uratować. Już nie należysz do niego. Jesteś moja. Mówiłem, że tak będzie.

W powietrzu rozlega się głos Willa i nie słychać w nim ani cienia wahania.

- Dotknij jej, a cię zabiję - pomruk ten jest równie drapieżny i mroczny, jak wtedy gdy po raz pierwszy usłyszałam go przed kilkoma miesiącami.

To w zasadzie niedorzeczność, żeby człowiek mógł pokonać tak mocnego onyksa jak Corbin. Zaraz jednak przypominam sobie, że Will nie jest przeciętnym człowiekiem, lecz kimś więcej... z kim należy się liczyć.

Corbin posyła Willowi ostre spojrzenie, a na jego twarzy malują się bezwzględność i nienawiść do odwiecznego wroga. Ludzka powłoka błyskawicznie znika. Dragon jednym szarpnięciem zrzuca koszulę, odsłaniając antracytowe muskularne ciało, i odbija się od ziemi. Will, gotowy do starcia, przyjmuje bojową pozę, ale ja wskakuję przed niego i wypuszczam z siebie budzący się we mnie żar. Jeszcze nie zdążyłam się przemienić, więc nie jest to płomień tylko gorąca para. Mój trud okazuje się jednak daremny. Corbin robi unik i przelatuje nade mną, zanim udaje mi się za nim odwrócić. Głośno krzyczę, gdy mocno kopie mnie w plecy. Upadam na ziemię. Uderzenie jest brutalne i o mało co nie tracę zębów. Kaszlę, pluję błotem i krwią. Tamra rzuca się w moją stronę, przykuca obok i pomaga mi się podnieść. W powietrzu rozlega się ryk, na dźwięk którego żołądek podchodzi mi do gardła. Widzę, jak Will podskakuje dostatecznie wysoko, by złapać Corbina za nogę i zrzucić go na ziemię. Corbin klnie, bije skrzydłami, usiłując ponownie wzbić się coraz wyżej, ale Will nie ustępuje i z całej siły ściąga-

go w dół. Uderzają o ziemię w dzikiej płataninie kończyn i trzepoczących skrzydeł.

Will siada okrakiem na Corbinie i zaczyna okładać go pięściami, miotając cios za ciosem. W powietrzu rozlega się przyprawiający o dreszcze gruchot kości. Obserwując ich, zapominam o bólu w szczęce. Czuję tylko okrutny ucisk w sercu. W mojej piersi wzbiera żar i podchodzi do gardła.

Corbin zwija się z bólu, a po chwili kotłują się z Willem w tak dzikiej szamotaninie, że wydają się jednym miotającym się ciałem.

W końcu onyks się wyrywa i wzbija w powietrze. Z rozbitego nosa cieknie mu krew, a błyszczące oczy są wcieleniem zła. Krąży nad Willem jak jastrząb, gotów rozdziobać ofiarę na drobniutkie kawałeczki.

Will przyczaja się, zbiera się w sobie. Nawet teraz wyraz jego twarzy jest w swej intensywności piękny i serce ściska mi się z bólu.

Corbin rozcapierza swe szponiaste palce, przygotowując się do natarcia. Jego pazury połyskują jak noże. To poza zabójcy.

- Will! - krzyczę ostrzegawczo.

Czarny onyks spada na niego z nienacka. Dźga i przywiera do przeciwnika.

Will krzyczy, chwytając się za ramię. Stamtąd, gdzie przycupnęliśmy z Tamrą, dostrzegam kilka głębokich ran. Spod palców wypływają purpurowe strugi krwi... które zdradzają wszystko.

Corbin też to widzi i prycha w naszym narzeczu:

- Ilu dragonów zabiłeś, łowco, skoro w twoich żyłach płynie nasza krew?

- Corbin, nie! - wołam.

-Zamknij się, Jacindo, tylko patrz, jak wytoczę z niego całą naszą krew!

Gardło mi się ściska, nasycam się zębami. Moja skóra skwierczy i poddaję się instynktownej przemianie. Teraz górę bierze moja dragonka.

Odskakuję od Tamry, zdzieram z siebie bluzkę. Rozwijam skrzydła i rzucam się na Corbina, który zamierza się, by wbić szpony w gardło Willa. Bolesny ucisk w sercu mówi mi jednak, że nie zdążę.

W mojej krtani nabrzmiwa krzyk pomieszany z ogniem i parą. Szpony rozwierają się, miotają i chwytają jedynie powietrze. Jednak w chwili gdy Corbin ma zadać decydujący cios, Will unosi rękę i ściąga na niego spadającą z łoskotem ścianę błota. Ogromna fala czarnej gleby, gałązek i wyrwanej trawy - niemalże tak wysoka jak otaczające nas drzewa - odrzuca Corbina do tyłu, obraca nim kilkakrotnie w powietrzu i ciska o ziemię z przytłaczającą siłą. Z trudem łapiąc oddech, przykucam i osłaniam rękami głowę, by ochronić się przed spadającym błotem. Tamra nieopodal robi to samo. Nie jesteśmy bezpośrednio na drodze tego gradu, ale mimo to trafiają w nas jego okruchy. Marszcząc oczy wśród pyłu, dostrzegam Willa i napotykam jego wzrok, w którym odczytuję takie samo zaskoczenie jak we własnych myślach.

- Uważaj! - krzyczy Tamra.

Corbin się podnosi. Z rany na głowie cieknie mu krew. Lekko jej dotyka i bada palcami. Na widok ewidentnych śladów stłuczenia jego twarz przybiera okrutny wyraz. Onyks z rykiem znów wzbija się w powietrze.

Zanim Will ma okazję ponownie zrobić... cokolwiek to było, przed oczami śmiga mi drugi czarny cień. Jest tak szybki, że początkowo uznaję to za kolejną falę błota miotaną przez Willa.

Nie odrywam wzroku i gwałtownie obracając głowę, namierzam ten kształt. Cassian.

Z impetem uderza w Corbina i przygniata go do ziemi.

Mocują się ze sobą. Starożytnie istoty, piękne i dzikie w swych dragońskich wcieleniach, całe w czerni z trzepoczącymi twardymi skrzydłami.

Corbin, stękając, miota szponami. Ślina cieknie mu z ust, gdy usiłuje wbić pazury w krtań kuzyna. Wstrzymuję oddech i mogę tylko patrzeć.

Wszystko dzieje się tak szybko. Ułamki sekundy... Zamieram w bezruchu.

Cassian wyciąga rękę i chwytą wielki kamień. Gwałtownie wciągając powietrze, gdy opuszcza go w dół - z przemożną siłą uderzając nim w głowę przeciwnika.

Corbin nieruchomieje, a jego głowa przechyla się na bok.

Robię niepewny krok do przodu.

- Czy on... czy ty...

Cieężko dysząc, Cassian z pulsującymi nozdrzami zerka na mnie przez ramię.

- Nie. Wkrótce odzyska przytomność.

Podnosi się jednym płynnym ruchem. Jego skrzydła są jak wielkie żagle. Patrząc na niego, uświadamiam sobie, że w skórze dragona czuje się naturalniej, swobodniej niż w ludzkim wcieleniu. Przez pewien czas miałam takie same odczucia. Teraz już nie wiem, co wolę. Czym jestem bardziej - dragonką czy człowiekiem.

- Jacindo - odzywa się Will i staje obok mnie. Wyciągam rękę i otaczam go ramieniem. Spoglądam znacząco na Cassiana i w ten sposób wyrażam wszystko. Mój gest mówi sam za siebie.

Cassian patrzy na nas oboje, a ja wytrzymuję jego wzrok, skupiając uwagę na tym, by nic, co on czuje, nie wniknęło do

mego wnętrza i nie wywarło na mnie wpływu. Mimo to wyłapuję okruchy jego emocji. Złość. Smutek. Zal.

Na usta ciśnie mi się słowo „przepraszam”, ale nie mogę pozwolić, by się wyrwało. Nie mogę przepraszać za to, co czuję do Willa.

- Uciekasz - oznajmia swym szorstkim, gardłowym głosem. W mgnieniu oka przemieniam się i z powrotem przybieram ludzką postać. -Tak.

Tamra pomaga mi ubrać się w poszarpaną bluzkę.

Nie odrywając ode mnie wzroku, Cassian idzie za moim przykładem, przemienia się i teraz stoi przede mną tylko w podartych dzinsach. Zerka na Tamrę.

- Ona też ucieka?

-Ja tutaj jestem! - prycha moja bliźniaczka. - Nie musisz mówić o mnie w taki sposób, jakby mnie tu nie było.

Podążam za jego spojrzeniem. Tamra piorunuje Cassiana wzrokiem, a jej oczy iskrzą jak odłamki lodu... i mam wrażenie, że to może być naprawdę koniec jej zauroczenia nim.

- Opuścisz stado? - rzuca Cassian, nie wiadomo do kogo kierując to pytanie.

- Po tym wszystkim, co się stało? - Macham ręką.

- Dlaczego miałabym zostać?

- Bo istnieją rzeczy większe i ważniejsze niż twoje pragnienia - wyjaśnia, wymownie spoglądając na Willa.

- Kto jak kto, ale ty akurat nie powinieneś mówić o rezygnowaniu z pragnień - głos Tamry jest pełen jadu.

- Chciałeś mieć Jacindę i dopiąłeś swego. Nie zrobiłeś tego dla stada. Tylko dla siebie i nikogo innego.

- O czym ona mówi? - grzmi obok mnie Will, a jego dłoń zaciska się na mojej.

- Czy naprawdę musimy wałkować to teraz? - Posyłam im gniewne spojrzenie i wskazuję na Corbina. - On może się ocknąć w każdej chwili. Jesteśmy tak blisko stada.

W szczerce Willa drga mięsień. Nadal piorunując wzrokiem rywala, pociąga mnie w stronę samochodu.

- Masz rację. Wynośmy się stąd.

- Uciekaj, Jacindo. Jesteś w tym dobra - rzuca za mną Cassian.

Will u mojego boku spina się, ale to Tamra nie wytrzymuje napięcia. Odwraca się i kipiąc ze złości, woła:

- Lepiej się tak nie wymądrzaj! Chcesz wiedzieć, dokąd jedziemy? Chociaż możesz być pewny, że nikt z nas nie ma na to ochoty. Jedziemy ratować twoją smarkatą siostrę, która szpiegując Jacindę, dochrapała się tylko tego, na co zasłużyła.

- Miram? - Cassian przeszywa mnie wzrokiem. - To prawda?

Uratujecie Miram? - Spogląda na Willa. - Więc ona żyje?

Will milczy przez dłuższą chwilę, a ja wstrzymuję oddech.

- Tak, żyje - odpowiada w końcu.

W oczach Cassiana przemyka mała iskierka, której niedawno tam jeszcze nie było. Wyczuwam jego ulgę.

- W takim razie jadę z wami.

- Co? - rzuca Tamra, idąc w ślad za nim w stronę samochodu. -

Nie ma mowy!

- To moja siostra - zauważa Cassian, a w jego głosie słychać napięcie. Jego usta prawie się nie poruszają.

Tamra posyła bezradne spojrzenie mnie i Willowi, a jej oczy wyraźnie błagają: *Nie pozwólcie mu z nami jechać.*

- To będzie niebezpieczne - ostrzegam. - Jacindo! - syczy Tamra.

Cassian patrzy na mnie, a ja uświadamiam sobie, że ryzyko go nie odstraszy.

Odwracam się i zerkam badawczo na Willa. Czekam, aż podejmie decyzję. To on prowadzi tę misję. Kciukiem zataczam małe kręgi po wewnętrznej stronie jego nadgarstka. Will raz ściska mnie za rękę, a potem rusza przed siebie, prowadząc mnie na fotel pasażera.

- Lepiej zabierajmy się stąd.

Ponuro skinąwszy głową, Cassian wsiada na tylne siedzenie land rovera.

Tamra mamrocze coś pod nosem, ale też tam wskakuje, starając się usadowić jak najdalej od niego.

Will uruchamia silnik. Wyjeżdżając z polany, kładzie rękę na mojej dłoni. Splatam z nim place i widzę smugi purpurowej krwi na jego kostkach. Nie wiem, czy to krew jego czy Corbina, ale na jej widok ściska mi się serce.

Odrywam wzrok od plam krwi i patrzę na twarz Willa, te oczy pełne migotliwego światła i niezbadanych głębin. I mówię sobie, że tak powinno być. Will. Ja. My wyruszający razem w tę podróż. Za chwilę zjeżdżamy serpentynami coraz niżej, czworo najbardziej nieprawdopodobnych towarzyszy wyprawy przebijających się przez rzednącą mgłę... Gdy mkniemy ku dolinom, ochronna kurtyna Nidii ulatnia się z każdą chwilą. Byle dalej od stada.

ROZDZIAŁ 27

Kiedy ostatnio opuszczałam stado, ucieczka była tylko aktem rozpaczony w przekonaniu, że nigdy już nie będę w pełni sobą. Ze bez stada będę niczym. To nie ja uciekałam, tylko mama zabierała mnie stąd.

Tym razem jest inaczej. Teraz to ja uciekam. Dobrowolnie. Tak szybko, jak tylko potrafię. Poza stadem jestem wolna. Jestem w pełni sobą, czego nie odczuwałam przez wiele minionych tygodni. Serce przepęłnia mi nadzieja.

Will trzyma mnie za rękę. Cassian i Tamra milczą na tylnym siedzeniu. Pomiędzy nami wisi napięcie gęste jak mgła, z której właśnie wyjechaliśmy.

Wyczuwam emocje Cassiana. Emanuje z niego ciężka, gniewna determinacja. Miesza się ona z moimi lżejszymi uczuciami i to na nich staram się skoncentrować, usilnie odpychając od siebie uczuciowe wibracje Cassiana.

Spoglądam na rękę Willa otulającą moją dłoń. Taka silna. Pamiętam osłupienie Corbina na widok tej siły i oswajam się z nią. Jej dowód widziałam już wcześniej. Will nie poddał się, gdy walczył z Cassianem na Big Rock. Wtedy uznałam, że jest po prostu dobrze wytreno-

wany, teraz jednak nie jestem już taka pewna. Zwłaszcza po tym, co zrobił z ziemią.

Czy to możliwe, że przez transfuzje Will nabył różnych umiejętności moich pobratymców? Siłę onyksa i geodragońską zdolność manipulowania glebą? Może to zbyt nieprawdopodobne, ale wiem, co widziałam. Poruszył ziemią. Zupełnie jak geodragon. Nie wymyśliłam sobie tego.

Tamra też to widziała. To wszystko ma jakiś związek z krwią. Musi. Bo jakie może być inne wytłumaczenie? Jest odporny na zamraczanie przez kamuflony, niezwykle silny, posiada zdolność manipulowania glebą... Więcej niż może zdziałać pojedynczy dragon.

Zaczynam się zastanawiać, co jeszcze w nim drzemie? W tej jego krwi?

Chcę z nim o tym porozmawiać, ale dopiero wtedy, gdy będziemy sami. Wiedząc, co czuje Cassian, nie zamierzam wysuwać głośnych podejrzeń, że transfuzje dały Willowi coś więcej niż tylko szansę na nowe życie.

Rozmyślałam o tym w dłużej się cisz.

Rozmowa rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy Cassian zadaje pytanie: - Ile czasu potrwa, zanim tam dotrzemy?

- To zależy od tego, czy pojedziemy prosto tam - odpowiada Will.

-Jedziemy prosto tam - kwituje bezbarwnie Cassian.

Zerkam na Willa i zauważam ruch ścięgnię na naprężonym policzku. Lekko ściskam jego palce, prosząc o cierpliwość. Przed nami przygoda, która i tak będzie wystarczająco trudna.

Powinniśmy starać się jakoś dogadywać.

Tamra prychnie i mamrocze pod nosem:

-Jak zawsze, nic tylko rozkazuje.

Rzucam na nią okiem. Siedzi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, przytulona do drzwi, by w ograniczo-

nej przestrzeni samochodu trzymać się jak najdalej od Cassiana. Odwracam się znów do przodu i powoli wzdycham.

To będzie długa podróż.

Jedziemy kilka godzin, zatrzymując się jedynie, by zatankować benzynę i coś zjeść. Niespokojnie drzemię na przednim siedzeniu, w półśnie migają mi przed oczami przydymione, straszne obrazy.

Znów jestem w vanie. Razem z Miram. Ciasnota, upał, brak powietrza, moje udręczone ciało domaga się odpoczynku. Jęki dławia Miram, pełznę ku niej na czworakach. Ale gdy dotykam jej ramienia i odwracam na plecy, okazuje się, że to nie ona.

Tylko tato.

Ma szkliste oczy wpatrzone w pustkę. Niezależnie od tego, jak do niego przemawiam i nim potrząsam, nie odzyskuje świadomości. Po prostu leży jak zimny głaz.

Wyrywam się ze snu, gwałtownie chwytam powietrze.

Will ściska mnie za rękę.

- Dobrze się czujesz?

Otrząsam się z resztek snu i kiwam głową, nie umiając ukryć, jak bardzo ten sen mną wstrząsnął. Rozglądam się i zauważam, że się zatrzymaliśmy. Will stoi na zewnątrz i pochyla się nade mną.

- G... gdzie jesteśmy? Co robimy?

- Zatrzymujemy się na noc - wyjaśnia Will. Wyteżam wzrok w ciemności i zauważam kontur postaci Cassiana. - Chodź.

Wyrzebuję się z samochodu. Will bierze mnie za rękę. Tamra zatrząskuje drzwiami i ciasniej opatula się kurtką.

- Zimno.

- Mam koce, możemy też rozpalić ognisko.

Chłód nocy przeszywa mnie dreszczem. Tutaj jest zimniej.

Wyczuwam spadek temperatury nawet w porównaniu z miejscem kilkaset kilometrów wcześniej, gdzie robiliśmy ostatni postój. W

oddali na czarnym niebie rysują się purpurą poszarpane granie wysokich gór.

Tamra chucha w dłonie.

- Czy nie możemy zatrzymać się w czymś, co ma dach i cztery ściany?

- Dopóki wystarczająco nie oddalimy się od stada, nie powinniśmy rzucać się w oczy, więc trzeba unikać publicznych miejsc.

Odwracam się, słysząc głęboki głos Cassiana. Jego oczy szklą się czernią w mroku. Jak zwykle nieprzeniknione, tyle że ja w przeciwieństwie do innych potrafię w nich czytać. Czuję jego gniew. I bezsilność.

- On ma rację. - Will kiwa głową i naraz uderza mnie myśl, że oni w czymś potrafią się ze sobą zgodzić. - Rozbijmy tu obóz.

- Nazbieram drewna na ognisko. - Cassian znika w lesie, a ja wiem, że tego potrzebuje. Chce pobyć sam. Z dala od widoku mnie w towarzystwie Willa.

Tamra i ja pomagamy Willowi rozesać koce na ziemi i ułożyć kamienie w krąg pod ognisko. Will na chwilę znika w ciemności i przynosi z samochodu torbę pełną przekąsek, które po drodze kupiliśmy na stacji benzynowej. Tamra wyjmuje paczkę chipsów i rzuca na koc.

Wraca Cassian, ja tymczasem wybieram koc, na którym mogę usiąść, i przyglądam się, jak chłopaki razem przygotowują ognisko. I znów odnoszę dziwne wrażenie, widząc, jak obaj pracują ramię w ramię i nie próbują się pozabijać. Napawa mnie to nadzieją. Nadzieją, że jakoś się zgramy i że wszystko będzie dobrze.

Niełatwo im wzniecić ogień. Zajmuje to trochę czasu. Podchodzę bliżej, nachylam się nad garstką dławiących się płomyków i wypuszczam z siebie dość gorącej pary, by ognisko rozpało się na dobre i buchnęło silnym płomieniem. Will i Cassian odskakują do tyłu.

Tamra parska śmiechem i przysuwa się bliżej, wyciągając dłonie.

- Fajnie. Myślałam już, że zajmie im to pół nocy.

- Szpanerka - mruczy pod nosem Will, otaczając mnie ramieniem. W jego objęciach chłód ustępuje. Siadamy na kocu. Cassian z szelestem przeszukuje torbę z prowiantem. Obserwuję go kątem oka i wyczuwam jego skrepowanie. Wybiera butelkę soku i znika wśród drzew. Częściowo czuję się winna i mam wrażenie, że powinnam pójść za nim i spróbować złagodzić to jego zakłopotanie. Niezależnie od tego, czy nasz związek jest fikcyjny, czy nie, Cassianowi na pewno nielekką przychodzi oglądanie mnie z Willem.

Ale zbyt długo byłam daleko od Willa. Nie chcę się ruszać, nie chcę opuszczać przytulnej przystani jego ramion. Jeszcze nie. Nigdy.

- Zjedzmy coś. - Will wyciąga rękę i wybiera pakunek dla nas. - Co bierzemy? Chrupki czy batoniki?

Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam niezdrowe jedzenie. Chyba w Chaparral. Chwytam paczkę batoników.

- Wiedziałem, że to wybierzesz.

- Dlaczego?

Muska wargami moje usta.

- Słodczyce dla słodziaka.

Will otula mnie kocem i przyciąga bliżej do siebie. Dzielimy się jedzeniem i obserwujemy szare obłoki płynące po nocnym niebie. Piję truskawkową oranżadę, aż łaskocze mnie w nosie.

- To chyba ta randka, której nigdy nie udało nam się zorganizować - mruczy Will. Na policzku czuję ciepło jego oddechu.

Uśmiecham się, przypominając sobie, że nasza pierwsza oficjalna randka została przerwana przez Xandra i jego kuzynów.

- No cóż, nie jest to wprawdzie ta mała grecka restauracja, którą mi obiecałeś, ale jak na randkę, to całkiem dobrze się bawię.

- Truskawkowa oranżada, batoniki, chrupki. Zaslugujesz na coś lepszego.

Tamra wydaje z siebie jęk i wstaje, zabierając swój koc i jedzenie.

- Idę spać do samochodu. Nie przeżyję nocy, słuchając waszej słodkiej szczebiotaniny. - Odchodząc w kierunku land rovera, macha do mnie ręką i wiem, że nie jest naprawdę zła. Po prostu daje nam możliwość pobycia sam na sam.

Przez kilka chwil milczymy wtuleni w siebie i wpatrzeni w noc.

- Kiedyś będziemy je mieć, Jacindo.

Odwracam głowę, niemalże zderzając się z nim nosem. -Co?

- Normalne randki. Uśmiecham się.

- Will, ja nie tęsknię za normalnością. Po prostu chcę, żebyśmy byli razem. Bezpieczni. Szczęśliwi.

Przeczesuje dłonią włosy.

- Będziemy.

Będziemy. Gdy już dotrzemy do bazy enkronów i uwolnimy Miram. Gdy odnajdziemy mamę. Odprężam się, uwalniam się od tych myśli i pozwalam im odpłynąć jak obłoki dryfujące nad nami. Will delikatnie bawi się moimi włosami. Jego dotyk mnie usypia.

- Damy radę. Wprowadzę nas tam i wyprowadzę. Znam enkrony. Wiem, że powinnam poprosić go, by powiedział mi o nich więcej, udzielił dokładniejszych wyjaśnień na temat wrogów, którym stawimy czoła. Wiem, że powinnam powiedzieć mu o godach z Cassianem, ale moje powieki stają się coraz cięższe, chociaż próbuję ich nie zamykać. Ostatnią rzeczą, jaką widzę przed zaśnięciem, jest twarz Willa, jego szeroko otwarte oczy wpatrzone w noc.

Budzi mnie dreszcz - nie wiem, czy mój, czy Willa. Leżymy spleceni w objęciach, trudno stwierdzić, gdzie jedno z nas się kończy, a drugie zaczyna. Wypełzam z tego ciepłego kokonu i chuchnięciem rozpalam przygaśnięte ognisko. Przycupnąwszy przy nim, rozglądam się po naszym małym obozowisku i zauważam, że jesteśmy z Willem sami.

Wstaję, podchodzę do samochodu i na tylnym siedzeniu widzę siostrę z kocem podciągniętym aż pod brodę. Ani śladu Cassiana. Noc ma szaroniebieską barwę. Wkrótce nastanie świt. Czy Cassian przez całą noc trzymał się na uboczu?

Marszcząc brwi, ruszam w stronę, w którą poszedł. Leśna gęstwina natychmiast mnie wchłania. Nie boję się jednak. Ani łona natury, ani samotnego obcowania z nią. Zamaszystym krokiem przemierzam las, wilgotne poszycie usłane jest dywanem z sosnowych igieł. Pod butami trzeszczą gałązki, a ich chrzęst nabiera rytmu.

Gdy przedzieram się przez gąszcz drzew, idę bezmyślnie, ale kierunek mam obrany, wytyczony gdzieś głęboko w mej podświadomości. Wyczuwam Cassiana. Wiedziona instynktem, wiem, że jest gdzieś w pobliżu. W oddali rozlega się cichy pomruk grzmotu.

Delikatny trzask. Dookoła jest tak wiele odgłosów, że nie zwracam na niego uwagi. Las to cała gama dźwięków. Potem jednak się powtarza.

Nie zatrzymując się, nasłuchuję, przechyliwszy głowę. Chrząst gałęzi i liści pod jakimś większym ciężarem. To nie jest małe zwierzę. Nie wiewiórka biegnąca przez zarośla. Ani Cassian. Drży mi ciało na karku. Zatrzymuję się, wstrzymuję oddech i skanuję upiorne sylwetki drzew wokół mnie. Wypuszczam powietrze trzymane w płucach, przykucam, kulę się jak tylko mogę.

Wbijam palce w glebę, gotowa odepchnąć się, by w razie konieczności wziąć nogi za pas. W kościach narasta znajome parcie, skóra się napina, mrowi, chcąc zniknąć i ustąpić miejsca dragońskiej powłoce.

Odgłos nasila się. Ciężkie stąpanie wśród listowia.

Nieruchoma i skulona wtapiam się w krajobraz. Wreszcie dostrzegam źródło hałasu.

Pomiędzy drzewami człapie okazały niedźwiedź. Jego wilgotny nos węszy tuż przy ziemi. Stworzenie unosi błyszczący czarny łeb, nadstawia uszu i poruszając nozdrzami, wącha powietrze.

Wyczuwa mnie.

Potężny miś wykonuje kilka gniewnych kroków w moją stronę. Wstaję, wytrzymuję jego spojrzenie i pozwalam mu rozpoznać zwierzę we mnie... wyczuć, że jestem istotą podobną do niego, gotową do podjęcia walki. Pochyla łeb, szykuje się do natarcia. Przez chwilę nie odrywamy od siebie oczu. W całym moim ciele mocno buzuje adrenalina.

Nagle rozlega się inny dźwięk. Spomiędzy drzew wypada Cassian. Z moim imieniem na ustach dociera do mnie i chwytam dłoń. Z jego piersi wydobywa się dudniący pomruk. Jeden rzut oka na jego twarz wystarcza mi, by

się zorientować, że jest na wpół przemieniony. Pionowe szpary źrenic dragońskich oczu złowrogo pulsują. Jego naturalna siła wnika we mnie, sprawia, że czuję się mocniejsza. Razem stawiamy czoła niedźwiedziowi.

Mija chwila, podczas której zwierzę nadal taksuje nas wzrokiem. Mruczy i przymyka ciemne, inteligentne oczy. Odwraca się i rusza dalej przed siebie w poszukiwaniu ciekawszego materiału. Oddycham z ulgą, przyglądając się oddalającemu się drapieżnikowi. Podziwiam pulsowanie mięśni ukrytych pod grubą sierścią i cieszę się, że żadne z nas nie musiało zranić tego pięknego zwierzęcia.

Zerkam z uśmiechem na Cassiana. I wtedy dostrzegam Willa. Stoi za nami, patrząc na nas wzrokiem, jakiego nigdy u niego nie widziałam. Na jego twarzy maluje się zwątpienie. Niepewność. Ból.

Wyrywam rękę z dłoni Cassiana i wycieram ją o udo, jakbym chciała zetrzeć z niej jego dotyk.

- Will... - cichnę, zanim zdąży wyrwać mi się z ust pytanie, jak długo tam stał, obserwując nas. Zabrzmiałoby to tak, jakbym czuła się winna, a przecież nie zrobiłam niczego złego. Niczego poza przemilczeniem prawdy.

Will wskazuje palcem na Cassiana.

- Skąd wiedziałeś, że wpakowała się w kłopoty? Byłeś przy ognisku zaledwie przez pięć sekund, a chwilę później pobiegłeś, krzycząc, że Jacinda jest w tarapatach... Wiedziałeś. Skąd?

Mój wzrok wędruje tam i z powrotem między Willem a Cassianem. Ten ostatni patrzy na mnie i niemo daje mi do zrozumienia, że wyjaśnienie tego należy do mnie.

- Jacindo? - Will znacząco wymawia moje imię w oczekiwaniu na odpowiedź. Na tę prawdę, której tak bardzo chciałabym odmówić istnienia.

Zamykam oczy, wciągam do płuc powietrze. Wiedziałam, że kiedyś będę musiała powiedzieć mu o tym, co zaszło.

- Gdy wróciłam do stada, coś się wydarzyło.

W oczach Willa migocze nieufność i mam wrażenie, że on chyba dobrze wie, co powiem. Albo że przynajmniej czuje, że mu się to nie spodoba.

- Co?

- Postanowili podciąć mi skrzydła. W jego szczęce drga ścięgno.

- Czy zrobili ci krzywdę? Kręcę głową.

- Nie, ale mama protestowała i skazali ją na banicję.

- I co jeszcze? - ponagla, wiedząc, że jest coś więcej. Ze pominęłam najtrudniejszą kwestię. - Jak to się stało, że nie doprowadzili tego do końca i nie podcięli ci skrzydeł?

Wyrzucam to siebie, uznawszy, że im szybciej to powiem, tym lepiej. Tym mniej zaboli.

- Zmienili zdanie, gdy Cassian zaproponował im inne rozwiązanie.

- Inne rozwiązanie? - Will już na mnie nie patrzy. Wymienia spojrzenia z Cassianem. Jego profil tężeje, jakby mój ukochany starał się zapanować nad sobą.

Połykam kluczę, która rośnie mi w gardle.

- Tak. Zaproponował nasze gody.

- Gody? - Will przenosi wzrok na mnie. - Czyli ślub?

- U dragonów to mniej więcej to samo.

Tyle że w dragońskim związku łączność może być silniejsza, może sięgać głębiej, może tworzyć emocjonalną jedność pary...

Tego jednak nie mówię. Jeszcze nie teraz. Niech najpierw przetrawi jeden fakt.

Odwraca się i zamasyżuje, przechodzi kilka kroków. Zatrzymuje się pod drzewem. Bezradnie wpatruję się

w jego naprężone plecy i podskakuje, gdy nagle się porusza, uderzając pięścią w szorstki pień.

Podchodzę do niego i zrozpaczona dotykam jego ramienia.

- Will, nie było wyboru. Albo udawane gody, albo podcięcie skrzydeł. - Biorę go za rękę i z bólem oglądam rozbite, krwawiące kostki. - Proszę, zrozum.

Wypuszcza z płuc powietrze, powoli kiwa głową i się odwraca.

- Rozumiem. Naprawdę. - Nie patrzy jednak na mnie, tylko ponad moim ramieniem na Cassiana. - Nie obwiniam ciebie, Jacindo.

Udawane gody - powtarza, energicznie kiwając głową. - Na niby.

Czuję przyływ ulgi, ucisk w sercu wydaje się lżejszy. Will

rozumie. Wszystko będzie dobrze. Ułoży nam się. Wierzę w to.

Aż do chwili, gdy ciszę przerywa gruby głos Cassiana. Uśmiech zamiera mi na ustach.

-Jak już zaczęłaś, to dlaczego nie powiesz mu wszystkiego?

Posyłam Cassianowi gniewne spojrzenie.

- Co opuściłaś? - pyta Will, a jego palce splecione z moimi rozluźniają się. Znow odsuwa się ode mnie.

Chwytam go znow za rękę i ją ściskam.

- Nic. Wiesz już wszystko. - Wszystko poza bezsensownym zabobonem. Nie każda dragońska para wytwarza między sobą łączność. To nie reguła. Po co o tym mówić? Tylko dlatego, że ostatnio wydaje mi się, iż lepiej odczytuję emocje Cassiana?

Tylko dlatego, że wyczuł, iż mogę być w tarapatach?

- On pytał, skąd wiedziałem, że masz kłopoty. Powiedz mu, Jacindo.

Z Willa emanuje napięcie. Stoi naprężony jak struna, która lada chwila pęknie.

- Niektórzy twierdzą... - odchrząkuję. - Niektórzy wierzą, że gody ustanawiają między dwojgiem dragonów... łączność.

- Łączność? - Will przechyla głowę, a w geście tym jest coś naturalnie niebezpiecznego. Jak u drapieżnika, który za chwilę może zaatakować.

- Łączność emocjonalną - uściślam.

Początkowo Will się nie odzywa, tylko patrzy Cassianowi w oczy, aż wreszcie powtarza:

-Niektórzy wierzą? A w co wy wierzycie? Co jest prawdą, Jacindo?

- No cóż, różnie to bywa. Nie...

- A jak to jest w waszym wypadku?

Wzdrygam się, bo jego głos jest jak smagnięcie bata.

-To... -bardzo chcę skłamać, żeby go nie zranić. Przed wszystkim jednak nie chcę, żeby myślał, że między mną a nim czegoś ubyło od momentu, gdy związałam się z Cassianem. Bo to nie może być prawdą. Ale nie potrafię skłamać. Nie przed Willem. Przełknąwszy, przyznaję: - Od godów... coś istnieje. Jestem bardziej dostrojona do Cassiana.

Will powoli kiwa głową i odsuwa się ode mnie.

- Co ty robisz? - pytam w porywie paniki, gdy odchodzi. O, nie! Nie przeszłam przez to wszystko po to, by on teraz ze mną zrywał. Odwracam się do Cassiana. - Teraz jesteś zadowolony? Cassian potrząsa głową, ale jeszcze bardziej złości mnie to, że w jego oczach dostrzegam żal.

- Musiał się o tym dowiedzieć. Przykro mi, Jacindo...

- Wcale nie musi ci być przykro - odparowuję. - Nie potrzebuję twojego współczucia. Will i ja poradzimy sobie.

Powiedziawszy to, ruszam w ślad za Willem. Idzie szybko, zwinnie przemykając pomiędzy drzewami.

- Hej, pamiętaj, że gdzieś tutaj nadal płacze się niedźwiedź! -
wołam ostrzegawczo.

Nie odpowiada.

- Will, dokąd idziesz?

Biegnę, by go dogonić. Chwytam go za ramię, gotowa zatrzymać go siłą, gdy on nagle odwraca się do mnie.

- Co mam robić, Jacindo? - wybucha. - Paradować z uśmiechem na twarzy, wiedząc, że związałaś się z Cas-sianem, a przy okazji również, że jesteś automatycznie w nim zakochana?

- Tego nie powiedziałam! - macham rękami. - To nieprawda!

- Dlaczego więc mi tego nie wyjaśnisz? - Zakłada ręce. - Co w takim razie oznacza ta łączność emocjonalna?

- Wy tłumaczyłabym ci to, gdybyś nie był takim palantem! -

Dźgam go palcem w pierś.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę. Po ustach błąka mu się cień uśmiechu.

- No dobrze, tłumacz.

- Od czasu godów lepiej odczytuję jego emocje. Czasami potrafię wychwycić to, co on czuje. To wszystko.

- A więc tak sobie chodzisz, wiedząc cały czas, co mu w duszy gra?

- Nie, wyłapuję tylko silne emocje, a nie każdy drobiazg.

Nadal sprawia wrażenie niepewnego, więc podchodzę do niego i ściszam głos, gładzę palcami jego naprężone ramię.

- Ale to nie zmienia moich uczuć do ciebie.

Cofa się o krok i opuszcza ręce, przerywając fizyczny kontakt między nami.

Nie pozwolę mu na dezercję. Za daleko zaszliśmy. Będę o nas walczyć, nawet gdybym miała się z nim bić.

- To nie ma wpływu na moje uczucia wobec ciebie. Czy zamierzasz dopuścić do tego, by wpłynęło to na twoje uczucia?

Spogląda na mnie, jego oczy błyszczą w mroku, ale nie umiem niczego w nich wyczytać. Podchodzę bliżej, muskam jego rękę. To tylko delikatne spotkanie naszych dłoni... sondowanie. Jego najmniejszy palec splata się z moim i oddech, który wstrzymywałam, ulatuje mi z płuc, ból w sercu troszkę łagodnieje.

-Jestem tutaj - przypominam. - Z tobą. Opuściłam Cassiana i stado. On nie był częścią mojego planu ucieczki, pamiętasz? Will wzdycha i przeczesuje palcami włosy.

- Tak. Wiem. Boże, Jacindo. Nastawiłem się na to, że będziemy razem... bez żadnych przeszkód.

Podchodzę bliżej, a on mnie przytula. -Jesteśmy razem. Od teraz. Już nigdy się nie rozstaniemy. Uwolnimy Miram, a potem już tylko przyszłość we dwoje.

- Przyszłość we dwoje. Byłoby fajnie.

Oddycham z ulgą, zbiera mi się na płacz. Dotychczas nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo obawiałam się, że na dobre się ode mnie odwróci, gdy powiem mu prawdę. To potwierdza wszystko, co kiedykolwiek o nim myślałam. Nie myliłam się co do niego. Co do nas.

Stoimy razem, przytulając się przez dłuższą chwilę. Rozdziela nas podwójne trąbienie klaksonu.

- Tamra - wysuwam domysł.

- Dobrze. Chodźmy. - Will bierze mnie za rękę i prowadzi do samochodu.

- Pogodziliście się? - pyta siostra, gdy już siedzimy w środku. Albo słyszała naszą sprzeczkę, albo Cassian zdążył jej o niej powiedzieć.

- Wszystko w porządku - mówię, posyłając Tamrze ostrzegawcze spojrzenie, by dała sobie spokój z tym tematem.

- Nie kłóciliśmy się - dodaje Will, patrząc wymownie na Cassiana, który spokojnie wytrzymuje jego wzrok.

- To dobrze - kiwa głową Tamra. - Jedźmy. Im szybciej odbijemy tę małą wiedźmę, tym szybciej się uwolnimy.

Nie zadaję sobie trudu, by zapytać, od czego się uwolnimy. Czy też od kogo. Dla Tamry wszystko przybrało ten sam wymiar.

Stado. Cassian.

Wkrótce mkniemy już autostradą, prosto w objęcia wchodzącego słońca.

ROZDZIAŁ 28

Po kilku godzinach i porzuceniu samochodu Willa na rzecz vana, który najlepsze czasy ma już za sobą, zerkam przez ramię na Cassiana i Tamrę śpiących z tyłu. Leżą na kocach, które rozesłali na zardzewiałej i powyginanej podłodze.

- Daleko jeszcze? - pytam szeptem.

- Może dojedziemy tam jutro wieczorem. Jeśli nie zatrzymamy się na nocleg.

- To dobrze.

Podłoga pod moimi stopami dudni, podciągam kolana pod brodę. Poprawiając się na podartym winylowym siedzeniu, staram się nie tęsknić za wygodą land rovera. To tylko tymczasowa zmiana. Samochód Willa zostawiliśmy na parkingu dla ciężarówek, zabierzemy go w drodze powrotnej, gdy uratujemy Miram. Wzdychając, opieram się na zagłówku. Im szybciej to załatwimy, tym szybciej Miram i Cassian wrócą do domu. I tym szybciej Will, Tamra i ja odnajdziemy mamę i zaczniemy nowe życie gdzie indziej. Patrzę przez okno, czuję niemal ulgę na widok klarownej nocy zamiast wiecznej mgły.

Will bierze mnie za rękę. Kciukiem masuje wewnętrzną stronę mojego nadgarstka. Już sam dotyk sprawia, że po całym ramieniu przebiegają mi iskry. Wymieniamy gorące spojrzenia i wiem, że on też to czuje. Zerkam na parę śpiącą z tyłu i zdaję sobie sprawę, że minie trochę czasu, zanim będziemy mieć nieco prywatności. I to mnie martwi. Jedziemy na ryzykowną misję. Możemy jej nie przeżyć.

Jakby wyczuwając moje wątpliwości, Will mówi: -Już kiedyś byłem tam z moim ojcem. Łatwo się tam dostać.

- To nie tym się martwię.

- Wydostaniemy się. Nigdy nie będą podejrzewać myśliwego o wywożenie dragona. My zawsze tylko przywozimy transport, dostajemy zapłatę i wyjeżdżamy. - Raz kiwa głową i nie jestem pewna, czy wierzy w to, co mówi.

- Uciekniemy. A potem będziemy razem. Bez Cassiana.

Światła jadącego z przeciwka samochodu rozjaśniają rysy Willa. Gdyby nie wystarczyły mi słowa, to zacięty wyraz jego twarzy potwierdza, że wprawdzie nie wini mnie za gody z Cassianem, ale ta sprawa go gryzie. Nie odzyska spokoju, dopóki syn alfy nie wróci do stada... beze mnie.

- Mówiłam ci, że udawaliśmy.

- Wiem. Zostałaś zmuszona, więc to się nie liczy.

- Przykłada moją dłoń do ust i czule ją całuje. - Może się trochę prześpisz?

- Na pewno nie jesteś zbyt zmęczony, by prowadzić?

- Cassian zaproponował, że zmieni mnie za kierownicą. Obudzę go za godzinę.

Zamykając oczy, jestem przekonana, że nie dam rady zasnąć.

I to jest moja ostatnia myśl.

* * *

Odzyskuję świadomość, gdy czyjaś silna ręka potrząsa mnie za ramię. Podskakuję, rozglądam się dookoła, cała spięta, gotowa do obrony, do ucieczki, do lotu.

- Dojechaliśmy - informuje Will.

Od kiedy stałam się taka ostrożna, przygotowana do ataku? Nie próbuję tego dochodzić. Po prostu mówię sobie, że to dobrze w świetle nadchodzących wydarzeń.

Patrzę na lewo i na prawo. Parkujemy przy wąskiej, zabłoconej drodze, zewsząd otaczają nas drzewa. Tamra wychyla się do przodu i werbalizuje moje myśli:

- Tutaj nic nie ma. Will przechyla głowę.

- Nie sądziliście chyba, że zajadę pod główną bramę i zatrąbię? Tamra prycha.

- No dobra, nieustraszony dowódco, w takim razie pokaż nam okolicę.

Rzucam mojej siostrze nieco zaskoczone spojrzenie. Zachowuje się tak, jakby to była pestka. Jakbyśmy wybrali się na zwyczajną wycieczkę w plener czy coś w tym rodzaju.

Will wysiada z vana. Cassian jest już na zewnątrz, wystawiając twarz na wiatr, jakby węszył w powietrzu. I chyba rzeczywiście to robi.

Will otwiera tylne drzwi i odrzuca na bok koc, pod którym kryje się cały arsenał. Widziałam już tę broń, gdy zmienialiśmy samochody, ale jej widok nadal przyprawia mnie o palpitację.

Cassian od razu przystępuje do przeglądu zasobów, a ja zadowolona przyglądam się, jak z Willem niczym starzy kumple pograżają się w męskich pogaduszkach o róż-

nych rodzajach strzelb, pistoletów, noży i łuków, rozważając ich wady i zalety.

Tamra i ja porozumiewawczo przewracamy oczami.

Po dłuższej chwili odchrząkuję i pytam:

- Czy wparujemy tam, strzelając na lewo i prawo?

- No właśnie - dorzuca Tamra. - Myślałam, że najpierw wybierzemy się na jakiś rekonesans. Zeby zyskać ogląd sytuacji.

- I tak będzie. To tylko środki ostrożności. - Will zapina kaburę nad kostką pod nogawką dżinsów i wsuwa do niej broń. Na widok tych płynnych ruchów przebiega mnie lekki dreszcz i uświadamiam sobie, że on już nieraz to robił. Cassian idzie za jego przykładem, a ja powstrzymuję się od zapytania, czy on w ogóle wie, jak strzelać. W stadzie nas tego nie uczą. Coś jednak każe mi ugryźć się w język. Chłopaki nareszcie się zgadzają. Nie zamierzam tego zniszczyć.

Will wybiera cztery lornetki i wręcza po jednej każdemu z nas.

Mruga do mnie okiem i mówi:

- Na razie przyjrzymy się wszystkiemu, a potem obmyślimy strategię.

Zatrzasnąwszy drzwi vana, prowadzi nas na ubocze. Gdy idziemy w cieniu drzew, nogawki moich dżinsów szarpie wysoka trawa - niczym zachłanne ręce, które próbują nas powstrzymać.

Temperatura jest tutaj niższa niż ta, do której przywykłam, więc opatulam się polarem. Po raz pierwszy w życiu przydałaby mi się kurtka z kapturem.

Las zaczyna rzednąć. Will unosi rękę. Przystajemy.

- Stąd musimy się czołgać - oznajmia, wskazując głową w kierunku spadzistego pola. - Mają strażników. Zawsze obserwują teren, nawet gdy ich nie widać. A my nie potrzebujemy ich zainteresowania.

Moja skóra napina się i mrowi, gdy na czworakach pełzniemy po stoku. W końcu zatrzymujemy się na niewielkim pagórku. Pod nami widać miasteczko leżące w dolinie.

- Co to za miejsce? - pyta Tamra, patrząc przez lornetkę.

- Crescent Valley - wyjaśnia Will. - Dziewięciuset siedemdziesięciu ośmiu mieszkańców.

- Wygląda, jakby niewiele się tu działo - stwierdza Cassian.

- Tak, masz rację - zgadza się Will, wskazując na malowniczą dolinę. - Sklep spożywczy. Tutejsza szkoła z wszystkimi klasami pod jednym dachem. Dom kultury. Grill-bar Joela. A w tamtej restauracji u Antonia podają całkiem przyzwoitą pizzę. Czekalem tam, gdy tato i wujek zdawali transporty. Nie wpuszczają więcej niż dwóch konwojentów. A tam, widzicie ten duży budynek? To główny pracodawca w tym miasteczku: CVMS. Crescent Valley Médical Suppliers, czyli wytwórnia artykułów medycznych.

Przyglądam się rozległym płowobiałym zabudowaniom niewinnie wyglądającej fabryki. Groźniejsze wrażenie sprawia natomiast jej wysokie ogrodzenie zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Przy portierni koło bramy stoi wartownik. To jedyne wejście i wyjście, jakie mogę dojrzeć. Ogromny parking w połowie zapełniają samochody.

- Sprzedają głównie artykuły medyczne, sprzęt powszechnie używany w gabinetach lekarskich. Strzykawki, narzędzia chirurgiczne.

- Więc to jest baza enkonów? - pyta Cassian. - Przykrywka ich biznesu?

- Tak - przyznaje Will, a jego usta zaciskają się w wąską kreskę. - Wszystko, co widzicie. Całe miasto. Każdy

mieszkaniec jest związany lub spokrewniony z kimś, kto tam pracuje.

Moja skóra rozgrzewa się i mrowi, a serce wali młotem, gdy spoglądam na tę dolinę, na miejsce, którego przez tak wiele lat się bałam, tak niewiele o nim wiedząc i nie mając pojęcia, jak może wyglądać.

To jest dziesięć razy gorsze niż przypominająca więzienie forteca, którą sobie wyobrażałam. Piekło w niewinnym opakowaniu.

Niby schludna, zwyczajna fabryka w pozornie normalnym miasteczku. A pod tym wszystkim kombinat tortur i śmierci.

Przed oczami przemyka mi obraz ojca. Czy to tutaj go zabrali? I Miram? Czy oboje są za tymi murami?

Narasta we mnie gorzka determinacja. Moja. Cassiana.

Nieistotne czyja. W tej sprawie czujemy to samo. Nagle chodzi o znacznie więcej niż uratowanie Miram.

Wyczuwam na sobie spojrzenie Willa i zwracam ku niemu twarz.

On wie. Jest ze mną. Jesteśmy razem tutaj. Wszędzie.

- Zniszczmy to - mamroczę. - Wszystko.

Uśmiecha się i czuję przyływ ciepła na myśl, jakie mam szczęście i jak daleko zaszłam. Mam Willa. Siostrę. A nawet Cassiana. Nie stawiam temu czoła samotnie, nie jestem ofiarą jak Miram. Albo jeńcem jak tato. Dostaniemy się do tej twierdzy. Uratujemy Miram. Razem. Teraz wiem na pewno, że wszystko jest możliwe.